

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr II/338

1975



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

J. MIEROSZEWSKI : **LIST DO CZYTELNIKÓW**

D. MORAWSKI : **WATYKAŃSKA "OSTPOLITIK" :**
OD LENINA DO BREŻNIEWA

T. KATELBACH : **NAD WENTĄ**

M. HELLER : **SOŁŻENICYN I LENIN**

SPIS RZECZY

Juliusz Mieroszewski:	<i>List do Czytelników</i>	3
Redakcja:	<i>Do Prenumeratorów</i>	4
Czesław Miłosz:	<i>Ogród nauk</i>	5
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	19
Tadeusz Katelbach:	<i>Nad Wentą</i>	31

CO ROBIĆ?

Michał Ross:	<i>Kilka uwag do programu</i>	45
Witold Wirpsza:	<i>Frekwencja wyborcza</i>	51
Kilku turystów z Polski:	<i>Jeszcze o wyborach</i>	53

ARCHIWUM POLITYCZNE

Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	55
-------------------	-------------------------------------	----

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	66
M. B.:	<i>Ośrodek ukraiński w Harvardzie</i>	72
Karel Kosik:	<i>List do J.-P. Sartre'a</i>	76
—	<i>Konsulat PRL w Kijowie</i>	78

SPRAWY I TROSKI

Grażyna Nowak:	<i>List z Londynu</i>	81
----------------	-----------------------------	----

K R A J

—	<i>Obecna sytuacja gospodarcza w Polsce</i>	90
Józef Gidyński:	<i>Neostalinizm bez terroru</i>	107
—	<i>Seria pożarów w Polsce</i>	116

K S I A Ź K I

Michał Heller:	<i>Sołżenicyn i Lenin</i>	118
Henryk Grynberg:	<i>Próba wysokiej wartości</i>	125
K. A. Jeleński:	<i>O polskiej poezji po francusku</i>	129
Janina Katz-Hewetson:	<i>Cyganeria świetna, ale nie ostatnia</i> ..	130
—	<i>Koniec świata Olgi Pietrownej</i>	131
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i>	133
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	138



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	139
--------------	----------------------------	-----



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	140
---	----------------------------------	-----



K. Akuła, A. Bujalski, Zarząd Fundacji Lanckorońskich, K. A. Jeleński, J. Katz-Hewetson, A. Koraszewski, J. Lichten, E. Raczyński, F. Śmieja, T. Terlecki:	<i>Listy do Redakcji</i>	151
---	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad - Novembre 1975

INSTYTUT



LITERACKI

FUNDUSZ POMOCY DZIECIOM WIĘZNIÓW POLITYCZNYCH W ZSSR

Na konferencji prasowej we Florencji żona Andrieja Sacharowa zaapelowała o poparcie „Funduszu Pomocy Dzieciom Więźniów Politycznych w ZSSR”. Podstawą tego Funduszu była nagroda przyznana w swoim czasie A. Sacharowowi przez Fundację Cino del Duca we Francji. Fundusz ma konto w banku Rotszylda w Paryżu nr 073486200186. Redakcja *Kultury* przekazując F. 500,00 z Funduszu „Kultury”, apeluje do swych Czytelników o poparcie tego Funduszu.

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Dr. Jan Bakowski, Miami Beach, Fl. (USA), po raz szósty ..	F. 26,50
A. I. Bragiński, Pittsburgh, Pa (USA), po raz siódmy	F. 44,00
Czytelnik z Polski, po raz szósty	F. 25,00
Andrzej Kawczak, Londyn, po raz drugi	F. 100,00
Ks. Józef Lach, Buffalo, N.Y. (USA), po raz siódmy	F. 40,00
N.N. ze Stockholmu	F. 2500,00
Nina Sereda, Montreal, Que., po raz czterdziesty pierwszy — zamiast kwiatów w Dzień Zaduszny na groby moich najbliż- szych pomordowanych przez Gestapo i NKWD	F. 127,00
Przyjaciół z Polski, po raz drugi	F. 130,00
Student z Polski	F. 20,00
Anonimowo, Montreal, Que.	F. 87,50
Anonimowo, Park Ridge, Ill. (USA)	F. 240,00
Bezimiennie z USA, ku uczczeniu pamięci Brzeżańczyków	F. 440,00
Bezimiennie z USA, ku uczczeniu pamięci zakładników, obywateli Wybrzeża Gdynskiego rozstrzelanych przez hitlerowców dnia 11 listopada 1939 roku w lasach koło Gdyni	F. 440,00

DZIĘKUJEMY!

List do Czytelników

Przez 26 lat jestem publicystą *Kultury* i regularnie co miesiąc ukazywały się moje artykuły. Ponieważ od dłuższego czasu niczego nie ogłosiłem na łamach *Kultury* — winienem naszym Czytelnikom kilka słów wyjaśnienia.

W obrębie ubiegłych 7 miesięcy przeszedłem siedmiotygodniową kurację naświetleniową (radioterapia) i dwie operacje mające na celu usunięcie raka podniebienia. Radioterapia, choć niezmiernie efektowna i skuteczna w moim wypadku nie okazała się metodą właściwą, ponieważ rak odnowił się w tym samym miejscu dosłownie po dwóch tygodniach.

Od drugiej operacji upłynęło już dwa miesiące i jak dotąd wszystko jest w porządku. Radioterapia — choć w rezultacie nic mi nie pomogła — zrujnowała mi gruczoł ślinowy na lewym policzku, który jest obrzmiały i bardzo bolesny, ale na to nie ma ani rady ani leczenia.

W tym trudnym okresie wielką pociechą dla mnie był sukces *Kultury* a zwłaszcza deklaracja pisarzy rosyjskich ogłoszona we wrześniowym numerze *Kultury*. To porozumienie z nową sołżenicynowską Rosją jest osobistym osiągnięciem mojego Redaktora i jedyne przyznanie jakiego mam Jerzego Giedroycia. Można powiedzieć, że przez ćwierć wieku omawialiśmy i dyskutowaliśmy tego typu porozumienie, które wydawało się utopią nie z tego świata. Chciałbym by nasi Czytelnicy w pełni ocenili tę deklarację. Wielkie ruchy i przemiany w przeszłości były zawsze w swych początkach dziełem garstki ludzi.

Pokładam w Bogu nadzieję, że nowe operacje nie będą konieczne i że niedługo będę mógł wrócić do normalnej pracy — bo choć *Kultura* daje sobie doskonałe radę beze mnie — mnie trudno jest żyć bez pisywania do *Kultury*, której poświęciłem najlepsze lata mojego życia.

Juliusz MIEROSZEWSKI

DO PRENUMERATORÓW

W związku z dewaluacją dolara i walut z nim związanych, która nastąpiła na początku bież. roku, ponieśliśmy olbrzymie straty. Prenumeraty *Kultury* i *Zeszytów Historycznych*, ustalone we frankach, podawały jednocześnie równowartość w innych walutach. I tak np. roczny abonament *Kultury* — F. 120,00 — wynosił Dol. 24,00. W chwili jednak, kiedy inkasowaliśmy czeki, zamiast F. 120,00 otrzymywaliśmy z banku F. 89,00 - 90,00, czyli o 20 % mniej, niż w roku 1974 przed podwyżką prenumerat.

Ponieważ podwyżka prenumerat nastąpiła na skutek podniesienia kosztów papieru i opłat pocztowych o 100 %, zaś drukarni, podatków itp. o 50 %, nasze straty są po prostu niewymierne. Nie mogliśmy jednak w ciągu roku żądać dopłaty.

W zasadzie prenumeraty na rok 1976 nie zostały podwyższone i dalej wynoszą: *Kultura* — rocznie F. 120,00; półrocznie — F. 65,00; *Zeszyty Historyczne* dla prenumeratorów *Kultury* — rocznie F. 80,00. Tym niemniej usilnie prosimy wszystkich prenumeratorów, którzy regulują abonamenty w innych walutach, o wpłacanie równowartości powyższych cen frankowych. Prosimy również aby ci, którzy wpłacili już prenumeratę na rok 1976 w wysokości Dol. 24,00 za *Kulturę*, lub Dol. 17,00 za *Zeszyty Historyczne*, wyrównali wpłaty do aktualnej równowartości cen frankowych. (W tej chwili za Dol. 24,00 otrzymujemy F. 103,00, a za Dol. 17,00 — F. 72,00).

Mamy nadzieję, że nasi Czytelnicy zrozumieją naszą trudną sytuację.

REDAKCJA

Ogród nauk

O TWÓRCACH

Creative jest to epitet pochwalny wielce lubiany przez krytyków. Ma rzekomo znaczyć oryginalny albo coś podobnego, ale daje mu się pierwszeństwo, bo jest bardziej mglisty i mniej zwykły. Trafnie został określony jako „smakowite, okrągłe, nic nie znaczące słowo”, które „cieszy się takimi względami, że stało się ostatecznym wyrazem aprobaty, wszędzie, poczynając od szkolnej klasy a kończąc na firmie ogłoszeniowej”.

H. W. Fowler, *A Dictionary of Modern English Usage*
(Wydanie drugie, 1965).

Niekiedy kariera jednego słowa wprowadza w sam środek problemów tego stulecia czy okresu, kiedy danemu słowu tak się rozpowszechnić udało. *Creative* znaczący obdarzony właściwością zwaną *creativity* czyli zdolnością stwórczą. Jest wysoce wątpliwe czy aż do niedawna samo pojęcie takiej ludzkiej zalety kiedykolwiek istniało. Nie znajdujemy jej na żadnej liście cnót. Zwróćmy też uwagę na to czym się różni ona od wszelkich zalet wymaganych niegdyś od rzemieślników i artystów. Talent, zręczność, umiejętność zawsze oznaczały, że ktoś umie wykonać co zamierzył czyli podkreślone było dążenie do pewnego celu przy zastosowaniu środków temu celowi właściwych. Złotnik, jeżeli był dumny ze swoich wyrobów, nie uważał ich za owoc jakiejś ogólnej, mieszkającej w nim *creativity*, tylko dobrej roboty. A i poeta zapewne nie przypisywał sobie ogólnej siły stwórczej poza darem układania wierszy. Co prawda początków kariery słów *creative* i *creativity* trzeba szukać w czasach romantycznego przełomu i

właśnie u poetów. Pomagała im w tym nazwa: *poiesis* czyli czynienie, a dostojny to czasownik, greckie *poiein*. Stary Testament w greckiej wersji czyli tak zwana Septuaginta zaczyna się: *En arche epoiesen ho theos ton ouranon kai ten gen* — Na początku uczynił (*epoiesen*) Bóg niebo i ziemię.

Być może rozwój pojęcia *creative* i *creativity* najłatwiej śledzić na przykładzie języka angielskiego. Francuski, biegnący w posługiwaniu się terminami łacińskiego pochodzenia, nie ukuł takich zbitek-dziwolągów jak *creative arts* i *creative writing*. Niemniej i tam widać wzrost prestiżu tego pojęcia, czego wymownym śladem jest tytuł *Evolution créatrice* czyli po angielsku *Creative Evolution*, po polsku *Ewolucja twórcza*. Co do polszczyzny, to odnotujemy, że słowa *twórczość* słownik Lindego nie zna. Mija niespełna lat sto pięćdziesiąt i oto głównym pismem literackim w Polsce zostaje miesięcznik *Twórczością* nazwany.

Po tych wstępnych uwagach cofnijmy się w czasie i wybierzmy jakiegokolwiek społeczeństwo europejskie sprzed rewolucji przemysłowej. Dziecko rodzące się wówczas, nawet jeżeli było płci męskiej, bardziej było w swoich przyszłych losach zależne od pozycji swojej rodziny niż od układu gwiazd, zależne przede wszystkim jeżeli chodziło o wybór zawodu. Bez wielkiego ryzyka można było przepowiedzieć, że syn chłopca będzie grzebać się w ziemi, syn szlachcica zajmować się żołnierką i doglądać pracy swoich poddanych. Pewna ilość zawodów była dostępna dziecku ze stanu mieszczańskiego, bo handle i rzemiosła nie musiały być dziedziczne, zresztą obok rzemiosł uprawiano też sztuki. W miejskim domu, nie w chacie i nie w pałacu, z rzadkimi wyjątkami, rodzili się snycerze, architekci, malarze, muzycy. Niemniej oddanie chłopca na naukę do piekarza czy szewca, malarza czy organisty zależało w znacznej mierze od więzów pokrewieństwa albo przyjaźni w obrębie kilku sąsiednich ulic. Ważnego ujęcia dla rozmaitych talentów dostarczał stan duchowny, przede wszystkim klasztory, gdzie wymagano od zakonników specjalizacji, w ogrodnictwie, w muzyce, w kopiowaniu i iluminowaniu rękopisów. Ogólna ruchliwość społeczna i pionowa, i pozioma tj. od zawodu do zawodu, była jednak nieduża, toteż przymiotnik „twórczy” jako ocena dodatnia i zakładająca zdolność wyboru zajęć, ani nie mógł się pojawić ani nie byłby zrozumiany.

Przemiany jakie zaszły później dałoby się pokazać na przykładzie wielkomiejskiej ulicy, znanej niejednemu z doświadczenia. Dwa rzędy czynszowych kamienic, z bramami prowadzącymi na studzienne podwórza, dostarczały schronienia niezwykle dużej liczbie ludzi, bo przy każdej klatce schodowej, zwłaszcza na górnych piętrach, kryło się mnóstwo ciasnych pomieszczeń. Większość lokatorów zarabiała na życie sprzedając swoją pracę, w fa-

bryce, w sklepie, w biurze, czy też pracując chałupniczo u siebie. Ankieta pouczałaby też, że oni albo ich rodzice przywędrowali najczęściej ze wsi czy małych miasteczek. Nieznaczną mniejszość lokatorów, na niższych piętrach, składała się z obracających pieniędzmi kupców, z właścicieli fabryczek czy restauracji, jak też przedstawicieli zawodów „wyuczonych”, a więc lekarzy, dentyków, adwokatów. Jest wysoce prawdopodobne, że na całej ulicy nie znalazłoby się ani jednego człowieka który zasługiwałby na miano artysty. Jedynymi kandydatami do tego tytułu byłby skrzypek zarabiający graniem w knajpie, oraz żona pewnego mecenasa występująca niekiedy jako śpiewaczka na koncertach dobroczynnych. Czy i na ile ta schematyczna ulica należy dzisiaj do przeszłości, nie warto się spierać. Dzieje ludzkich społeczeństw mają to do siebie, że różne formacje istnieją równocześnie, toteż nie właściwie nie jest egzotyką. Zresztą, niezależnie od takich czy innych przekształceń, wystarczy w którejs z czynszowych kamienic przy tej ulicy upatrzeć sobie parę postaci i zastanowić się nad ich losem, żeby odkryć, że nie odbiegliśmy daleko od wzorów dziewiętnastowiecznych. Gdyż krawiec z czwartego piętra samym swoim istnieniem podsuwa nam pytanie co to znaczy być krawcem? Czy, jeżeli ktoś został krawcem, to już na wieczność, bo sama istota krawiectwa, usadowiwszy się najpierw w nim nieśmiało, stopniowo wyjada w nim całą jego szczególność, tak że zmienił się w krawca idealnego? A robotnik z zakładów miejskich, o piętro wyżej, czy był kiedykolwiek i czy może być kim innym, niż ponurym drabem w kaszkiecie, upijającym się regularnie w dzień wypłaty i piorącym wtedy żonę? Pytania takie, bardzo trudne do postawienia, jak zwykle kiedy obezwładnia nas rzekoma oczywistość, zostały w ubiegłym stuleciu zadane i dostarczają impulsu całemu dziełu Marksa, nie doczekały się jednak aż do dzisiaj jakiejś wyraźnej odpowiedzi. Celem socjalizmu miało być uratowanie ludzi od „zastygnięcia” w ich społecznej roli tj. każdy rozwijałby swoje człowieczeństwo, dodatkowo tylko spełniając funkcje zawodowe. Z tego to względu, szukając nieśmiałych jeszcze zadatków na typ przyszłego obywatela, Marks z uznaniem wyrażał się o Amerykanach, bo podczas kiedy w Europie podziały kastowe i klasowe zakreślały linię pomiędzy pracą umysłową i fizyczną, tylko Amerykanie byli wolni od takich przesądów, imając się w ciągu życia najrozmaitszych robót, zależnie od okoliczności.

Tak, tak, przewracajcie ludziom w głowie — mówili w dziewiętnastym wieku reakcjonści. Nauczcie wszystkich czytać i przekonajcie ich, że wszyscy są równi, dopieroż będą mieli zachcianki i fanaberie. Ale nie dacie im nic prócz wygórowanych pragnień, bo w trudzie zarabiać będą na chleb powszedni, tyle że bardziej

nieszczęśliwi niż wtedy kiedy każdy z nich wiedział, że musi zadawać się niedużym i nie sięgać wyżej.

... Rozwój przemysłu i techniki, przemiana w czystą technikę zarówno zarządu państwem jak wojny, zastąpienie techniką sztuki i ustawienie wszędzie dziwacznych maszyn, do których, jak do katorżnej taczki, potrzeba przykuła miliony. Te miliony, kiedyś dziwiące się bożemu światu i cieszące się nim, opromieniające go marzeniem poezji i legendą, teraz pracują, jedzą, i przeklinając swoją przeszłość, nienawidząc terażniejszości, czekają, jak jutrenki, nowego życia, tej chwili kiedy do ich liczby, już wielomilionowej, dodane zostaną niezliczone miliony pozostałego ludzkiego rodu, tak że cała ludzkość, bez reszty, będzie trzymać jaką należy nitkę i obracać jakie należy koło, a za to otrzymywać będzie dodatkowy funt mięsa na obiad tudzież na noc materac i kołdrę pod którą nareszcie nie będzie zimno. A wśród tej wielomilionowej rzeszy przesuwający się jak cienie ludzie z naręczami książek i ulotek, którzy mówią im o szczęściu tej pracy, uczą ich zachowywać się tymi maszynami i szepczą im o bliskim jutrze kiedy przyłączą się do nich, aby dzielić to szczęście i ten zachwyty, pozostałe narody żyjące dotychczas życiem bez sensu. Opowiadają im o tym jak kiedyś przesuną służbowe hierarchie, jakie wygodne im zbudują nary i jak ich będą karmić — i że dzień kiedy każdy człowiek będzie zatrudniony, żaden nie głodny, będzie dniem radości w którym wszelkie tęsknoty znajdą ukojenie.

Wassilij Rozanow, *Teoria historycznego progressu*.
W piśmie „Russkije Wiesti”, 1892.

Ponieważ Rozanow nie spodziewał się po przyszłości niczego dobrego, na pasje polityczne rosyjskiej inteligencji miał irytującą odpowiedź: „Co robić? zapytał niecierpliwy petersburski młodzieniec. Jak to co robić? Jeżeli lato, przebrać jagody i gotować konfitury; jeżeli zima — pić z tymi konfiturami herbatę”. Przynotowana wyżej przepowiednia Rozanowa spełniła się, ale jak to bywa z większością przepowiedni, niezupełnie. To prawda, że zatrudnione miliony przeklinają przeszłość i albo nie lubią albo wręcz nienawidzą terażniejszości. Niezależnie jednak od różnych postaci jakie przybrało uprzemysłowienie, wszędzie widzi się obudzone aspiracje jednostki, co powinno być zapisane na plus, choć niewiadomo jakie będą tego następstwa.

Przez długi czas praca uchodziła za konieczność, za przekleństwo Adama i jeżeli pracujący marzyli, to o pracy lepszej i lepiej wynagradzanej, nie o czasie całkowicie wolnym. Wyobraźnia nie podsuwała nawet żadnych sensownych pomysłów na wypadek

gdyby nagle znikło brzemień elementarnej potrzeby, jak wskazuje opowieść o chłopku, który, zapytany co robiłby gdyby został królem, odpowiedział, że cały dzień jadłby kaszę jaglaną ze skwarkami i strzelałby z bata. W ciągu dwudziestego wieku stopniowo zyskuje na znaczeniu pojęcie czasu „dla siebie”, uzyskanego albo przez skrócenie godzin pracy zarobkowej, albo przez poświęcenie się zajęciom „twórczym”.

W ostatniej ćwierci naszego stulecia narzucają się następujące spostrzeżenia. Przez szkołę średnią przechodzi coraz większa ilość ludzi, tak że staje się ona (np. w Ameryce) normą, nie przywilejem nielicznych. Poziom tej szkoły obniża się proporcjonalnie do przyrostu liczby uczniów i nauczycieli. Niezależnie jednak od tego co otrzymuje tam młodzież, ma ona w latach szkolnych poczucie, teoretycznej przynajmniej, swobody w wyborze zawodu, układa też sobie różne zawody w tabelę, najniższe miejsca której zajmują sposoby zarabkowania nudne, monotonne, sprowadzające się do rodzaju niewoli od określonej godziny rano do określonej godziny po południu. Przeróżne konieczności, i wewnętrzne, np. brak uzdolnień, i zewnętrzne zmuszają następnie większość tych młodych do obniżenia wymagań. Część z nich znajdzie różne kompensaty i pogodzi się z losem, część, chodząc pracować do fabryki, sklepu czy biura, będzie przechowywać silniejszą czy słabszą urazę do „systemu” (jakikolwiek jest). Najciekawszych jednak spostrzeżeń dostarcza mniejszość która wymaga nie obniżania i uważa zajęcia „twórcze” za swoje powołanie.

Urzędnik towarzystwa ubezpieczeń Franz Kafka, który godzin spędzanych za biurkiem firmy nie uważał za swoje „prawdziwe” zajęcie, powinien być tutaj przypomniany jako jeden z wielkich patronów podwójności nadal dość powszechnej. Nowoczesna literatura (ją to obierzmy za wzorzec, niech wystąpi tutaj jako przedstawicielka malarstwa, muzyki etc.) swoje triumfy zawdzięcza głównie takim autorom piszącym „na boku”, występującym w roli społecznej urzędników, nauczycieli, rentierów itd. Ta właśnie grupa ludzi podwójnego zawodu będzie wśród „twórców” najliczniejsza; ją umieszczając po środku i zaznaczając np. kolorem ciemnoniebieskim, możemy sporządzić wykres zmniejszającej się częstotliwości po obu stronach. Z prawej strony kolor będzie rozrzedzać się aż do zupełnie prawie białego, w miarę jak będziemy zbliżać się do wypadków granicznych, jakimi są literaci żyjący wyłącznie z honorariów za książki. Np. wśród członków Związku Zawodowego Literatów Polskich przed rokiem 1939 znikomy tylko procent utrzymywał się z pióra, a jeżeli, to uprawiając raczej dziennikarstwo niż tzw. *belles lettres*. Z lewej strony kolor będzie bladł bo zmniejszać się będzie ilość osób dostatecznie pewnych siebie żeby swój drugi zawód uważać za

„prawdziwy” — aż do wypadków trudnych do zaklasyfikowania, kiedy to ktoś wstydliwie przechowuje w szufladzie parę wierszy czy opowiadań napisanych dziesięć lat temu.

W gospodarce wolnorynkowej szanse utrzymania się z książek są prawie żadne. Nieliczne wyjątki (*best-sellers*) potwierdzają regułę, zresztą wtajemniczeni wiedzą, że nawet duży rozgłos przynosi dochody głównie uboczne, a więc w formie stypendiów, zaproszeń na odczyty, wykłady, przeróbek filmowych etc. Tak więc w wielu krajach prawa strona na naszym wykresie pozostanie ledwo-niebieska, a nawet będzie coraz bardziej bieleć. Natomiast wskutek wzrostu liczby osób prowadzących podwójne, dwu-zawodowe, życie, środek otrzymamy prawie czarny i ten ciemny kolor będzie przesuwać się w lewo, inaczej mówiąc, coraz więcej ludzi uważa, że ich praca zarobkowa zasługuje na wydatkowanie cząstki tylko tej energii, jaka powinna być zużyta na cele bardziej podniosłe.

Kafka nocami śleczął nad kartką papieru. Wśród jego następców spotykamy mnóstwo wielbicieli wszelkich sztuk, nazywających siebie artystami. Nie ograniczają się oni do jednej specjalności, raz pisząc wiersze, kiedy indziej rzeźbiąc w metalu, malując czy kręcąc garncarskie koło. Wskazywałoby to, że poglądy na tzw. sztukę ulegają zmianie i że nacisk z końcowego wyniku (dzieło) przenosi się na samą czynność — rób co chcesz, byle twórczo.

Kogóż więc zaliczymy do twórców? Dość kłopotliwe to pytanie. Czy są nimi wirtuozi-pianisci? Aktorzy? Członkowie orkiestr symfonicznych? Zespołów jazzowych? Architekci? Czy usprawiedliwione jest wysokie mniemanie o sobie reżyserów teatralnych i filmowych? A baletmistrze? A tancerze? Gdyby jednak nawet trzymać się określeń jak najbardziej tradycyjnych i objąć tym pojęciem literaturę piękną, sztuki plastyczne i komponowaną muzykę, okaże się, że twórcy w każdym z uprzemysłowionych krajów są nie byle jaką armią — i że mają świadomość swoich, w stosunku do reszty społeczeństwa, uprawnień.

Kilka lat temu pewne paryskie pismo literackie rozpisało wśród pisarzy ankietę, zapytując jak wyobrażaliby sobie zmiany w organizacji rynku wydawniczego najbardziej sprzyjające wykonywaniu literackiego zawodu. Wyniki tej ankiety nie były niczym niespodziewanym i tak samo wypadłyby w wielu innych stolicach. Skargi i tęsknoty wyrażone w odpowiedziach dałyby się przetłumaczyć na całkiem wyraźny program. My piszemy, powiadali uczestnicy ankiety, a nikt nas nie chce czytać. Dlaczego tak się dzieje? Dlatego, że wydawcy schlebiają niskim gustom publiczności i jeżeli nawet nas wydają, to nie troszczą się o rekla-

mowanie naszych utworów. Wszystko zmieniłoby się gdyby wydawcy nie kierowali się względami handlowymi. Wtedy i trudna poezja i eksperymentalna proza rozchodziłyby się w ogromnych nakładach. A jeżeli oznacza to, że domy wydawnicze powinny być subsydiowane albo stać się własnością państwa, to czemu nie, my dodamy jeszcze, że zasługujemy na pełną opiekę społeczeństwa, które powinno nas opłacać, ponieważ my jesteśmy twórcami jego kultury.

Zważywszy na sytuację domów wydawniczych w gospodarce wolnorynkowej (dyrektorzy ich, jak to określił jeden z moich znajomych, są „rozbestwieni niepowodzeniem”) był to dość rozsądny program, który miał jeden tylko słaby punkt, nie świadczący o trzeźwej ocenie własnych możliwości przez uczestników ankiety. Przymusowe rozprowadzanie ich tomów wierszy i powieści, do czego zwykle służy sieć bibliotek publicznych, mogłoby zwiększyć wysokość nakładów, żadna jednak państwowa reklama nie przekonałaby publiczności do spożywania produktów równie niejadalnych jak kotlety z mielonego papieru. Natomiast żądaniu, żeby społeczeństwo utrzymywało twórców nic nie można zarzucić, chyba że zakwestionuje się ich podstawowe przekonania.

Tak więc rośnie w setki tysięcy grupa zawodowa, która chce być opłacana za swoje usługi, pod warunkiem jednak, że usługi te nie będą podlegać ocenie zależnej od wahań podaży i popytu. Któż więc ma ocenić czy są to usługi potrzebne? Sami twórcy, oczywiście. I doprowadzając rzecz do skrajnej ale logicznej konkluzji, otrzymujemy państwo rozumnie urządzone w którym personel Sił Twórczych, czy nosi mundury i epolety jak personel Sił Zbrojnych czy nie, dostaje co pierwszego pensję, a po wysłudze lat emeryturę. Któż jednak z kolei decyduje o przyjęciu w szeregi tej armii? Czy sami posłuszni swojemu wewnętrznemu głosowi i w ten sposób powołani?

Wiele szlachetnych przyzwyczajęń stępia naszą wrażliwość na zjawiska nowe, nigdy dotychczas nie nazwane, jeżeli występują pod starymi nazwami. Przebywamy stale w ogromnym muzeum wyobraźni (*Musée Imaginaire* jak to nazwał Malraux) obcując ze sławnymi dziełami przeszłości pozostawionymi nam przez różne cywilizacje i dowiadując się wielu szczegółów o warunkach w jakich te dzieła powstały. Najczęściej są to historie ofiar złożonych jednemu celowi uznanemu za najwyższy, wyrzeczeń, poniżeń, obmowy, przymierania głodem, i zaiste sprawcy owych triumfów ludzkiego ducha wykarmili swoje potomstwo własną krwią jak legendarny pelikan. I pomyślny jaka dysproporcja: imiona nielicznych wspomina się z szacunkiem, podczas kiedy po milionach tych, którzy ich lekceważyli, ponizali albo w ogóle nie wiedzieli o ich stnieniu nie zostało ani śladu. Któż troszczy

się o towarzystwo ubezpieczeń w którym Kafka pracował? Któż pamiętałby nazwisko komendanta Petropawłowskiej Twierdzy (Generał Nabokow) gdyby jednym z jego więźniów nie był Dos-tojewski? Czy ważne jak, źle czy dobrze, spełniał swoje obowiązki Stendhal kiedy był konsulem w Civitavecchia? Władza artysty nad jego współczesnymi, dobrze rozumiana w epoce Renesansu, jest rzeczywiście zastraszająca, bo w porównaniu z nim są jak biedne cienie i jednym ruchem pióra czy pędzla potrafi uratować ich od niepamięci albo skazać na niepamięć. Poucza o tym dostatecznie wędrowka po muzeum wyobraźni i dzisiejsi administratorzy już wiedzą, że twórców należy opłacać, dla samego honoru domu.

Jeżeli ktoś przynależy do tej kasty, zdrowy odruch samoobrony zapobiega zwykle podcinaniu gałęzi na której sam siedzi czyli wyrażaniu wątpliwości co do zajęć określanych przymiotnikiem *creative*. W Europie zwykło się je obejmować słowem narzuconym przez niemieckich nauczycieli: *kultura* i samo to słowo, w pojętym plemieniu słowiańskim niekiedy nawet do obyczaju mycia zębów stosowane, zdolne jest powściągnąć sceptyków. Brzydko jest bowiem występować przeciwko dobrodziejstwu kultury. Możliwe, że kto mieszka w Europie, trudniej pozbywa się różnych założeń milcząco przyjętych. Należy do nich np. przekonanie o wychowawczej wartości literackich i artystycznych dzieł, a stąd już niedaleko do wymagań stawianych przez administratorów twórców — jeżeli ci ostatni chcą zasłużyć na pieniądze i zaszczyty. O wiele jaśniejsza, niejako klinicznie czysta, jest sytuacja tam gdzie, jak w Ameryce, brak po prostu tradycji wychowawczego oddziaływania literatury i sztuki, i gdzie wcale znaczne publiczne pieniądze — skoro rynek okazał się jak najgorszym mecenasem — idą na popieranie twórczości jako takiej tzn. bez najmniejszych dyrektyw co do jej treści i formy. Zatrzymując się przed wspaniałe wyposażonymi budynkami teatrów i muzeów, nieraz dziwami nowoczesnej architektury, nie łatwo jest pozbyć się myśli, o tym, czemu one służą tj. jakim sztukom teatralnym, jakim wystawom malarstwa, jakiej muzyce, jakim wieczorom poetyckim.

Niektóre stare słowa na oznaczenie ludzkich czynności są stale używane choć dawno zmienił się ich sens. Na przykład myślistwo. Twardy mus, potrzeba zaopatrzenia się w mięso, związane z tym niebezpieczeństwem, przygody, rytuały, magiczne zaklęcia nadały kiedyś łowiectwu powagę jakiej nie znaleźć w zwykłych sportach i igrzyskach. Coś z tego zostało i wtedy kiedy myśliwiec wyruszał z oszczepem na dzika albo niedźwiedzia nie dlatego, że był potrzebą przymuszony. Ale już uzbrojeni w wielostrzałowe sztucery panowie przyjeżdżający do lasu na parę dni byli o wiele

mniej myśliwymi niż kłusownik z pobliskiej wioski — bo u niego namiętność i potrzeba zdobycia mięsa zgodnie współdziałały. A cóż ten *cacciatore*, którego obrazu nie mogę się pozbyć, choć chciałbym? Kroczył drogą prowadzącą do Assyżu od eremu gdzie niegdyś mieszkał samotnie, rozmawiając z ptakami, Święty Franciszek. Była to jesień, w pełni sezon myśliwski czyli pora przelotów. *Cacciatore* wracał z łowów, zwycięski i, zaryzykuję wyrażenie, choć kobietą nie jestem, zionący obrzydliwą męskością. Na brzuchu miał ładownicę i pas, a przy pasie dyndały, zawieszane za szyje, trupki kilkunastu maleńkich ptaszków z rodziny śpiewających. Ostatecznie, też myślistwo. Choć takie mniej więcej jak w powieści Daudeta, zasługującej na przypomnienie, o przygodach Tartarina z Taraskonu. Myśliwi z miasteczka Tarascon co niedziela wyruszali gromadą na łowy jakkolwiek doskonale wiedzieli, że w okolicy mieszka tylko jeden zając, gruntownie już przez nich ostrzelany. Ale sama czynność — a składały się na nią: czyszczenie dubeltówek, ubieranie się w przepisowe stroje, zbiórka, czujność podczas kiedy posuwali się tyralierą po rzyskach itd., była przecie ważniejsza niż zdobycz, choć samej zdobyczy nie należało, teoretycznie, wykluczać i ostatni zając był z nimi w cichej zmowie. Za niezwykle szybkim wzrostem liczby twórców wszelkiego rodzaju, tak że szeregi ich są równe tysiącom kółek myśliwskich Taraskonu, może kryć się przykry sekret, bo co by było gdyby okazało się, że nie ma już zająca?

To niesprawiedliwe — słyszę głos. Jeżeli zwiększa się liczba ludzi oddanych zajęciom twórczym, to, zważywszy na rzadkość prawdziwych talentów, na każdym kroku musimy natykać się na próby nieudane, stąd też skłonni jesteśmy do surowych sądów. A przecie wysoce ciekawych, nieraz znakomych, wierszy, obrazów, rzeźb, powieści jest dzisiaj nie mniej ale więcej niż dawniej. A poza tym, czy celne jest to porównanie twórczości z myślistwem? Cóż bowiem należy rozumieć pod ściganą przez pisarzy i artystów zwierzyną?

Niestety po dłuższym namyśle wypada odrzucić te argumenty i postawić następujące tezy.

Teza pierwsza. Nie ma już zająca. Umarł naturalną śmiercią. A przenośnia ta ma zastosowanie wszędzie, pod każdą długością geograficzną i w każdym stroju. Co bynajmniej nie oznacza, że zapowiada się na upadek myśliwskiego obrzędu. Przeciwnie, im powszechniejsza jest świadomość że to wszystko na niby, im częściej jedni drugim pokazują na usta, psst, sza, żeby nie wyjawiać tajemnicy, tym więcej ceremoniału i namiętności i nawet frenezji.

Teza druga. Twórców będzie przebywać z każdym rokiem i wygrana ich jako grupy społecznej („inteligencja twórcza”) nie

ulega wątpliwości, to znaczy głównym źródłem ich utrzymania będą datki państwowe albo municypalne.

Teza trzecia. Sposób ich rekrutacji zależeć będzie od taktyki jaką obiorą zarządcy finansami publicznymi czyli dzierżyciele władzy. Zasadniczo są możliwe dwie taktyki a także rozmaite ich odmiany i połączenia. Albo wykorzystuje się nagromadzone energie puszczając mechanicznego zajęcia (cele polityczno-wychowawcze), co na jakiś czas zapewnia korzyści, bo wszyscy którzy za nim gonią są przekonani o ważności własnej roli. Albo, żeby mieć spokój, neutralizuje się twórców pozwalając im na tzw. swobodne eksperymenty, co, jako że nie ma już zajęcia, doprowadza ich do zupełnej niekomunikatywności, stawania na głowie, udawania że są jaszczurkami, krzesłami itd.

Próba teoretycznego uzasadnienia tych tez zaprowadziłaby zbyt daleko, do sporu o kilka podstawowych zasad i prawdopodobnie nie mogłaby się udać. Jeżeli natomiast odwołamy się do naszego oglądu (koń jaki jest każdy widzi), natrafiamy na tę trudność, że czas przyspiesza się geometrycznie, tak że co było dziesięć lat temu traci ważność. Ograniczmy się więc do kilku uwag. Zwierzyną, którą ścigali zawsze powiernicy Muz była, żeby posłużyć się dość dowolnie wybraną nazwą, *substancja człowieka*, czy, jeżeli kto woli, jego *substancjalność*, to znaczy chodziło o utwierdzenie się w pewnej wierze, niezbyt świadome, skoro czym jest ta wiara można się przekonać dopiero kiedy jej zabraknie. Niejakie o niej pojęcie daje tocząca się w ludziach walka pomiędzy formą i chaosem, ładem i bezładem, tym co określone i tym co nieokreślone, ostatecznie nic innego niż walka przeciwko naciskowi nicości, który podrywa zaufanie do miejsca człowieka na ziemi i we wszechświecie. Zarówno homeryckie rapsody jak holenderską martwą naturę można pojmować jako akty zażegnujące, tak aby spełniało się Hölderlina: *dichterisch wohnet der Mensch auf dieser Erde*. Zdolność dokonywania takich aktów nie zależy od żadnych postulatów ani wysiłków woli. To, co zaszło w dzierżawach Muz w ciągu ostatnich dziesięcioleci (czy też zachodzi) ujawnia się pośrednio, poprzez brak zainteresowania odbiorców artystyczną fikcją. Jeżeli twórca nie zażęgnuje, nie utwierdza, bo nie wierzy w realność, w substancjalność i swoją i tego co przedstawia, czyż czytelnik, widz, słuchacz nie odgadują tak istotnego niedostatku? Zapewne, powstaje niemało utworów technicznie znakomitych ale i sama ich technika, np. w prowadzeniu narracji powieściowej, jest zniemiona: jest to przemiana jawy w sen (zwykle koszmar), czyli rozplływają się, tracą swoje kontury przedmioty o trzech wymiarach. Jaki taki ład i wypukłość zachowują utwory o wyraźnej politycznej tenden-

cji, jednakże, jak wskazuje ich krótki żywot, mamy tutaj do czynienia ze zwierzyną zastępczą.

Powstawanie wybitnych dzieł miało w sobie zawsze coś ze zdarzeń cudownych i ministerstwo kultury i sztuki równie dobrze mogłoby się nazywać ministerstwem cudów. Niemniej dziwaczne jest połączenie „produkcji” z „literaturą”, skoro mówiąc o „produkcji literackiej” zakłada się, że arcydzieła mogą być seryjnie wytwarzane. Jeżeli jednak te i im podobne terminy weszły w użycie, to nie bez kozery i można je uznać za znak rozpoznawczy przechodzenia jakości w ilość. Twórcy występują jako grupa i zgłaszają roszczenia do części społecznego dochodu. Starano się określić takie grupy jak „proletariat”, „lumpenproletariat”, „drobnomieszczaństwo”, nie ma też powodu żeby zamykać oczy na pewne cechy wyróżniające tę szczególną kastę czy warstwę.

Przed wszystkim wyraźny jest mały stopień jej samodzielności, co znajduje historyczne wytłumaczenie. Poeci, muzycy, malarze, rzeźbiarze zawsze zależeli od tych, którzy sprawują władzę, i nie mogło być inaczej, jako że dążąc do władzy albo próbując ją utrzymać trzeba na to poświęcać wszystkie czas i siły. Ani miecz ani pieniąż nie były na ogół w gwiazdach pisane ludziom o artystycznym usposobieniu. Ale i w kontroli nad umysłami przypadała im raczej rola wykonawców, podczas gdy kapłan, teolog, a później uczony rozporządzał znacznym zasobem nakazów i zakazów. Co prawda znamy przykłady zbliżenia pomiędzy sztuką i teologią oraz sztuką i nauką w jej wczesnej fazie, jak choćby kiedy Da Vinci był i malarzem i badaczem natury, rzadko jednak były to alianse na równych prawach.

Mała samodzielność nie musi być równoznaczna z zależnością od osób czy instytucji, bo jest i zależność inna: kto posługuje się stylem swojej epoki właściwym i tylko w obrębie tego stylu osiąga doskonałość, nie potrafi poza swoje miejsce i czas wyskoczyć. Chociaż czysto intelektualne dociekania (teologia, filozofia, nauka) też są w znacznym stopniu stylem (językiem) naznaczone, nie noszą tak wyraźnej daty, o czym przekonujemy się zestawiając sylogizmy albo wzory matematyczne roku, dajmy na to, 1650, z malowidłami albo wierszami, które wtedy powstały, i których piękno, jak to się mówi ponadczasowe, zarazem jakby korzysta z tego że wskazuje na rok ich narodzin. Przełomy w dziejach cywilizacji określamy przy pomocy nazwisk myślicieli, czy to będzie Augustyn z Hippo czy Kopernik, a nie przy pomocy nazwisk najgłośniejszych nawet artystów. Ci domu budować nie będą, nie ich to sprawa, fundamenty i ściany są wznoszone przez innych.

Zależni w swoich pojęciach od społeczeństwa w jakim wyrosli, twórcy nieraz się buntowali ale pierwszorzędne umysły zdarzają się wśród nich rzadko, tak że każdy z nich był raczej

medium sił ścierających się na tym samym, ogólnie przyjętym, poziomie. Rzemieślniczy stosunek do artystycznych zawodów raczej sprzyjał dobremu wykonaniu i późniejszy kult Sztuki przez duże S był już oznaką poważnych zaburzeń.

Substancjalności człowieka o której wspomniałem sprzyjał wyjątkowy zupełnie stop chrześcijaństwa i cywilizacji greckiej. Trwało to wieki, aż do tych godzin kiedy zaczyna się nasz dzień tj. do osiemnastego stulecia. Uczono nas w szkole, że romantyzm był reakcją uczuciowości na chłód osiemnastowiecznego Rozumu. Zbyt to uproszczona, choć nienajgorsza formuła, pod warunkiem, że przeciwnicy będą dokładniej nazwani. Równocześnie z ustanowieniem fizyki i mechaniki jako fundamentów tzw. światopoglądu naukowego (w roku 1769 zostaje opatentowany przez Watta tłok do maszyny parowej), wzbiera olbrzymi, dotychczas w swoich przyczynach mało zrozumiały, poryw prometejskiej nadziei: „Dalej z posad, bryło świata!” Poryw ten (czyżby zapowiedź zbawienia duszy przez parę i elektryczność?) nie był po prostu funkcją naukowego przewrotu i raczej pozostawał z nim w związku zaprzecznym, choć niesłuchanie złożonym, stąd też kiedy otrzymuje kształt w literaturze i sztuce oraz nazwę romantyzmu, od Oświecenia i jego dziedzictwa nie daje się odgrodzić żadnymi zgrabnymi definicjami. Zdawało się wtedy że „jutrzenka swobody” przyniesie zwycięstwo „Boskim Sztukom Wyobraźni” (Blake), że poeci będą „prawodawcami ludzkości” (Shelley). Kuszając się o definicję, można by powiedzieć, że romantyzm był ruchem który po raz pierwszy w dziejach przyznawał twórcom samodzielne stanowisko przywódców i myślicieli. To wysokie imniowanie o sobie niestety niezupełnie odpowiadało prawdziwemu ruchowi: to broniła się cała chrześcijańsko-grecka cywilizacja przeciwko czemuś, co, w jej łonie poczęte, miało ją zniszczyć. Umysłowej broni dostarczało romantyzmowi inne Oświecenie, rywalizujące z tym bardziej jawnym, naukowym, i wobec niego wrogie. Neoplatonicy, członkowie „łóż mistycznych”, Swedenborg, Saint-Martin, komentatorzy Jakuba Boehme, czyli ludzie nazywani filozofami, teologami, nie poetami i artystami, pierwsi wystąpili przeciwko językowi nauk (i klasycyzmu) przeciwstawiając mu język starszy, symbolów i mitów. Urzeczenie romantyków średniowieczem i Renesansem (Szekspir, alchemicy) miało więc ukryte, głębsze przyczyny tzn. chęć powrotu do domu, choć niekoniecznie w malowniczą przeszłość. To się jednak nie udało i tzw. światopogląd naukowy wyszedł z pojedynku zwycięsko. Twórcy, pod presją otoczenia, stopniowo pozbywali się swoich chrześcijańsko-platońskich zasobów i po wspianiałym a krótkotrwałym wybuchu romantyzm zaczął doskonalić tylko różne od-

miany ironii i sarkazmu, co przedłuża się do dziś. Genialność romantyków i post-romantyków była niewątpliwa, samodzielność i odporność okazały się nieduże a ich aspiracje do rządu dusz rzadko uzasadnione. Nieliczni, dość potężni żeby niepokoić, zostali należycie zinterpretowani, tak żeby nie razili ludzi postępu i żeby ich nazwiska wolno było wymawiać w przyzwoitym towarzystwie. Sposób w jaki do tego się zabierano dostarczyłby materiału do niejednej rozprawy. Mickiewicz choćby, „grubym zabobonom” swojej prowincji zawdzięczający najwyższą poezję i samą zdolność napisania *Dziadów* czyli średniowiecznego moralitetu, Mickiewicz ze swoimi duchami, kabalistyką i filozofią wziętą od Saint-Martin'a, po ogólnej amnestii stał się wodzem ludu; profetyczny gnostyk Blake, tak przyrzadzony że najtrafniejsze książki o nim są pomijane w bibliografiach, przenicowany, aż odczytano w nim sens odwrotny do jego intencji, może już być sojusznikiem liberalnych i lewicowych profesorów; a z biednym Gogolem wiadomo co się stało — przedwczesny, bo już dręczył go diabeł nicości czyli upadku substancji, musiał sam przyglądać się jak zmienia się, bo tak chcą inni, w satyryka hołdującego społecznym ideałom.

Powyższe uwagi zmiernie do tego po prostu, że jaka umysłowa struktura świata w którym żyją, tacy są twórcy i że wygrana tzw. światopoglądu naukowego zapowiadała rychłą zagładę upragnionej przez nich zwierzyny. Lojalnie stwierdzmy, że godzi to w zwolenników szczególnego wtajemniczenia, które osiąga się tylko przez sztukę. Bo oczywiście duma twórców obudzona przez romantyzm nie dała za wygraną. Już w wieku pary i elektryczności dążyli oni do nowego uzasadnienia swoich uprawnień. Jeżeli wszechświat jest pozbawiony jakiegokolwiek transcendentnego sensu, rozumowano, jeżeli człowiek jest niewytłumaczonym przypadkiem i w zupełnej swojej samotności wobec obojętnych bezmiarów nie ma nic, bo nawet jego intelekt zwraca się przeciwko niemu i staje po stronie niewzruszonych praw przyrody czy historii, tylko wytwory naszych rąk i wyobraźni mogą być naszą ostoją. Akt twórczy usamodzielniał się, odrywał od wszelkich dyskursów, przez rozsądny porządek postępu zmonopolizowanych, bliższy ciemnym objawieniom jakie daje *dérèglement* pięciu zmysłów, haszysz, albo, i przede wszystkim gra nieskończonych kombinacji zawartych potencjalnie w składni, w melopei, w dźwiękach muzyki, w kolorach. Jakieś pięćdziesiąt lat temu ktokolwiek by wystąpił przeciwko obrzędowi ku chwale obrzędu, zauważając że przecież to prowadzi do jałowości, do umysłowego chaosu, byłby podany za zacoфанego, za obrońcę staroświeckiej „treści”. Niestety dświadczalnie można się dzisiaj przekonać co dzieje się z językiem symbolów i mitów kiedy zostanie pozbawiony swojej

najgłębszej racji a mimo to składają mu hołdy jakby nigdy nic. Pogoń za prawdą niemożliwą inaczej do wyrażenia była jego racją bytu i jakiegokolwiek ta prawda nosiła nazwy, jakkolwiek się ją oceni, język mówiący sam siebie, z symbolami i mitami nic nie znaczącymi poza danym układem zamkniętym (wierszem, małowidłem) stopniowo traci wszelkie uroki i otrzymuje swoją zapłatę a jest nią obojętność. Obojętność innych — załóżmy że nie samego twórcy. Toteż wynik czynności przestaje być celem (bo wynik jest w jakimś sensie obiektywny, a więc przyznaczony dla innych), celem staje się sama czynność. Ona też ma być przez społeczność nagradzana.



- Cóż więc mamy robić?
- Przemyśleć wszystko od początku.

Czesław MIŁOSZ

Dziennik pisany nocą

Neapol, 2 lipca 1975

Kto skłonny byłby przyznać rację Sołżenicynowi (w jego sporze z Sacharowem) że „ideologia marksistowska” odgrywa jednak w ZSSR znaczną rolę, zwłaszcza na odcinku wychowawczym, niech najpierw przeczyta scenkę z *Podboju Syberii*, książki dla młodzieży sowieckiej pióra niejakiego Siemionowa.

Hrabia Murawiew Amurskij, gubernator Syberii, zaprasza na herbatę siostrzeńca swojej żony, groźnego zesłańca politycznego. Bakunin (to on jest owym zesłańcem) poucza wujka: „Buduj koleje, sprowadzaj kupców, kapitalistów, rosyjskich lub amerykańskich, *wsio rawno*. Ale musisz Chińczykom odebrać Amur, i nie zapominaj o Ussuri... Syberia, kraj przyszłości!”. Murawiew zamysła się, zapala cygaro i klepie Bakunina po ramieniu z zadowolonym śmiechem: „A bodaj cię diabli! Żandarmi plotą żeś anarchista, ja mianowałbym cię komendantem wojskowym Kiachty!”.

Modelem wychowawczym jest „komendant wojskowy”. Raczej niż na „ideologię marksistowską”, należy się w pedagogii sowieckiej powoływać na arakczejewską wizję społeczeństwa ulępionego z „kolonii wojskowych”.

3 lipca

„Jestem winny?” — pyta ironicznie w liście otwartym do Sartre’a praski filozof marksistowski Karel Kosik, któremu policja zabrała podczas rewizji przeszło tysiąc stronnic manuskryptów. „Nie, nie jest pan winny — odpowiada na serio Sartre. — Pana

list jest dostatecznym dowodem pana niewinności, nie dla mnie tylko, ale dla wszystkich przyjaciół Czechosłowacji najechanej i upokorzonej. Jeśli jest coś co uważam za pewne, to że każdy człowiek ma prawo i obowiązek myśleć samodzielnie. A jeśli w przyszłości bronieć często myśli kolektywnej, to dlatego że przeniknęła we mnie, uznałem ją za prawdziwą czyli własną. Żaden rząd nie jest upoważniony do osądzania myśli swych obywateli. Gdy to robi, bierze za podstawę pseudo-myśli, a nie myśli autentyczne. Autentycznymi nazywam myśli, które rodzą się w nas samych, które sami badamy, uznajemy za słuszne i przyjmujemy na własny rachunek”.

Na ironiczne pytanie z Pragi, stolicy Czechosłowacji upokorzonej, odpowiada najpoważniej w świecie filozof upokorzony w Paryżu. Nie jest może upokorzeniem fakt, że filozof który przez dziesięciolecie ugniatał w określonym kierunku lewicową elitę intelektualną Zachodu „rozgrzesza” teraz pompacyjnie, stylem namaszczonego retora, swego młodszego kolegę ze Wschodu w imię chwalebnych komunatów o „prawie każdego człowieka do samodzielnego myślenia” i o „bezprawiu każdego rządu pretendującego do osądzania myśli swych obywateli”? Nie jest może żalony (byłby tragiczny, gdyby odbywał się z odrobiną pokory) ten powrót do źródeł po długim krążeniu, miotaniu się i szastaniu w polu magnetycznym „myśli kolektywnej”?

Siedemdziesięcioletni Sartre, prawie ślepy, żegna się z piórem. Marksizm, niegdyś sławiony jako „bezkonkurencyjny horyzont myślowy naszych czasów”, ukazuje mu się obecnie jako „wyłączanie teorii władzy przepompowana z Zachodu do serca systemu sowieckiego”. Ocalenia należy szukać w anarchizmie. Jeszcze parę lat temu odnotowałem w dzienniku majaczenia Sartre'a na łamach jakiegoś pisma amerykańskiego o tym co robiłby w roli rewolucyjnego komendanta wojskowego Paryża: była tam, między innymi, wizja lochów więziennych wypełnionych konserwatywnymi profesorami Sorbony. Tak się to dziwnie plecie: Bakunin, w czytankach sowieckich, awansowany z anarchisty na komendanta wojskowego; Sartre, u progu samotnej starości, autodegradujący się z komendanta wojskowego na anarchistę.

9 lipca

Socmistycyzm albo socjalmistycyzm, produkt w fazie wykańczania i doskonalenia w Polsce, przeznaczony również w bliskiej przyszłości na eksport. Czytam o nim w dzisiejszym *Corriere*, w sensacyjnej korespondencji *Socialmisticismo a Varsovia*. Autor

jest krytykiem teatralnym wielkiego dziennika mediolańskiego, wysłano go do Warszawy na festiwal, tam w przerwach między spektaklami dowiedział się o drogocennych właściwościach polskiego socmistycyzmu. Podaje nazwiska trzech wysoko postawionych informatorów: Adam Hanuszkiewicz, dyrektor Teatru Narodowego; Jerzy Lisowski, zastępca redaktora *Twórczości*; oraz Andrzej Wajda. Wtajemniczono go w polską produkcję syntetycznej gumy ideologiczno-kulturalnej nie bez kozery: Warszawa z radosnym uniesieniem przyjęła wiadomość o sukcesie wyborczym komunistów w katolickich Włoszech, więc w nowych warunkach powstaje wcale obiecująca szansa rychłego przeszczepienia socmistycyzmu z ziemi polskiej na włoską. Słowem, Fiat na licencji włoskiej w Warszawie, socmistycyzm na licencji polskiej w Rzymie.

Główną zasadę polskiego socmistycyzmu wyłożył krótko i węzłowato Włochowi złańcionemu dobrej nowiny dyrektor Teatru Narodowego: „W tym kraju jesteście wszyscy katolikami, chociaż nie wszyscy praktykującymi; jak wszyscy jesteście komunistami, chociaż nie wszyscy mamy w kieszeniach legitymacje partyjne”. Zasada musiała się wydać Włochowi zbyt już węzłowata, bo na odsiecz dyrektorowi Teatru Narodowego pospieszył elokwentny rafinat z *Twórczości*: „Kraj katolicki nadaje się dobrze do współżycia dwóch odmiennych systemów ideologicznych. Tkwi w nich coś powierzchownego i głębokiego, stwarzając grunt pod porozumienie, ułatwiając znalezienie wspólnego mianownika... Dlatego cieszylibyśmy się bardzo, gdyby Włochy obrały podobną drogę... Kultura włoska nie wyszłaby na tym z pewnością źle, wystarczy pomyśleć o nadzwyczajnym rozwoju kulturalnym w Polsce w ciągu ostatnich trzydziestu lat... Tu dla kultury zrobiono rzeczy kolosalne. Intelktualiści są ważnymi personami, śledzi się uważnie ich działalność... Kultura katolicka może się swobodnie wypowiadać, ma swoje domy wydawnicze, swoje gazety”. Po czym, prawdopodobnie z warszawsko-paryskim zezikiem: „Kiedy przykręca się mocno pokrywę garnka, wszystko wewnątrz gotuje się szybciej, z większą gwałtownością i żywotnością. Obowiązuje wówczas maksyma owego mędrca francuskiego, która wygląda na paradoks, a nie jest daleka od prawdy: sztuka rozkwita pod przymusem, usycha od wolności”.

Włoch, jak wolno sądzić z zakończenia jego korespondencji o „socjalmistycyzmie w Warszawie”, stanął przed klasycznym dylematem cudzoziemców przestających z intelektualistami polskimi: błyskotliwe inteligencje czy imbecyle? „Ta mieszanka mistycyzmu i marksizmu, introspekcji egzystencjalnej i dogmatu politycznego, nadaje urok życiu kulturalnemu w dzisiejszej Polsce. Pewnie, należałoby pożyć tutaj dłużej, by przekonać się naocznie

jak indywidualizm i wolność (o których tyle mówią) dadzą się pogodzić w codziennej rzeczywistości z wymaganiami systemu”.

10 lipca

W przysłanym z kraju memoriale wciąż draży mnie jeden fragment. Mowa o repatriacji Polaków z ZSSR w latach 1957-1958, na mocy umowy Gomułka-Chruszczow. Repatriacja ta, w przeciwieństwie do poprzedniej z lat 1945-1955, obejmowała także więźniów i zsylnych. Terenowe władze sowieckie sabotowały ją wyraźnie, toteż (piszą autorzy memoriału) „do Polski wróciło wtedy tylko parę procent Polaków, około 50.000 ludzi, licząc razem wolnych, więźniów i zsylnych; reszta została na zawsze, gdyż teraz tylko jednostki jakimś cudem mogą wrócić; przed pięciu laty wrócił z obozu, aresztowany w roku 1939 jako dwudziestoletni młodzieniec: cień człowieka, kręgosłup ma zgięty w pół, usta zamknięte, milczące, jest schorowany, zdziwaczały, nie chce nikomu dać swego adresu; pozostały mu tylko piękne rysy twarzy”.

Polski Sołżenicyn, gdybyśmy takiego mieli (oczywiście zaszytego w tłumie socmistrzów), napisałby powieść o tym co „nie chce nikomu dać swego adresu”.

20 lipca

Baudelaire zastrzegał się w szkicu o malarstwie Corota: „Jeśli wolno zestawiać kompozycję pejzażu z budową człowieka...”. Wolno, chociaż nie tak jak to zrobił Baudelaire, zafascynowany „anatomiczną harmonią” jego krajobrazów. Dwukrotnie widziałem w czerwcu wystawę Corota w *Orangerie*, za każdym razem to samo wrażenie: malował pejzaże jak portrecista zakochany w swoich żywych modelach, opanowany gorączką dotarcia do ich „duszy”.

Corot nie był malarzem krajobrazów *d'après nature*. Swoje malarstwo określił najlepiej w wyznaniu autobiograficznym: „Do osiemnastego roku życia kształciłem się w szkole w Rouen. Ukończywszy ją, zajmowałem się osiem lat handlem. Ponieważ miałem go dosyć, stałem się pejzażystą, uczniem Michailona i Bertina. Potem *rzuciłem się*, zupełnie sam, na naturę”. Rzucił się na naturę „kierowany instynktem, posłuszny instynktowi”, odczytując krajobraz „tyleż sercem co okiem”. Valéry pisał, że „pomiędzy życiem, wizją i malarstwem nie ma u Corota najmniejszej mediacji

intelektualnej”, że „jego pomysłowość jest naturalna jak ruch, taniec i mimika”.

Na wystawie, rzecz jasna, przyciągał mnie w pierwszym rzędzie *Corot d'Italie*. Most w Narni, Rzym (zwłaszcza cudowna wyspa na Tybrze), Ischia, Tivoli, Volterra. Wśród nowoczesnych pejzażystów „ugryzionych” Włochami nie znam drugiego, który by krajobraz oglądał z taką miłością i wiarą w jego potajemne życie możliwe do odsłonięcia. Marzeniem Corota było malować pejzaże na ścianach więzień. O nim myślał młodzieńki Camus, gdy podczas swego pierwszego wояażu włoskiego zanotował w dzienniku, że krajobraz posiada niezwyklej dar „działania kojącego”?

31 sierpnia

Stendhaliści nie lubią z nadto rozprawiać o *De l'amour*, wołają z zażenowaniem uznać „kodyfikatorskie fiasko” wielkiego znawcy miłości, przebąkując (słusznie) dla rekompensaty o znacznie wyższej wartości lapidarnych *Souvenirs d'égotisme*. Biedny Tomasi di Lampedusa, który mistrza z Grenoble uwielbiał, usiłuje w swoich *Lezioni su Stendhal* zrównoważyć surowy sąd ogólny („*disiecta membra* źle zebrane i całkowicie puszczzone samopas”) cichą i nieśmiałą nadzieją, że czytelnik potrafi „rozkoszować się każdym odpryskiem z osobna”. Przesada że każdym, ale są niewątpliwie w *De l'amour* „odpryski”, które na okamgnienie pokazują lwi pazur Stendhala. Niestety na okamgnienie, jakby się miało do czynienia z myślami i obserwacjami urwanymi pośpiesznie w pół zdania. Na przykład, ładny rozdziałik *Werther i Don Giovanni*, gdzie Stendhal dotyka problemu próżności. Za punkt wyjścia służy maksyma La Rochefoucauld: „Urokiem miłości jest kochać, napawa większym szczęściem namiętność którą się odczuwa niż namiętność którą się wywołuje”. Potem błyskawiczny komentarz Stendhala: „Don Giovanni buduje swoje szczęście na próżności, to prawda że w sposób inteligentny i przedsiębiorczy; lecz musi sobie uprzytamniać, że byle jaki generał wygrywający bitwę, byle jaki prefekt zarządzający departamentem, przeżywa więcej przyjemności od niego; podczas gdy szczęście księcia Nemours, na wiadomość że kocha go księżna de Clèves, przewyższa szczęście Napoleona pod Marengo. Don Giovanni za miłość bierze uczucie podobne do pasji myśliwskiej”. Doskonałe jako rozbieg, kończy się jednak na samym rozbiegu. Stendhal zatrzymuje się o krok przed rzeczą najważniejszą, najbardziej tentującą dla pisarza: psychologiczne odmiany próżności, bogactwem

i głębią, w niczym nie ustępują odmianom szczęśliwej i „naturalnej” miłości.

Przeglądałem ostatnio w dzienniku Kierkegaarda partie poświęcone „jej”, czyli zerwaniu narzeczeństwa z Reginą Olsen. Historia jest słynna, kluczowa w życiu duńskiego ojca egzystencjalizmu, jak kometa wlece za sobą ogon różnorodnych i sprzecznych interpretacji. Mnie przykuwało w lekturze rozpaczliwe zacieranie śladów szczęścia budowanego na próżności, i później jednym ciosem zrujnowanego. Kierkegaard był we władzy „uczucia podobnego do pasji myśliwskiej”? Narzeczeństwo z Reginą fascynowało go „namiętnością wywołaną w drugiej osobie”? Wiele za tym przemawia, zwłaszcza zaśłaniania niezbyt umiejętnie i ze wstydem *delectatio morbosa* po zerwaniu i na widok cierpień Reginy. Chciał ją przekonać że jest „oszustem”, „szalbierzem”, sądząc że jej to ułatwi przełknięcie gorzkiej pigułki. Jakż dumny i żaloszny zarazem wybieg próżności, która pod stopami proroka „aut-aut”, filozofa „lęku i drżenia”, otworzyła przepaść!

4 września

Zagrozonej ślepotą żonie Sacharowa udało się wreszcie, po blisko rocznych kołatanjach w urzędach moskiewskich, przyjechać do Włoch na zaproszenie dyrektora sienneńskiej kliniki okulistycznej. 20 sierpnia przyjechała do Florencji, obskoczyli ją natychmiast żurnaliści. Wszelkie próby pytań „politycznych” zbywała stanowczym *nie otwierają*. Jedyne wyznanie „polityczne”, jeśli wolno je tak nazwać, znalazłem w jej rozmowie z wysłannikiem mediolańskiego *Giornale*. Powtórzyła świeżą uwagę męża: „Chcilibyśmy by w Rosji zapanowała choć odrobina demokracji; tej demokracji która, jak się zdaje, przejadła się już Zachodowi”.

24 sierpnia *Giornale* zaczął drukować w odcinkach nowy, studnicowy esej Sacharowa *Moja ojczyzna i świat* (Sacharow pracował nad nim siedem miesięcy i zamierza zamknąć nim swoją „amatorską” działalność pisarską). Odtąd, gdy wracam rano z kiosku, odcinek Sacharowa jest dla mnie emocją dnia. Po trzecim czy czwartym przypominał mi się fragment dziennika Lidii Czukowskiej, opis wizyty u Achmatowej 4 marca 1956 roku. Tego dnia Moskwę obiegł tekst „tajnego raportu” Chruszczowa. Achmatowa, przejęta, stojąc obok okna naprzeciw Czukowskiej: „Myśmy o tym wszystkim wiedziały, nieprawdaż?, ale teraz mamy potwierdzenie dokumentarne”. Myśmy o tym wszystkim wiedzieli, nieprawdaż?, ale teraz mamy świetne i precyzyjne potwierdzenie dokumentarne „jawnego raportu” Sacharowa.

Dwa urywki muszę tu przepisać, bo przystają jak ulał do

wielu partii mojego dziennika. „Niewystarczającym zrozumieniem tego co kryje się za fasadą społeczeństwa sowieckiego, niezrozumieniem potencjalnych niebezpieczeństw totalizmu sowieckiego, należy tłumaczyć większość złudzeń zachodniej inteligencji i, w ostatecznej instancji, masę niewiarygodnych błędów i porażek polityki zachodniej, która bez walki oddaje piędy po piędzi teren swemu partnerowi w odprężeniu”. Dalej: „Obywatel sowiecki jest owocem społeczeństwa totalitarnego i chwilowo jego główną podporą. Mogę tylko zaklinać los, by wyjściu z tego ślepego zaułka historii nie towarzyszyły gigantyczne wstrząsy, o jakich dzisiaj nie mamy nawet pojęcia. Oto dlaczego jestem ewolucjonistą i reformistą”. Warte dobrego zapamiętania: rosyjski (czy tylko rosyjski?) „ewolucjonizm i reformizm” jest produktem zgrozy wobec perspektyw, naszkicowanych w książeczce Amalrika.

Maisons-Laffitte, 7 września

W przejeździe przez Rzym, w paru szybkich rozmowach przy kawie, potwierdziło się to co jest oczywiste dla każdego uważnego obserwatora: gwałtowny wzrost głosów oddanych na listy komunistyczne w wyborach czerwcowych, po którym nastąpiła zupełnie nieoczekiwana (jeśli idzie o stopień i zasięg) degrengolada chadecji, oznacza przesunięcie trwałe a nie profilaktyczną „nauczkę” pod adresem partii, która w takich czy innych układach rządzi Włochami od trzydziestu lat, przeplatając niewątpliwy rozwój kraju jeszcze bardziej niewątpliwą korupcją na wszystkich szczeblach administracji. Jest to zdaje się, jak w przeddzień ostatecznego usadowienia się Mussoliniego w siodle, ten osobliwy moment psychologiczno-polityczny, kiedy do głosu dochodzi w formie lawiny narodowy impuls Włochów „pobiegnięcia na pomoc zwycięzcom”. Przyczyn ostrego wysforowania się komunistów do przodu można by wymienić sporo, naturalnie też różne i zależne od środowiska są uzasadnienia pomocy ofiarowanej Berlinguerowi. Była do przewidzenia, wśród zamożnej i w duchu antykomunistycznej burżuazji, *la filosofia gattopardesca*; czyli słynne i ufne „trzeba wszystko zmienić, żeby wszystko zostało po staremu” księcia Fabrizio Salina w powieści Lampedusy. Natomiast parę schodków niżej, gdzie bilansu komunizmu u władzy na Wschodzie nie przyjmuje się w ogóle do wiadomości, albo mówi się o nim „gruba przesada” czy „nas to nie dotyczy”, obowiązuje *la filosofia ferrantesca*. Silone w *Szkole dyktatorów*: „W naszej literaturze znana jest postać Don Ferrante, osiemnastowiecznego ideologa mediolańskiego, który długo i głęboko rozmy-

ślał o epidemii cholery, jaka nawiedziła nasze północne prowincje. Według Arystotelesa, jak dobrze wiedział, istnieją tylko dwie kategorie: rzeczy akcydentalnych i rzeczy substancjalnych. Ponieważ zaś symptomy i skutki cholery zdawały się nie mieścić w żadnej z tych dwóch fundamentalnych kategorii, zakonkludował: nie ma takiej rzeczy jak cholera. Co nie przeszkodziło, że zaraził się nią i umarł”.

Ale obie „filozofie” składają się na jedną stronę medalu; odwrotna jest ciekawsza i ważniejsza. Gdy ogłoszono wyniki wyborów czerwcowych i tłum wiwatował nocą pod siedzibą partii na *Botteghe Oscure*, jednemu z wysokich funkcjonariuszy partyjnych wyrwało się westchnienie: „Boże (sic!), co my zrobimy z taką furą głosów?”. I rzeczywiście. Władza przybliżyła się teraz do komunistów, i to nawet bez upragnionej spótki z chadkami (czyli „kompromisu historycznego”). A Berlinguer u steru oznacza dziś we Włoszech: po pierwsze, dowieść względnej przynajmniej niezależności od towarzyszy sowieckich, pokazać że zapewnienia i przechwałki na ten temat nie były tylko autoryzowanym kwaśno w Moskwie manewrem taktyczno-propagandowym; po drugie, nakłonić świat pracy by dał spokój, pod rządami własnej partii, nieustannym rewindykacjom i strajkom. Nikt lepiej od włoskich przywódców komunistycznych nie zna w tym kraju towarzyszy sowieckich, monitem było (dla dotkniętych przelotną amnezją czy euforią) zachowanie się Kirilenki na ostatnim kongresie PCI. I nikt lepiej od nich nie wie jakim państwem w państwie, olbrzymem ledwie kontrolowanym przez swego komunistycznego sekretarza generalnego, stały się związki zawodowe. Stąd bystra uwaga P. w Rzymie: „Berlinguer musi na gwałt przyspieszyć proces infiltracji w policji i w wojsku”.

10 września

Ostatnie odcinki Sacharowa (esej nazywa się w oryginale *O stranie i mire*). Szczególnie uderzający ten, w którym mowa o „lewicowej modzie” na Zachodzie. Sacharow przypisuje ją ignorancji, lukom informacji i niedowładowi wyobraźni, w stosunku do „socjalizmu totalitarnego” (lub, jeśli kto woli, „pseudosocjalizmu”), cytując zdanie Bielinkowa z jego listu do PEN-Klubu: „Socjalizm jest rzeczą łatwą do skosztowania, lecz trudną do wypłucia”. Mniej niż połowiczna to prawda, główny nacisk trzeba położyć na obojętność wobec cudzych i odległych doświadczeń: mało kogo obchodzi tutaj na serio co się działo i dzieje po tamtej stronie „granicy dwóch światów”. Sacharow, który nigdy na Zachodzie nie był i zna go tylko z lektury, przybliży się bardziej

do rzeczywistego obrazu w napomknieniu o innym składniku „lewicowej mody”. Pisz o rozpowszechnionej wśród „lewicowców” zachodnich opinii, że tam z konieczności i z braku zakorzenionych tradycji demokratycznych socjalizm ma twarz „azjatycką” („postępowa” jednak względem przeszłości i w odmiennym układzie odniesień), a tu będzie miał twarz „ludzka”. Celne jest u Sacharowa określenie tego idiotyzmu: „słowianofilstwo à rebours”.

W ostatnich odcinkach czyta się znowu o „ślepych zaułku historii z którego trudno wyjść bez gwałtownych wstrząsów”, co dowodzi jak głęboki jest lęk moskiewskiego „ewolucjonisty i reformisty”. Lęk nie ogranicza się zresztą do ZSSR, bliźniaczo podobny głos dobiega z Pragi. Wczoraj pokazano mi list dramaturga czeskiego Vaclava Havela do Husaka, datowany 8 kwietnia 1975. „Boję się okrutnych i długotrwałych skutków, jakie dzisiejsza przemoc będzie miała w przyszłości dla naszych dwóch narodów; boję się ceny, jaką będziemy musieli zapłacić wszyscy za brutalne stłumienie historii, za zepchnięcie życia w podziemia społeczeństwa i ludzkiej duszy”. Przyszłość widzi Havel jako „huragan wdzierający się w świat zatęchłych, ustabilizowanych struktur władzy”; jako „pęknięcie skorupy pod ciśnieniem lawy życia”. Dziennikarz z *Washington Post* przytacza prostą i mądrą uwagę „szarego” mieszkańca Moskwy: „Znacznie łatwiej wtłoczyć w komunizm całe państwo, niż jednego człowieka”.

13 września

Sacharow nie zdaje sobie również sprawy jak silny jest na Zachodzie kompleks „nieinterwencji” w Rosji, przypuszczalnie spadek (który przerodził się w odruch warunkowy) po nieudanych „interwencjonizmie” porewolucyjnym. Nawet wśród najlepszych, słusznie przez nas cenionych czy podziwianych. Dla Sacharowa byłby pewnie zaskoczeniem taki fragment z przedmowy Orwella do ukraińskiego wydania *Folwarku Zwierzęcego* (1947); Orwella, uczestnika wojny domowej w Hiszpanii i autora pięknej książki *W hołdzie Katalonii*: „Zrozumiałem jaśniej niż kiedykolwiek negatywny wpływ mitu sowieckiego na zachodni ruch socjalistyczny. Muszę tu przerwać, by opisać mój stosunek do reżymu sowieckiego. Nigdy nie byłem w Rosji, moja wiedza o niej ogranicza się do tego co można przeczytać w książkach i gazetach. Nawet gdyby to było w mojej mocy, nie chciałbym się wtrącać do sowieckich spraw wewnętrznych: nie potępiłbym Stalina i jego współpracowników jedynie za ich barbarzyńskie i niedemokratyczne metody rządzenia. Całkiem możliwe, że z najlepszymi nawet intencjami nie byli w stanie postępować inaczej w panujących tam

warunkach. Lecz z drugiej strony było dla mnie rzeczą niezmiernie ważną, by ludzie w Zachodniej Europie widzieli reżym sowiecki w jego prawdziwej postaci... Dlatego w ciągu ostatnich dziesięciu lat pozostałem wierny przekonaniu, że zniszczenie mitu sowieckiego jest nieodzowne, jeśli ma odżyć ruch socjalistyczny”.

Całkiem możliwe że aż do śmierci, po czteroletnim wyścigu z nią w trakcie pisania *Roku 1984*, Orwell pozostał wierny przekonaniu że „interweniować” wolno w Hiszpanii, lecz nie — uchronaj Boże! — w Rosji.

22 września

Wyświetlany w kilku kinach paryskich film *Histoire d'O* jest obrzydlistwem i pornograficznym rzygowiskiem, nie da się jednak przejść obojętnie obok faktu, że oglądało go już ćwierć miliona ludzi; i że dość w końcu dbały o jaki taki poziom *L'Express*, w każdym razie nie brukowiec, odsmażył po dwudziestu latach powieściłko pani Réage z towarzyszeniem „aprecjacji” pióra Jean Paulhan'a *de l'Académie Française*.

W stosunku do nagiej *violence*, powiedzmy do *Clockwork Orange*, notowania na giełdzie psycho- i fizjologii głębinowej podskoczyły w wolnym świecie o wiele kresek. W *Historie O* wpisana jest, językiem seksu, filozoficzna pochwała niewolnictwa. Pani Réage, okazuje się że również „łacinniczka”, ujęła swoją filozofię w dwóch zdaniach, a film skrupulatnie ją odtworzył ku pożytkowi małuczki nałogowców ekranu. Punkt wyjścia: *Tota mulier in utero*. Punkt dojścia („odrobinę świętokradczy”): *In manus tuas, Domine*. Są pewną pociechą oburzone listy do tygodnika paryskiego? Jakakolwiek byłaby odpowiedź, dwa równoważą nieco dwuzdaniową filozofię O. Pierwszy, mężczyzny: „Nie czujecie, w chwili gdy Sołżenicyn opisuje horrory Gułagu, nieprzyzwoitości wychwalania tego „Gułagu domowego” opisanego przez panią Réage?”. Drugi, kobiety: „Bardzo wzruszająca jest w ostatnim numerze fotografia spotkania Simone Veil-Golda Meir, ofiar tortur w hitlerowskich kacetach. A parę stron dalej elukubracje *Histoire d'O*, które wywodzą się z tych samych impulsów sadystycznych i masochistycznych co tortury zadawane kobietom w Oświęcimiu!”.

Kiedy w zakończeniu filmu panna O, wychłostana, wymacerowana, ostemplowana nad tyłkiem inicjałami swego pana i władcy odcisniętymi gorącym żelazem, patrzy mu w oczy z adoracją, jaką sprężynkę w moim mózgu potrafił ten zachodni szlagier salonowy na cześć niewolnictwa? „Ale teraz było już dobrze...”

Walka była skończona; Winston odniósł zwycięstwo nad samym sobą: kochał Wielkiego Brata!”.

Florencja, 2 października

Elena Sacharowa po operacji glaukomy, która udała się bardzo dobrze. Za grubymi szklami oczy osoby spokojnej, dzielnej, rozumnej. Do Moskwy wraca w listopadzie, teraz — odzyskawszy zanikły prawie wzrok — chciałyby się nacieszyć widokiem Włoch. Zwołała konferencję prasową w domu swej florentyńskiej przyjaciółki Marii Olsufiewej, świetnej tłumaczki literatury rosyjskiej na włoski. Przed wpuszczeniem czekających dziennikarzy włoskich i zagranicznych Olsufiewa umożliwiła mi rozmowę z nią, w kącie dużego pustego salonu. I od razu miła niespodzianka: Sacharowa ucieszyła się że reprezentuję na konferencji nie tylko *Giornale* (w którym drukowano w piętnastu odcinkach esej jej męża *O stronie i mire*), ale i *Kulturę*; i ona i Andriej Dimitriewicz słyszeli wiele o polskim miesięczniku wydawanym w Paryżu.

W rozmowie padło w pewnej chwili nazwisko Kołakowskiego. „Czytaliśmy dwie jego rzeczy, cenimy go oboje wysoko. Czytaliśmy rozdział z jego historii marksizmu w *Kontynencie*, oraz *Tezy o nadziei i beznadziejności*”. Nie mogłem powstrzymać zdziwienia: „*Tezy* ukazały się po polsku w *Kulturze...*”. Sacharowa przerwała mi z uśmiechem: „Widocznie jakiś Polak przyniósł z Warszawy do Moskwy oryginał, który przełożono na rosyjski i wprowadzono do sieci *samizdatu*”. Po czym, jak gdyby jej zależało na rozwianiu resztek moich wątpliwości: „*Da, da, Tezisy chodily po rukam*”.

Na konferencji prasowej, w salonie zatłoczonym po brzegi i rozjaśnianym co parę minut błyskiem lamp telewizyjnych, postawiłem jej trzy pytania.

Pierwsze. Ostatnią książeczkę Sacharowa, którą uważam za tekst ogromnej wagi, otacza jak dotąd swoista zмова milczenia. Mija właśnie miesiąc od druku wersji włoskiej w *Giornale*, zdawałoby się dość by poruszyć dziennikarzy i komentatorów w innych krajach Zachodu. A tymczasem cisza. Czemu przypisać to osobliwe zjawisko? Sacharowa odpowiedziała krótkim *ja nie znam*, w którym wyczuwało się słuszną wymówkę: raczej ja miałabym prawo oczekiwać od was wszystkich wyjaśnienia tego zjawiska. I skorzystała z okazji, by odtworzyć dzieje książeczki po dziś dzień. Manuskrypt dotarł w czerwcu do rosyjskiego wydawnictwa w Stanach *Kronika-Press* i po miesiącu wyszedł w broszurze; kilka fragmentów ogłosił *Time*; całość ogłosił w odcinkach *Giornale*, w okresie od 24 sierpnia do 10 września; w tych

dniach pojawiły się dwa pełne wydania w tomikach — amerykańskie u Knopfa i niemieckie u Moldena; *Spiegel* dał obszerne streszczenie w ostatnim numerze. Więc wygląda na to, że odbywają się przygotowania do spóźnionego startu. Jak pójdzie dalej, zobaczymy.

Drugie. Sacharow był już raz kandydatem do pokojowej nagrody Nobla, przepadł wtedy na rzecz Kissingera i Le Duc Tho. W tym roku kandyduje znowu, z prezydentem Finlandii Kekkonenem. Czy ewentualne przyznanie mu nagrody w tym roku zaszkodziłoby jego działalności w ZSSR? Sacharowa z naciskiem, skandując niemal słowa: „Absolutnie nie. Wprost przeciwnie. Należą na szczęście w Rosji do przeszłości czasy, gdy można było rozpętać kampanię przeciw Pasternakowi za wybór dokonany przez Akademię Szwedzką”.

Trzecie: Na początku września *New York Times* przytoczył, w korespondencji z Moskwy, następujące oświadczenie władz sowieckich; ilekroć KGB arestuje członków dwudziestoosobowej sekcji moskiewskiej *Amnesty International*, lub przeprowadza rewizje w ich mieszkaniach, nie ma to nic wspólnego z ich przynależnością do wymienionej organizacji. Oświadczenie odpowiada prawdzie? Sacharowa: „Nie. Jest to formułka na użytek zagranicy”.

Wysłannik telewizji włoskiej zadał jej pytanie, czy w razie upadku albo śmierci Breżniewa nie nastąpiłyby dla jej męża jeszcze cięższe czasy. Skwitowała je przysłowiem rosyjskim: *Nie molis' cztoby Bog dał nowost', molis' cztoby eto stało łuczsze*. Było łatwo dosłyszeć w tych słowach echo największej obawy Andrieja Sacharowa, „reformisty” i „ewolucjonisty” zwracającego się do własnych rodaków i do świata z kart *O stranie i mire*: obawy że bez reform i stopniowej naprawy sytuacja w ZSSR przechylą się nieuchronnie w stronę kataklizmu.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Nad Wentą

(Z GAWĘD O POLAKACH NA KOWIĘNSZCZYŹNIE)

Za pierwszym moim pobytem na Kowieńszczyźnie zatrzymał się najdłużej w Kiecinach. Zapamiętałem sobie to pierwsze z nimi spotkanie i wiele następnych, gdy już osiadłem w Kownie na dłuższy czas.

Do Kurkl w stronach wiłkomierskich później nie zaglądałem. Po śmierci ciotki mej żony, pani Maciejewskiej, nic nas tam szczególnego nie ciągnęło. Żona zawsze starała się mnie przekonać, że nigdzie w Polsce ludzie nie są tak „krewieńscy” (czyli rodzinni, albo do rodziny przywiązani) jak na Litwie. Ale okazało się, że od tej skądinąd bardzo sympatycznej reguły i w jej najbliższej rodzinie zdarzały się wyjątki.

Natomiast do Kiecin ciągnęło mnie zawsze.

Cieszyłem się też bardzo, gdyśmy po odwiedzeniu Poniewieża ruszyli koleją na północ, w Szawelskie, na Żmudź. Cieszyłem się na poznanie tej rdzennie litewskiej części kraju, znacznie mniej podszytej wpływami polskimi od okolic wiłkomierskich, poniewieskich, czy kowieńskich. Ale był jeszcze jeden powód do radości. Poznałem już wcześniej bodaj wszystkich mieszkańców kiecińskiego dworu. Niektórych nawet bardzo dobrze. I chciałem ich zobaczyć w żmudzkiej siedzibie.

Z Kowna jechało się wówczas do Kiecin bardzo długo. W Szawlach trzeba było czekać co najmniej dwie bite godziny na „Bummelzug”, by dojechać do stacji Powencie. Włączyliśmy się więc po dworcu szawelskim niewiele różniącym się od dworca w Wierzbołowie czy Poniewieżu. Wyjrzelśmy nawet trochę na miasto. Ale przyległe ulice nie zachęcały do dalszych spacerów. Szare. Bez żadnego wyrazu czy charakteru. Z nudów pokrępia-

liśmy się w restauracji dworcowej. Obserwowałem podróżnych. Mówili wyłącznie po litewsku. Kelner, człowiek w starszym wieku, nie mówił czy nie chciał mówić po polsku. Zamawiałem dania po rosyjsku.

Weszliśmy wreszcie do „Bummelzugu”, który zatrzymywał się na wszystkich stacyjkach. Przyglądałem się krajobrazowi, ale nie byłem nim zachwycony. Zdawało mi się, że jedziemy znowu wśród monotonnej płaszczyny. Spodziewałem się, że gdzie jak gdzie ale na Żmudzi otoczą nas lasy. Tylko od czasu do czasu wyrastały na horyzoncie.

Dworzec w Powenciu (po litewsku Paventis) składał się z wagonu towarowego. Wchodziło się do niego po schodkach. W jednej połowie urzędował zawiadowca stacji i zarazem sprzedawca biletów. Drugą połowę przeznaczono na poczekalnię. Stało tu parę ławek. Po środku żelazny piec. Dopiero po paru latach, gdy tuż koło Kiecin wyrosła jedna z kilku na Litwie cukrowni, miejsce wagonu zajął mały, nowoczesny dworzec.

Ale latem 1932 roku nikomu się jeszcze o tym nie śniło. Piszę tyle o tym „dworcu” nie dlatego, aby mnie jego widok zaskoczył. Nic podobnego! Przypomni mi lata w Polsce po pierwszej wojnie, gdy zniszczone dworce zastępowały również czerwone wagony towarowe.

W Powenciu czekał na nas z końmi Waclaw Jakubowski, najstarszy syn owdowiałej pani Marii Jakubowskiej, ciotecznej siostry mej teściowej. Rządził na Kiecinach z przyległościami, razem na 600 hektarach. Posiadanie w rękach jednej rodziny takiej ilości ziemi należało w Kowieńszczyźnie do rzadkości. Po śmierci Jana Jakubowskiego każdemu ze spadkobierców przypadło po 150 hektarów. A spadkobierców było czworo: wdowa oraz troje dorosłych dzieci: Waclaw, Edmund i Iza. Folwark Izy nazywał się Kateliszki, Edmunda zwanego Edziem — Czujnie.

Waclawa znałem najdawniej. Był moim rówieśnikiem. Kiedy w 1922 roku odbywałem praktykę handlową w Gdańsku, Waciek studiował na niemieckiej politechnice we Wrzeszczu. Należał tam do jedynej wówczas korporacji polskiej. Odwiedzał mnie często w Gdańsku. Włóczyliśmy się po knajpach i kinach. Rewizytowałem go nie mniej często we Wrzeszczu. Choć byłem przeciwnikiem korporacji, tu, w Gdańsku, w którym szybko odżywały przytłumione na krótko nastroje antypolskie, spędzałem niejedną godzinę w gronie korporantów, kolegów Waćka. Gawędziłem z nimi, popijałem, nie unikając drobnych spięć z „szupo”, czyli policją gdańską. Nie było o nie trudno. Śpiew czy głośne rozmowy polskie wyprowadzały z równowagi niemieckich stróżów porządku publicznego Wolnego Miasta.

Po skończeniu politechniki Waciek jeździł po świecie. Był

nawet w Stanach Zjednoczonych. Osiadł potem w Warszawie, gdzie jako inżynier, pracował w szwajcarskiej firmie elektro-technicznej Brown-Bovery, w Alejach Jerozolimskich. Spotykałem go często. Wysoki, przystojny, ubierał się elegancko. Robił wrażenie człowieka, który bardziej pasuje do życia w wielkim mieście, niż na wsi.

Ale trzeba było komuś prowadzić poważny obiekt gospodarczy, który został w ręku rodziny. Zrezygnował więc ze swych nie tylko wielkomiejskich lecz fachowych upodobań i przeniósł się do Kiecin. Tym bardziej, że Edzio, choć skończył w Nancy chemię rolną, szczególnych namiętności do gospodarowania na roli nie zdradzał. Od czasów szkolnych pociągało go pisanie. Posiadał niewątpliwy talent. Był bystrym obserwatorem. Pióro miał cięte. Umiał zabarwiać wszystko lekką ironią. Dyskretny humor Edzia, choć samorodny, przypominał najlepsze wzory angielskie. Dopiero po przyjeździe na stałe do Kowna poznałem go bliżej.

Nie tylko Waćka znałem z czasów gdańskich i warszawskich. W Warszawie poznałem również Iżę. Oboje paradowali na naszym ślubie w nielicznym poczcie družbów i druhen. W Warszawie poznałem także panią Jakubowską, zwaną w rodzinie — ciocią Mincią.

Na stacji w Powenciu spotkał więc nas Waciek. Zewnętrznie zmienił się od czasów warszawskich. Przytył i był z wiejska wyraźnie zaniedbany. Stary stangret Piotr z bokobrodami zdjął czapkę na przywitanie. Kłaniał się zawiadowca stacyjki. Czuło się, że pan Jakubowski zachował tu pozycję dziedzica może nie całą gębą, ale bądź co bądź takiego z którym się trochę, jak za dawnych czasów, wszyscy liczą.

Z Powencia do Kiecin jechało się końmi nie więcej jak pół godziny. Zjechaliśmy na szeroką drogę. Niedaleko domu Waciek wskazał mi po prawej stronie kościółek w Miczajciach, ufundowany przez Jakubowskich i przylegający do niego mały cmentarzyk. W Miczajciach rezydował ksiądz noszący bardzo dźwięczne nazwisko — Ludański. Później nieraz zachodziliśmy do jego samotni na kilka partyjek preferansa. Wysoki, suchy staruszek, trzymał się doskonale. Był zapamiętałym palaczem i myśliwym.

Na lewo od drogi zjeżdżało się do Kiecin. Dwór był biały, jednopiętrowy z gankiem większym niż w Kurklach. W olbrzymiej sieni-przepokoju wisiały niezliczone płaszcze, palta i wszelkich rozmiarów burki. Inaczej niż w Kurklach, na prawo mieściły się mniejsze pokoje, na lewo — duży pokój stołowy z kominkiem, a za nim wielookienny narożny salon w którym od rana do nocy słycać było radio nastawione na Warszawę.

Ze stołowego prowadziły drzwi na dużą werandę. Jadaliśmy

na niej obiady, na szczęście, bez towarzystwa much. Z werandy miało się widok na nieduży park, poprzecinany kilkoma alejami lipowymi. Była w nim spora sadzawka, na której można się było w zimie ślizgać.

W porównaniu z Kurklami wszystko w Kiecinach było bogatsze. Przypominało zasobne dwory w centralnej Polsce. Zachowały się tu pamiątki w postaci porozwieszanych na ścianach starych fotografii Żagielów, Ogińskich, Narbuttów. Pełno było kwiatów w pokojach. Jedną tylko rzecz miały Kieciny z Kurklami wspólną; brak zainteresowania meblami. W Kurklach było to bardziej zrozumiałe. W czasie wojny Maciejewscy zbiegli przed Niemcami do Rosji. Przez majątek przechodziły raz okopy niemieckie, raz rosyjskie. Tak samo w Antopłasztocie. Gdy teściowa z dziećmi wróciła z Rosji do Antopłasztoki, nie było dosłownie na czym siedzieć. Choć i Jakubowscy wyjechali do Rosji, wojna obeszała się łagodniej z Kiecinami. Wszystko stało na swoim miejscu, ale, niestety, na złym miejscu.

W najbardziej reprezentacyjnym pokoju, w salonie, pozostał komplet obrzydliwych secesyjnych mebli pokrytych materiałem przypominającym kolor czerwony. Natomiast garnitur lekkich mebli o pięknym rysunku znajdował się w stołowym. Nikt tu po wojnie nie zwracał na to uwagi. Uważano, że wobec innych potrzeb dbałość o meble stylowe jest luksusem, na który nie można sobie pozwalać.

Po Kurklach panował w Kiecinach nastrój beztroski. Duża była w tym zasługa pani domu, zawsze spokojnej, opanowanej, dbałej o wszystko i o gości. Ta inteligentna pani w binoklach królowała tu nie tylko na pierwszym miejscu przy stole w czasie wspólnie spożywanych obiadów i kolacji. Była w Kiecinach rzeczywiście pierwszą osobą. Dzieci odnosiły się do niej z niezwykłym szacunkiem.

Waciek, który z ramienia matki zarządzał całym gospodarstwem, dotrzymywał, jak mógł, towarzystwa gościom, choć zwłaszcza latem, był bardzo zajęty. Iza i Edzio byli stale z nami.

Rano wylegiwaliśmy się w swych pokojach. Każdy jadł w stołowym pierwsze śniadanie kiedy chciał. Na stoliku syczał duży samowar. Obok stały szklanki, dzbanki z mlekiem i śmietanką. Na stole razowiec domowej produkcji, sery, wędlina. Potem szło się na spacer i wracało punktualnie o 1-szej na obiad. Po południu ruszało się znowu na przechadzkę, a w upalne dni nad Wentę, wąską rzeczkę płynącą niedaleko domu. Zapamiętałem sobie tę bystrą rzeczkę, bo się w niej z lekka topiłem.

Po kąpieli wracało się na podwieczorek. Latem zajadaliśmy się pachnącymi poziomkami i świetnymi, małymi ogórkami. Przecinało się je, wydrążało połówkę łyżką napełnioną pszczelnym

miodem. Najdłużej trwała kolacja. Tylko w czasie obiadu i kolacji podawała pokojówka. We dworze nie widać było niepotrzebnie szwendających się dziewcząt jak w Kurklach.

Po kolacji przechodziliśmy do salonu. Często, zwłaszcza jeśli ktoś zajązrał z sąsiedztwa lub byli w Kiecinach rówieśnicy Edzia Kazimierz Narutowicz, Adam Chrapowicki czy Lusiek Hryncewicz, puszczaaliśmy się w tany przy dźwiękach radia warszawskiego. Czasem ja lub ciocia Wandzia Hopenowa siadaliśmy do pianina. Nieraz zabawialiśmy się w żywe szarady. Połowa towarzystwa wychodziła, druga połowa pozostawała w salonie, czekając co nieobecni wymyślą. Kiedy po naradach zgodzono się na jakiś pomysł, wyciągano z szaf i kufrów przeróżne stroje. Najdziwniej poprzebierana grupa ustawiała się w salonie, reszta zgadywała co wyobraża. Poprzebierani wysilali się na dowcip. Czasem wychodziły z tego wcale udane, zaimprovizowane skecze. Potem role się zmieniały.

Ciocia Wandzia przygrywająca na zmianę ze mną do tańca mieszkała w Kiecinach w roli rezydentki. Opowiadano sobie na ucho wiele historyjek o jej burzliwej przeszłości.

Jako bogata, wyjątkowo urodziwa zaledwie kilkunastoletnia panienka, zakochała się w bogatym, pięknym, młodym ziemianinie Bolesławie Hopenie. Ale Hopena ponosił temperament. Zaczął zdradzać młodszą żonę. Porzucona przez męża, matka trojga dzieci, starała się zapomnieć o zawodzie jaki ją spotkał. Nie pogardzała kochankami, puszczać bezmyślnie dużą fortunę. Kilkunastoletni syn odebrał sobie życie. Dwie córki odeszły od matki i poszły w daleki świat. Ciocia Mińcia przygarnęła siostrę z „bogata przeszłością”. Rezydowała w Kiecinach, otoczona szacunkiem domowników. Inna sprawa, że gdy poczuła trochę pieniędzy w kieszeni, wyruszała na parę dni do Kowna, by się ich jak najprędzej pozbyć.

Te zaimprovizowane tańcówki w Kiecinach przeplatane szaradami lub gawędami, czasem zakrapiane pachnącym krupnikiem własnej roboty, wypijanym na gorąco, miały zupełnie specyficzny urok. Co się działo na szerokim, zdawało się bardzo odległym świecie, nic nas nie obchodziło. Człowiek się rozklejał. Toteż w czasie pobytu w Kiecinach ograniczałem lekturę do *Dnia Polskiego* wychodzącego w Kownie (srodze cenzurowanego przez Litwinów) i świetnie redagowanego ryskiego dziennika rosyjskiego. Słuchałem oczywiście radia warszawskiego. To mi aż nadto wystarczało. W dodatku tu, na Żmudzi, mniej się na co dzień słyszało o antypolskich szykanach administracji litewskiej. Stosunki z dworami były poprawne. Urzędy liczyły się nawet z nimi — jeśli w domach polskich nic się szczególnie podejrzanego nie działo.

A takim domem były Kieciny. Nikt tu się nie obnosił z polskością. Po prostu od wieków była.

Czasem zaglądaliśmy do sąsiadów. Kiedyś pojechaliśmy do majątku Pojeziory Nagurskich. Z wycieczki tej niewiele zapamiętałem, prócz bodaj trzech milczących i nieśmiałych jak dziewczątka młodzieńców. Najbliższym miasteczkiem były Kurszany. Tuż obok znajdowały się dwa majątki, jeden Grurzewskich, drugi — Ryngowiany — panien Burbianek. Miasteczko od niepamiętnych czasów żyło z okolicznych dworów. Dlatego i tu można było się w sklepach, karczmach czy u fryzjera porozumieć z biedą po polsku.

Gdy już zamieszkałem w Kownie, wstąpiłem kiedyś do sklepu, w którym obsługiwała klientów młoda Żydóweczka. Na razie wahałem się, czy nie mam się zwrócić do niej łamanym litewskim. Ostatecznie zagabnałem dziewczynkę po polsku. Bez słowa podała mi o co prosiłem. „Gdzie panienka nauczyła się polskiego?” — zapytałem. „Na Szańcach. Tam się urodziłam i mieszkalam z rodzicami”. Zrozumiałem wszystko, wiedząc, że na tym kowieńskim przedmieściu mieszkają rzemieślnicy i robotnicy — Polacy. Ale w Kurszanach Szańc nie było. Były tylko polskie dwory.

Pewnego popołudnia wybraliśmy się z wizytą do Grurzewskich. Pozostało mi z niej wspomnienie starej, murowanej, zapuszczonej rezydencji pańskiej. Wnętrze ponure. Stary park również. Pan i pani (z domu Bernatowicz) ludzie w sile wieku o nienagannych manierach, trzymali iście polski fason. Czuło się jednak, że wszystko tu wali się do upadku. Nikt nie umiał czy nie chciał przystosować się do warunków w jakich ziemiaństwo polskie na Litwie znalazło się po reformie rolnej. Podzieliłem się tymi spostrzeżeniami z Waćkiem. Przyznał, że mam dobre oko. Nie lubił p. Grurzewskiego, za to panią darzył wielką sympatią. Była przystojna, ale — jak na mój gust — nieco sztuczna i zimna.

Zupełnie inny nastrój panował w domu Burbianek. Rodzice już nie żyli. Gospodarzyła w majątku wzrostem najwyższa z trzech sióstr, panna Miła o pięknych, ciemnych, marzących oczach. Pomagał jej Władysław Urbanowicz za którego później wyszła za mąż. Był to mężczyzna pewno wtedy trzydziestoparoletni, wysoki, krzepki, krótkonosy. Z jego okrągłej twarzy nigdy nie schodził uśmiech. Popijał doskonale, a głosisko miał potężne.

Kiedyś w pierwszy dzień Wielkiejnocy, przyjechał około 12-jej przed Burbiankami do Kiecin. Waciek zaraz poprosił go do stołu. Kazał podać „grafinas” czyli karafeczkę wódki i jakieś przekąski. Wiedząc, że wkrótce zjadą do Kiecin dalsi goście, zauważyłem nieśmiało, że może z wódką poczekać. Był to akt samoobrony. Przeczynałem, że będę musiał czynnie asystować przy stole sym-

patycznemu gościowi. Na moją uwagę Urbanowicz roześmiał się na całe gardło. „Ależ — panie — zaryczał. Właśnie teraz trzeba się czegoś napić. Należy się, panie, jak najwcześniej zaszczepić, a potem już wszystko gładko pójdzie”. Pobity na głowę „zaszczepiałem się” z Urbanowiczem i Waćkiem od południa.

Po cóż opisywać ucztę wielkanocną na Litwie, skoro to znacznie lepiej zrobił Mickiewicz?

„... Wędliny leżą do wyboru...

*Wszystkie wyborne, wszystkie sposobem domowym
uwęzione w kominie dymem jałowcowym”.*

Smakołyki takie — pisał poeta — „prędko z żołnierskim jedli apetytem, kieliszki napełniając węgryzmem obfitym”. Czasy się zmieniły. Węgryzna w Kiecinach nie było. Zastępowała go zamrożona „skajdroja”, monopolowa wódka litewska.

W różnych porach roku zaglądałem do kiecińskiego dworu. Raz przyjechaliśmy do Powencia w sam wieczór wigilijny. Pruszył śnieg, gdyśmy opuszczali stację. Wokół panowały ciemności. Nagle zobaczyliśmy z oddali migające światełka. Gdyśmy podjechali pod ganek, otwały się drzwi i w oświetlonym przedpokoju zobaczyliśmy witających nas domowników. Czekali odświętnie ubrani. Po przywitaniu zasiedliśmy do stołu wigilijnego. W kominku trzaskały łuczywa. W salonie stała duża choina. Na biesiadnym stole paliła się olbrzymia lampa naftowa. Pod obrusem — tradycyjne siano. Pszenica z podsytą i migdałami. Było tyle ciepła, przytulności i odświętnego nastroju, że nigdy tej kiecińskiej „kutii” nie zapomnę.

Przez dwa dni następne wciąż ktoś z sąsiadów zaglądał. Odwiedziliśmy również majątek Janowiczów Milwidy. Dwór był duży. Gości co niemiara. Niewiele mi z tego towarzyskiego zebrania pozostało w pamięci. Ale przypominam sobie wysoki i bardzo pakowny salon, którego sufit wspierały smukłe drewniane kolumny. Naftowe lampy nie mogły go oświetlić, toteż komnata tonęła w nastrojowym półmroku. Panie i panowie prowadzili z sobą ożywione rozmowy poważnie stojąc.

Wkrótce po świętach Waciek urządził polowanie na zające. Przyjechali na nie Prosper i Ludek Sylwestrowicze z Łapkaś, jedni z najczęstszych gości domu Jakubowskich. Prócz Waćka, Edzia, rządcy p. Dowtorta, Sylwestrowiczów, brata żony Bolesia Semplińskiego i mnie — o ile pamiętam — był jeszcze Adam Chropowicki. A więc raptem sześć czy siedem strzelb, bo Chropowickiego można było nie liczyć. Choć wychowany na wsi w rodzinnym Terespolu, nie kochał zimy. Chudy, wrażliwy na zaziębienia, nie palił się do wystawiania godzinami na mrozie.

Owszem, w kwietniowe, ciepłe popołudnie chadzał z nami na słonki. Ukryci na skraju jakiegoś zagajnika gwarzyliśmy szeptem, czekając na samca ciągnącego do swej wybranej, by go niecie ustrzelić.

Choć nigdy żadnym myśliwym nie byłem, zawsze, jeśli nadarzała się okazja, uczestniczyłem w polowaniach. Polowałem na lisy, kaczki, głuszce i zające. Pociągał mnie bardziej krajobraz i dreszczyk swoistej przygody, niż sukces w postaci ustrzelonego zwierzaka. Przeważnie pułkowałem. Ale zdarzały się „fuksy”. Kiedyś u Dłużewskich w Dłużewie pod Mińskiem Mazowieckim na dużym polowaniu, które prowadził gen. J. Głuchowski, przypadkiem zabiłem pierwszego zająca. Coś podobnego, tylko w znacznie poważniejszych warunkach, zdarzyło mi się po raz drugi w Kiecinach.

Dzień był bezsłoneczny i ponury. Nie było mrozu, za to dął zimny wiatr. Waciek rozstawił nas na skraju ośnieżonego pola. Na wprost mieliśmy ścianę lasu. Po mej prawej stronie stanął na posterunku lekarz Ludek Sylwestrowicz. W czasie swych studiów berlińskich odwiedził nas kiedyś w Berlinie, stąd mogliśmy o sobie mówić, że się od dawna znamy. Niskiego wzrostu o regularnych rysach i chytrym uśmieszku, uchodził za człowieka pewnego siebie. Działo mu się świetnie. Miał dobrą praktykę i doskonale zagospodarowany majątek. Uprawiał polskość towarzyską, to znaczy, że czuł się najlepiej wśród ziemian. Równocześnie jednak nie zaniedbywał stosunków z Litwinami. Polował z nimi. Był bodaj pierwszą strzelbą na Litwie i zbierał nagrody na konkursach trzech krajów nadbałtyckich.

Świadomość, że taki mistrz stoi w bezpośrednim sąsiedztwie, działała przygnębiająco. Ścisnąłem w rękę strzelbę myśląc, że będę sromotnie pułkował. Wpatrywałem się jednak bacznie w szaro-białą powłokę śnieżną, czekając na głosy nagonki i... zająca. Po długim oczekiwaniu z dala rozległy się pokrzykiwania. Wkrótce ukazały się pierwsze szaraki. Szły jednak bokami, jakby omijając mego sąsiada, strzelca nad strzelce. Na lewo ode mnie i na prawo od Sylwestrowicza, padały już gęste strzały, ale żaden zając na nas nie szedł. Osobiście nic mi to nie szkodziło. Natomiast Sylwestrowicz był wyraźnie niezadowolony. Nagle się rozpromienił. Wielkimi susami szarak walił wprost na niego. Kiedy był od Sylwestrowicza o kilka metrów przysiadł raptownie, jakby zastanawiając się w którą stronę ma skierować dalsze susy. Huknął strzał. Strzelił Sylwestrowicz i spuścił. Zając poderwał się w moją stronę. Strzeliłem i jakimś cudem trafiłem. Był to drugi wielki wyczyn w mej przypadkowej karierze łowieckiej. Sylwestrowicz był wściekły. Mnie się śmiać chciało, zwłaszcza że

nieraz bywałem świadkiem, gdy niegorszym od Sylwestrowicza myśliwym zdarzały się podobne wypadki.

*„Wstydzicie się swych pudeł, niech was wstyd nie pali
Znałem myśliwych lepszych od was, a chybiał!”*

Przypomniały mi się te strofy, ale wolałem nie drażnić gościa Jakubowskich. Nie darzyłem wtedy Ludka zbyt dużą sympatią. Wydał mi się przesadnie ostrożny, przesadnie dbały, aby się niczym Litwinom nie narazić. Byłem tedy przyjemnie zaskoczony, gdy bodaj w kilka dni po owym polowaniu zaprosił mnie z żoną na obiad do Łapkaś. Sądziłem, że należy do tych, którzy wołają nie paskudzić sobie czystej wobec Litwinów hipoteki goszczeniem w swym domu Katelbacha. A moja obecność u kogoś w gościnie nie mogła ujść uwagi „wirszininkasa”, czyli naczelnika powiatu i podległej mu policji. Co strachliwsi woleli mnie unikać.

Nie tylko samo zaproszenie, ale kilkogodzinny pobyt w domu Sylwestrowicza, sprawił mi przyjemną niespodziankę. Obaj Sylwestrowiczowie mieszkali z matką, z domu Janowiczową, osobą bardzo kulturalną i sympatyczną. Podejmowała nas gościnnie. Stary, biały dwór, uderzał na zewnątrz i wewnątrz schludnością.

Po obiedzie Ludek zaprosił mnie do swego pokoju i zaczął opowiadać:

„Wiesz co — mówił — że tu w Łapkasiach urodził się jeden z pierwszych bojowników „Proletariatu”, Ludwik Janowicz, trochę zapomniany bohater rewolucyjnych zmagania z caratem, które zaczęły się po czasach popowstaniowej śpiączki. Jako młody chłopiec opuścił swoje Łapkasie i już nigdy potem do nich nie wrócił.

Miał 26 lat gdy go zaresztowano w Warszawie. W obronie swych towarzyszy-proletariatczyków, Dębskiego i Sławińskiego, strzelał do otaczających szpicli. Działo się to w 1884 roku, na rogu Nowego Świata i Wareckiej, w młeczarni — o ile mnie pamięć nie myli — Henneberga. Dębski i Sławiński zbiegli. Janowicza aresztowano. Po procesie przesiedział 10 lat w twierdzy szlisselburskiej, a potem kilka lat na zesłaniu. Był to charakter niezłomny i umysł samodzielny. Dość powiedzieć, że za kratami ponurej twierdzy przeszedł tę samą ewolucję w kierunku niepodległości Polski, jaką polski ruch socjalistyczny odbył w Polsce w ogniu codziennych zmagania z caratem. I taki człowiek załamał się wreszcie nerwowo. Nie mogąc dłużej znieść zesłania i tęsknoty za krajem w Jakucku odebrał sobie życie”.

Słuchałem opowieści z najwyższym zainteresowaniem, a Sylwestrowicz ciągnął dalej:

„Wiem o tych rzeczach — mówił — gdyż znalazłem tu kie-

dyś nie tylko fotografię Janowicza, rodzzonego brata mej matki, właścicielki Łapkaś, lecz także sporo wspomnień o nim w przechowywanej rosyjskiej literaturze rewolucyjnej i w pozostałym zeszycie „Przedświtu”. Może warto byłoby to kiedyś przejrzeć i — jeśli tego jeszcze nikt nie zrobił — opracować jakieś studium o tym wspaniałym człowieku, którego nasza Żmudź wydała”.

„Według rodzinnego podania — opowiadał Ludek — w Łapkasiach był kiedyś Józef Piłsudski. Skąd tu przyjechał — nie wiem. Musiał być jeszcze bardzo młody. Wtedy gdy aresztowano Janowicza liczył pewno 17 lat. Ciągnąć go tu musiały wiadomości o bohaterskim konspiratorze. Nie jest wykluczone, że przyjechał z Dyrwian Piłsudskiego. Raczej jednak wpadł do Łapkaś z sąsiednich Stefaniszek, majątku wuja Marszałka, Jana Billewicza, znanego w całej okolicy smakosza i wielkiego estety. Opowiadano, że zdrzemnąwszy się u sąsiadów podczas kolacji Billewicz obudził się na dźwięk słowa majonez, myśląc, że przeoczył jakąś ulubioną potrawę...”.

Rozmowa przekonała mnie do Ludka. W gruncie rzeczy pod powłoką zewnętrznej obojętności biło w nim polskie serce.

Kiedyś, również po Świątach Bożego Narodzenia, spędziliśmy wyjątkowo przyjemną noc sylwestrową. Na razie nic tego nie zapowiadało.

Po kolacji zasiedliśmy w stołowym pokoju kיעińskim. Popijaliśmy krupnik, zagryzając piernikami. Chcieliśmy doczekać północy, by wypić kieliszek wina i życząc sobie Nowego Roku — pójść spać. Nie chcieliśmy zostawiać samych trzech cioc — Mińci, Wańdzi i mej teściowej Brońci. Ale, jak przystało na dobre ciocie wyczuły, że młode towarzystwo rade by jeszcze pohasać. Same więc zaproponowały byśmy po krótkim przywitaniu nowego roku zrobili z resztą nocy, co się nam żywnie podoba.

Zatelefonowaliśmy do Sylwestrowiczów. Stało się na tym, że przyjadą po nas i razem, zniecka, wpadniemy do Ryngowian. Kיעińskie sanie stały już przed domem, gdy rozległy się dzwonki sanek Sylwestrowiczów. Noc jasna, śniegu pełno. Sanna zapowiadała się wyśmienicie. Towarzystwo było w różnych humorach. Koniska rwały jak szalone, podniecane śmiechami jadących.

Wpadliśmy w śpiące Kurszany. Waciek uparł się, by zbudzić swego dostawcę, Żyda-karczmarza i zaopatrzyć się w trunki. Karczmarza bynajmniej nie zdziwiła nocna wizyta pana Jakubowskiego. Odbył z nami przyjacielską rozmowę, wręczył butelki i życzył szczęśliwego Nowego Roku.

Ruszyliśmy do Ryngowian. Kulig prowadził bodaj Putek czyli Prosper Sylwestrowicz. Nie żałował koni. Spod sanek pryskał śnieg na wsze strony. Śpiewaliśmy, jako że — mówi poeta — „talent śpiewania bardzo na Litwie popłaca”. Ale talent ten

z całego towarzystwa posiadały tylko dwie osoby: moja żona Zinka i jej siostra Jadzia. Śpiewały jak należy, reszta towarzystwa akompaniowała, jak umiała.

Burbianki jeszcze nie spały. Wraz z nierozłączonym Urbanowiczem przyjęły nas okrzykami radości. Były wszystkie trzy to znaczy prócz Mili, p. Marta, humanistka, wykładająca wtedy w polskim gimnazjum kowieńskim historię i p. Muszka, jeśli mnie pamięć nie myli, biolog z zawodu, mieszkająca w Warszawie. Muszka była zgrabna, miała ładne oczy i zalotny uśmiech.

Przywitaliśmy jeszcze raz Nowy Rok, potem puściliśmy się w plaśy w salonie, przypominającym dawne salony warszawskie. Salon był rześkie oświetlony. Być może — lecz tego nie pamiętam — ze względu na bliskość Kurszan, Ryngowiany miały elektryczność. Tańczyliśmy w kilka par do samego rana.

Nie zapomnę również wyprawy z Kיעin do Dyrwian. Było lato. Postanowiliśmy skorzystać z zaprosin pani Guzewskiej. Dyrwiany, własność Guzewskich, należały kiedyś do Piłsudskich, krewnych Marszałka. Pan Guzewski już nie żył. Syn, porucznik wojska polskiego, adiutantował w Belwederze. Gospodarzyła wdowa, której od czasu do czasu pomagała córka. Panna Hania była osobą przystojną. Cieszyła się wielkim powodzeniem wśród ówczesnej młodzieży polskiej na Litwie. Średniego wzrostu, wysportowana, czerstwa blondynka o regularnych rysach i niebieskich oczach, miała przyjemny głosik i doskonale tańczyła. Była bystra, dowcipna, wesoła.

Wycieczka do Dyrwian należała do dłuższych. Jechało się z Kיעin konikami do Guzewskich dwadzieścia kilka kilometrów po bardzo różnych drogach. Wybraliśmy się powozem i bryczką. Sami młodzi.

Ranek był piękny. Okolica falista. Dużo drzew. Czasem droga prowadziła przez cienisty, stary las. Krajobraz był różnorodny. Kilkogodzinna jazda przeszła nadspodziewanie szybko.

Z lekka wytrzęsieni i głodni zajechaliśmy do Dyrwian na sam obiad. Obejście dworu wypiełgnowane. Wnętrze lśniło czystością, poczynając od posadzek błyszczących w słońcu padającym przez okna. Meble sosnowe i czeczotkowe. W każdym razie jasne. Jasno było wszędzie w pokojach dyrwiańskiego dworu.

W stołowym czekał stół — powiedziałbym — niezwykle wytwornie przygotowany. W dwóch punktach pokoju i tu podtrzymywały sufit drewniane kolumnienki. Wszędzie w wazonach pełno kwiatów. W każdym szczególe urządzenia czuć było nie tylko troskliwą rękę pani domu, a może obu pań, ale także wielkie poczucie smaku.

W takim to estetycznym *entourage*’u „przemijały w milczeniu talerze i dania”, podlewane różnymi domowymi nalewkami.

Rozwiązały się języki. Edzio Jakubowski, człek raczej w słowach oszczędny, wygłosił dowcipne przemówienie na mój temat. Zmusił mnie do odpowiedzi. Obu mówców oklaskiwano rześcicie. Już się ściemniało, gdyśmy się zaczęli żegnać. Ale gościnne gospodynie zaprosiły jeszcze raz do stołu, byśmy się pokrzepili przed „długą drogą”. Pewno nie obyło się bez paru strzemiennych. Dość, że kołyszając się z lekka wpakowaliśmy się do pojazdów i ruszyliśmy do Kiecin. Noc była jasna. Wszystko wokół pachniało. Rozmarzeni trunkami i nieco senni, nie mieliśmy ochoty do pogawędek.

Największe ożywienie zdradzał Waciek Jakubowski. Miał tę właściwość, że żadnej popijawy nie lubił szybko kończyć. Gotów był ją przedłużać do następnego rana, po czym dopiero wycofywał się do swego pokoju.

Pewnego razu po jakimś przyjęciu w Kiecinach, pewno dobrze po północy, wszyscy rozeszli się do swoich pokoi. Zasnąłem. Obudziło mnie mocne pukanie do drzwi. Po chwili wkroczył do pokoju Waciek ubrany na ciemno, jak w czasie przyjęcia. Niósł w ręku olbrzymią nogę indyka. Stanąwszy przy łóżku zapewniał, że mnie miłuje i szanuje, ale nie ma pewności, czy mu się odwzajemniam takimi samymi uczuciami. „Tadziu — mówił dzierząc nogę kałakutasa (po litewsku indyk) nad moją głową — chciałem ją zjeść, ale doszedłem do wniosku, że sam nie potrafię. Pomyślałem, że jeśli (słowo „jeśli” powtarzał kilkakrotnie i z naciskiem) Tadziu jest mym przyjacielem będzie mi towarzyszyć przy stole”.

Noga indycza wisząca jak miecz Demoklesa nade mną przekonała mnie, że trzeba złożyć Waćkowi dowód przyjaźni o jaki prosi. Zaspany, klnąc w duchu, wstałem z łóżka i przyjąwszy ramię podane z gracją przez Waćka, wkroczyliśmy uroczyście do pustego pokoju stołowego.

Na dworze już świeciło, ale na stole paliła się lampa. Naprzeciwko Waćka przygotowane było nakrycie. Waciek rzucił z rozmachem za siebie udo indycze i z całą powagą wznosił toast na naszą przyjaźń.

Długo gadaliśmy wspominając czasy gdańskie. Na dworze zrobiło się już jasno, słońce zaczęło zaglądać do stołowego, gdy wreszcie Waciek zadowolony z właściwego zakończenia „wieczoru” powędrował do swego pokoju, a ja do swego.

Byłem więc przekonany, że po gościnnym przyjęciu w Dyrwianach będzie chciał swoim zwyczajem kończyć i ten wieczór. Rzeczywiście uparł się, by zajechać do Kurszan „po zapasy”. Nie pomogły perswazje, że już przecie późno. W Kiecinach mężczyźni musieli podlać zagrychę skajdroją, odbyć dłuższą konwersację, by wreszcie udać się na spoczynek.

Dużo się zmieniło w kiecińskim domu, gdy zmarła w Kownie pani Maria Jakubowska. Rolę pani domu przejęła ciocia Wańdzia, ale nie miała danych, by zastąpić mądrą, inteligentną i taktowną siostrę. Edzio ożenił się z panną Oertel, obejmując Czujnie, obfitujące w duże pokłady torfu. Przeważnie jednak siedział w Kownie, redagując *Dzień Polski*. Waciek pozbawiony hamulca jakim była matka, coraz częściej zaglądał do kieliszka, z lekka dziwaczął, ale gospodarzył pierwszorzędnie.

Od czasu do czasu robił krótkie, parodniowe wypadki do Kowna. Wyrazem drzemiących w nim tęsknot do szerokiego świata i innego stylu życia były wędrowki po kowieńskich kinach. Potrafił po jednym seansie iść zaraz na drugi. Wieczory spędzał w „Metropolu”. O północy zaczynał się w tej restauracji program z występami tanecznymi i śpiewaczymi z całego świata. Po takiej trzydniówce wracał do Kiecin i już na pewno nie zamieniłby wielkomięjskich rozkoszy na życie w swym małym ksiąstewku. Zwłaszcza, że ksiąstewko stało się złotym jabłkiem, gdy tuż koło Kiecin stanęła wybudowana — o ile się nie mylę przez Czechów — druga cukrownia w Litwie. Ale względy finansowe odgrywały drugorzędą rolę. Zżył się ze swoim warsztatem codziennej pracy. Był dumny, że go rozwija i że w rękach rodziny pozostanie na zawsze.

Sam rodziny nie założył. Bolała nad tym pani Jakubowska. Swatany wielokrotnie nie dał się wyswatać. Wycofywał się nawet po zaręczynach. Może czuł, że przyzwyczajony do samodzielných rządów nie nadaje się już do stadła małżeńskiego w którym trzeba iść na kompromisy. Był w całym tego słowa znaczeniu dziewiętnastowiecznym wielkorządca, zdawał sobie jednak sprawę z zaszyłych na Litwie i w świecie przemian. Stąd pochodziło jego swoiste zresztą chłopomaństwo. Czasem gdy matka wyjeżdżała do Kowna urządzał w salonie przyjęcia dla służby folwarcznej, a jedna z dziewcząt, będąca we dworze pokojówką, ładna Franja, była oddaną mu kochanką.

Przywiązanie do ojcowizny stało się przyczyną tragicznego końca Waćkawa Jakubowskiego. Nie opuścił Kiecin by się ukryć. Nie zbiegł do Szawel, gdzie Jakubowscy mieli dom, do Kowna czy Wilna. Wmieszany w chłopów pracował wierząc, że przetrzyma okupację sowiecką i dalej będzie pilnować rodzowego majątku. Ostatecznie podzielił wraz z siostrą los innych ziemian wywiezionych w głąb Rosji. Pracował w kopalniach i tam, z dala od swych Kiecin, życia dokonał. Gdyby zresztą zdołał się ukryć i tak by do nich nie wrócił. W skolektywizowanym po sowiecku rolnictwie na Litwie nie było miejsca w ogóle dla panów, a tym bardziej dla polskich panów w stylu Waćkawa Jakubowskiego.

Gdy wspominam Kieciny, a wspominam je często w dłuższej tułaczce emigracyjnej z dala od Polski, przychodzą mi na pamięć słowa:

„Dziś dla nas w świecie nieproszonych gości
W całej przeszłości i w całej przyszłości
Jedna już tylko jest kraina taka,
W której jest trochę szczęścia dla Polaka
kraj lat dzieciennych...”

Kieciny nie były krainą mych lat dzieciennych. Gdy je poznałem byłem już trzydziestokilkuletnim, dojrzałym człowiekiem, świadomym trudnych zadań jakie mam na Litwie do wykonania. Ale gdy się od tych zadań pragnąłem oderwać, by zapomnieć — jak mi się często zdawało — o niemożliwym do rozwikłania węzle skomplikowanych stosunków polsko-litewskich, najchętniej jechałem do Kiecien. Kieciny Jakubowskich na Żmudzi, nad bystrą, chytrze skrytą wśród krzewów i drzew Wentą, były dla mnie, choć nie jedyną, ale „krainą taką” z którą na całe życie wiąże się wspomnienie pogody i raczej w Polsce gniazdowej rzadko spotykanej, bo pozbawionej zewnętrznej wylewności za to naprawdę głębokiej, prawdziwej serdeczności. Może wpłynął na to *genius loci* litewskiego otoczenia, a może i to, że w wielu rodzinach szlachty polskiej na Litwie często z trudem można by się doszukać kropli krwi koroniarzkiej.

Tadeusz KATELBACH

POLSKA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

7970 SUMMERDALE AVE., PHILADELPHIA, Pa. 19111, USA.
Tel.: (215) RA 5-9723.

Posiada na składzie książki w języku polskim, m.in. wydawnictwa Instytutu Literackiego w Paryżu. Przyjmuje prenumeraty *Kultury* i *Zeszytów Historycznych*. Prowadzi antykwariat. Kupuje stare polskie książki, obrazy, monety i wszelkie *polonica*. *Katalogi, informacje*,
— bezpłatnie

Co Robić?

Kilka uwag do programu

Przebieg dyskusji i udział w niej szeregu uczestników krajowych wskazuje, że „niezłomność” Redakcji w stawianiu i omawianiu centralnych problemów politycznych Narodu zaczyna wydawać swoje nowe owoce praktyczne. Osobiście bodźcem do zabrania głosu była dla mnie gorzka konstatacja J. Mieroszewskiego, „że nawet gdyby można było przysłać Polskę zamówić u Pana Boga — nikt by nie wiedział, jak ów obstalunek sformułować” (*Kultura* Nr 4/1975, str. 11).

Stwierdzenie to równie trafne, co bolesne uprzytamnia nam do jakiego stopnia „król jest nagi” i jak dalece odwykliśmy w warunkach PRL myśleć w kategoriach politycznych programów narodowych. Można by pójść krok dalej i przyznać, że wielu z nas w Kraju — zgorzkniałych i apatycznych, karmionych od lat papką „realizmu politycznego”, różnych kryzysowych, okresowych „racji stanu”, a przy tym, pochłoniętych na codzien tak po prostu ostrą walką o materialną stabilizację — nie umie, a często wręcz nie chce podejmować tematów, dla których realizacji nie widzi aktualnie możliwości praktycznych.

Dobrze więc, że Redakcja nasiliła ostatnio prezentację materiałów wskazujących, że w PRL pogłębił się proces moralnego i politycznego skundlenia Narodu, że resztkom dawnych instytucji społecznych i państwowych grozi już wkrótce pełne wchłonięcie przez partyjny totalizm. Praktykowany zaś nierząd, kampanijność, ciągłe reorganizacje i łamanie schematów administracyjnych, a nade wszystko rezygnacja z rachunku ekonomicznego, z oceny ludzi według pracy i rezultatów udaremniają, przy kulcie miernoty, wszelką własną odnowę.

W tej sytuacji rzeczywiście, tylko aktywność patriotycznej części polskiej inteligencji, jej czynny opór przeciwko autokratyz-

mowi i sowietyzacji mogą stworzyć tamę dla regresu cywilizacyjnego Polski i wytraceniu naszej tożsamości narodowej.

Program frontu narodowego

Dobrze, że podjętej dyskusji na temat „Co robić?” towarzyszy również świadomość, iż opozycja polityczna objąć musi także inne warstwy społeczne, niż inteligencja, w tym robotników, których żądania ekonomiczne wiązać się muszą, w czasie nowego grudnia, czy października z hasłami demokracji, niepodległości i politycznej odnowy. Osobiście nie rezygnowałbym też w działaniu opozycji krajowej z jakiegoś, choćby częściowego sojuszu ze „zbuntowanymi”, czy „buntującymi się dozorcami”.

Władza w Polsce znajduje się na pewno w rękach rzeczników orientacji *prosowieckiej*. Znane są ich wiernopoddańcze wystąpienia i głośno jest o prześciganiu się we wzajemnych donosach do Ambasady Sowieckiej i odpowiednich Wydziałów KC KPZS. Zrozumiałe są w tej sytuacji obiekcje Redakcji, że różnicowanie „postaw i poglądów najwyższych reprezentantów PRL prowadzić może do konfuzji”. Wymowne są jednak przykłady przytaczane przez krajowców o poważnej roli i znaczeniu w różnych okresach czasu naszej powojennej historii zbuntowanych przedstawicieli władzy ludowej¹.

Pamiętać należy, że przy całym cynizmie myślącej części aparatu partyjno-rządowego, właśnie ten jego człon, bardziej niż inne, zagrożony jest przez totalizm i kaprysy wierchuszki, bo myśli, bo jest niebezpiecznie wycwaniony w publicznych i zakulisowych rozgrywkach; potencjalnie może więc skuteczniej, niż ciemnogród, rywalizować z panującymi i pretendować do uchwylenia władzy. Stąd na ogół towarzyszy mu nieufność góry i kolegów. Z tym, przy braku kręgosłupa moralnego, lub jego przetrąceniu, można by oczywiście sobie dobrze żyć, gdyby nie naturalna potrzeba do posiadania zadowolenia ze swojej pracy, gdyby nie budząca się odraza do immanentnego bałaganu i głupoty ustroju. Dlatego nie należy w ocenie realiów krajowych ignorować ludzi, którzy przy swojej pozycji i wpływach mogą świadomie, czy nieświadomie przyczynić się do realizacji postulatów wysuwanych przez koła opozycyjne.

Wracając do kwestii programu politycznej opozycji wydaje się, że przy jego wypracowywaniu nie powinien być kwestionowany postulat, że dokument ten winien być o takich treściach i tak skonstruowany, by nie tracąc z pola widzenia narodowych pryncypiów, ani bolesnych doświadczeń 3 dekad PRL, mógł on odpowiadać w pełni aspiracjom, wartościom i wymogom szerokiego frontu narodowego.

Kto ma taki program wypracować?

Z pewnością pytania tego nie można uznać za rozstrzygnięte przez wysunięcie postulatu², by emigracja wykonała całą pracę koncepcyjno-programową, nawet gdyby, jak to dumnie podjęła Redakcja, żądający od niej programu krajowcy zaopatrywali systematycznie emigrację w potrzebne materiały i informacje³. Pytanie to bowiem nie sprowadza się do tego, czy ma to zrobić emigracja, czy opozycja krajowa, bo za to zadanie jednakowo jesteśmy odpowiedzialni. Po prostu zrobić to muszą ci, którzy *potrafią* i jestem pewien, że na apel Redakcji wpłynę prędkiej, czy później szereg poważnych i wartościowych wypowiedzi z Kraju.

Podkreślając to, rozumiem jednocześnie stwierdzenie M. Kowalskiego, że jako stały mieszkaniec Polski nie czuje się odpowiednio przygotowany do wysuwania programu politycznej opozycji. Odczuwam podobnie, lecz uważam, że najlepszą dla nas szkołą, a może i odrabianiem zaległości, będzie aktywny współudział krajowców w realizacji tego trudnego, jak i ambitnego zadania.

Nie powinniśmy więc, w żadnym wypadku, ograniczyć się do roli obserwatorów, krytyków biadających nad oderwaniem się emigracji od rzeczywistości krajowej, czy tylko odbiorców programu do akceptacji. Fakt, że neostalinizm jest aktualnie bez terroru policyjnego pozwala i wymaga od patriotycznej części inteligencji w Kraju na zajęcie w tym względzie aktywnej i twórczej postawy. Na pewno jednak „od każdego według jego możliwości”.

Równie praktycznym aspektem prac programowych, co przygotowanie polityczne i fachowe uczestników obecnej dyskusji, jest czasochłonność i pracochłonność tego poważnego zadania. Czy, i w jakim stopniu, okaże się to przeszkodą pokażą choćby owoce naszej dyskusji. Na pewno odpowiedź na to, oby brzemienne w swych skutkach pytanie — „Co robić?” powinna i będzie musiała być wypracowana *zbiorowo*.

Metoda ta, przy całym swoich brakach, ma też niewątpliwe walory. Pozwala czerpać z wielorakich doświadczeń, umiejętności i przemyśleń, uwzględniać różne punkty widzenia, nie mówiąc, że współudział w pracach powoduje głębszą identyfikację z programem, jego zrozumienie, co powinno skłaniać później do jego czynnej realizacji tak w warunkach emigracyjnych, jak i realiów krajowych.

Kończąc te uwagi na temat „kto” i „co” — nie sposób pominąć faktu, że tak jak obecną dyskusją kieruje Redakcja, tak chcemy, by i organizacja dalszych prac programowych spoczywała także w jej uczynnych i patriotycznych rękach.

1. Patrz: Krajowiec — *Kultura* Nr 5/1975, str. 59, czy M. Kowalski, j.w., str. 41.

2. M. Kowalski: j.w., str. 42.

3. Od Redakcji, *Kultura* Nr 5/1975, str. 34.

Reguły współdziałania

Temat dyskusji, jej powaga i polityczne znaczenie, jak również „geograficzne” rozproszenie uczestników i niemożność normalnego komunikowania się skłaniają do narzucenia sobie specyficznej dyscypliny rozumowania i postępowania. Wydaje się, że poszukiwanie odpowiedzi na pytanie „co robić?” winna cechować koncentracja tematyczna. Oznacza to selekcję poruszanych zagadnień, rezygnację z dygresji, czy wątków, często interesujących i ważnych, lecz których wprowadzenie do wywodu może gubić jego zasadniczą myśl, czy pozbawić istotnych elementów ich właściwych proporcji.

Dyskusję tę winna cechować też tolerancja. Ani nas nie stać na luksus posiadania wielu platform programowych, ani politycznie nie ma obecnie takiej potrzeby. Jako opozycja krajowego systemu powinniśmy programowo reprezentować wielopartyjny — narodowy punkt widzenia. Przy takim podejściu nieodzownym jest jednak dalsze precyzowanie pojęć. Rację mają ci, którzy wskazują, że trzeba dokładniej określić ideowy charakter polskiej opozycji, że zbyt ogólnikowy jest nakaz, aby była ona „antytotalitarna i niepodległościowa”⁴.

Podobnie musimy mieć jasność, które elementy rodzimego socjalizmu są do zaakceptowania, a które winniśmy i w jakiej kolejności starać się eliminować. Tu wszelkie uściślanie jest jak najbardziej na miejscu. Trafna jest bowiem ocena⁵, że często „owe detale” decydują o obliczu i stopniu wolności i jakości naszego życia krajowego.

Na pewno zaś nie można przyjmować jako pewnik, czy nawet roboczą hipotezę, że opozycja ma *a priori* nie przeciwstawiać się socjalizmowi, „bo wielu z przeciwstawiających się bardzo to słowo szanuje”⁶. Wydaje się, że tak jak musimy się zdobyć na czyn, musimy też pozbyć się lęku słów, nawet gdyby to miało zakrawać dla niektórych na świętokradztwo. Mamy 30 lat doświadczeń, a w ZSSR blisko 60 lat budownictwa socjalistycznego, ażeby można było — w oparciu o realia i doświadczenia pokoleń — ustalić co socjalizm jako system może, a czego nie może zapewnić polskiemu społeczeństwu.

Podejmując dyskusję lub polemikę dobrze byłoby starać się o wyważenie swoich wypowiedzi. Mówiąc to nie postuluje unikania, czy pogłębiania tematów dla których realizacji nie ma obecnie warunków, bo jeśli zagadnienie jest ważne, lub istotne dla odrodzenia i egzystencji Polski, to zgadzam się z J. Mieroszewskim (*Kultura* Nr 4/1975, str. 7), że temat taki nie może być

4. Patrz: „Polityczna opozycja w Polsce”, *Kultura* Nr 11/1974.

5. Krajowiec: „Parę uwag w kwestii socjalizmu”, *Kultura* Nr 6/1975, str. 61.

6. Patrz: „Polityczna opozycja w Polsce”, j.w.

pomijany jako utopia, lecz z całą powagą winien być przez nas przestudiowany i przedyskutowany.

Mówiąc o wyważaniu wypowiedzi mam na myśli przede wszystkim kulturę dyskusji, unikanie zbędnych wyżeń, przytyków, czy oskarżeń w rodzaju oderwania się emigracji od rzeczywistości krajowej, czy jej zapatrzenia się na samą siebie. Oczywiście na krajowców spada też ogrom cierpkich uwag na łamach *Kultury*. Wszystko to zrozumiałe i ludzkie, ale winniśmy się starać, by nasze polemiki nie zaciążyły negatywnie nad dyskusją „co robić?” i pracami programowymi.

Analiza postaw

Jeśli zaś rozrachunek co do przeszłości musi być — dla dobra sprawy — przeprowadzony, to niestety wydaje mi się, że o wiele bardziej, niż krytyka emigracji potrzeba nam jest teraz pogłębionej i rzeczowej analizy postaw i działalności inteligencji krajowej, bez względu na to w jak trudnych warunkach politycznych i osobistych się znajdowaliśmy, czy znajdujemy obecnie. Po prostu stalinizm, a potem kolejne dekady demoralizacji, złudzeń i wypaczeń wywarły zbyt duże piętno na nas i na naszej mentalności, byśmy mogli obyć się bez pryncypialnych ocen i szczerzej wewnętrznej dyskusji.

Oczywiście można nie robić wokół tego specjalnego rozgłosu i nie taka debata jest najważniejsza przy poszukiwaniach odpowiedzi na pytanie „co robić?”. Nie możemy się jednak w Kraju oburzać na konstatacje w rodzaju, że brak jest teraz aktywnej opozycji, lub że co najmniej bierną postawę miało społeczeństwo w czasie inwazji na Czechosłowację, czy wobec rugowania Żydów. To są fakty, żeby nie wiem jak bolesne, ale fakty, których świadomość jest potrzebna zarówno dla wyciągnięcia wniosków praktycznych, jak i gwoli prostej uczciwości.

Podejmując z kolei ocenę postaw emigracji warto pamiętać nie tylko o jej wielkim rozproszeniu i różnicowaniu, ale także o tym, że są pewne rzeczy i zadania, które tylko Polacy w Kraju i ich krajowa awangarda polityczna zrobić mogą i powinny. Mówiąc więc o rzeczowości i wyważaniu wypowiedzi wypowiadam się nie za merytorycznym ograniczaniem dyskusji, a za poskromieniem wobec siebie narodowych temperamentów i tak po prostu nie czepianiem się nawzajem. Starą jest prawda, że jeśli chcemy, by liczyli się z nami sojusznicy, a inni nas szanowali, musimy przedtem sami ze sobą umieć się porozumieć i szanować się nawzajem w publicznej i prywatnej dyskusji.

Jest to tym bardziej nieodzowne, że jako organizująca się obecnie opozycja stanowimy jeszcze wyraźną mniejszość narodową. Z tym łączy się też kolejny postulat: nacisk w obecnej dyskusji położony być winien nie na to co nas dzieli (a na pewno dzieli), a na te elementy, zasady i cele, które nas łączą, aby jasne

były dla każdego przesłanki, podstawy i treści wypracowanego aktualnie programu „co robić?”.

Selektywność działania

Pisząc o potrzebie programu Marian Kowalski (*Kultura* Nr 5/1975) formułuje trafnie szereg pytań z zakresu polityki zagranicznej, układów sytuacji międzynarodowej, perspektyw ewolucji w ZSSR — wszystko w poszukiwaniu tych czynników, których istnienie i rozwój pozwoliłyby Narodowi polskiemu na odzyskanie niepodległości i realizację swego prawa do samostanowienia.

Podobne dziesiątki problemów można by wyodrębnić na podstawie cytowanej już wyżej wypowiedzi Krajowca, czy A. Litwina („Czy polityczna opozycja” — *Kultura* Nr 5/1975, str. 66 i nast.) z zakresu spraw wewnętrzno-krajowych, polityczno-ideologicznych, czy mechanizmu ustrojowego. Kierunek ten jest słuszny. Inteligencji polskiej potrzeba znów rzetelnej i pogłębionej debaty polityczno-programowej.

Bogactwo problematyki wymaga jednak selekcji i *wieloletowego* działania. Rację ma więc J. Mieroszewski (*Kultura* Nr 4/1975, str. 11), że tryptyk — wizja — program — realizacja winien być i w tym przypadku schematem postępowania.

Poszukując odpowiedzi na pytanie „co robić?” postulowałbym, na początek wyodrębnić 3 grupy tematycznych:

Pierwsza obejmowałaby rozważania i dyskusję nad tym jaką chcielibyśmy mieć Polskę. A może praktyczniej byłoby nawet zacząć od tego by określić precyzyjniej jakich (i dlaczego) chcemy gruntownych zmian w PRL?

Druga grupa koncentrowałaby się na zidentyfikowaniu możliwych kierunków działania dla opozycji w Kraju: zmierzających z jednej strony do położenia tamy postępującej deprawacji społeczeństwa i niszczenia resztek instytucji społeczno-politycznych, z drugiej zaś strony do przeprowadzenia pracy propagandowej wskazującej na ideologiczne i systemowe uwarunkowania obecnej szamotaniny i nieudolności władz partyjnych i rządowych.

Trzecia grupa tematyczna dotyczyłaby kwestii związanych z rozwojem sytuacji zewnętrznej, która sprzyjałaby politycznym przemianom w Kraju i pozwoliła w przyszłości Polakom na niepodległą i godziwą egzystencję.

Podejście takie, poza większą przejrzystością, zawsze potrzebną dyskusji publicznej, nadałoby obecnej debacie wielotorowy, ale zarazem spójny charakter. To z kolei pozwoli, aby rozważaniom programowym co do jutra, mogły towarzyszyć równoległe przemyślane indywidualne i zbiorowe działania na dziś.



Na zakończenie jeszcze uwaga związana z pytaniem J. Miero-

szewskiego (*Kultura* Nr 5/1975, str. 32): czy dlatego nie słychać na Zachodzie głosu Polaków z Kraju, że w przeciwieństwie do dysydemtów sowieckich, nie mamy nic do powiedzenia? Trudno jest udzielić odpowiedzi od razu i to w kilku końcowych zdaniach obecnej wypowiedzi. Wspomnę tylko, że dowiedziałem się, jakby na potwierdzenie tego że powinniśmy przestać milczeć, że z okazji pobytu Gierka w USA — M. Rakowski odważył się wygłosić o Polakach taką opinię na łamach rzeczywiście liberalnego *New York Times'a* (16. 10. 1974):

„Nie są oni więcej kłopotliwym członkiem wspólnoty międzynarodowej. Nie czują też oni, aby ich *niezależność* była w jakikolwiek sposób zagrożona... Nie mają żadnych sporów ze swymi najbliższymi sąsiadami”.

No cóż Rodacy... pomijając już ten ton per „oni” i bezceremonialność wypowiedzi i ocen — ich fałsz wymaga byśmy — „my bierne masy PRL” zaczęli sprawiać kłopot, zwłaszcza tym wszystkim, którym są obce interesy narodowe Polski i nasze piękne tradycje walki o niepodległość i swobody polityczne.

Michał ROSS

Pisane we wrześniu 1975 r.

Frekwencja wyborcza

Autor artykułu „Perspektywy polskie” (*Kultura* Nr 9/1975) proponuje, aby w najbliższych wyborach powszechnych o ile możliwości wstrzymywać się od głosowania, jako że wybory to „najbardziej masowa forma upadlania społeczeństwa przez wymuszanie na nim służalczości”. Jest to na pewno prawda, częściowo przynajmniej, jeżeli założymy, że udział w wyborach jest świadectwem zastraszenia, bierności czy obojętności głosujących.

Nie wydaje mi się, żeby to było takie proste. Gotów jestem raczej założyć, że wybory spełniają wobec zwierzchności kilka funkcji jednocześnie. Niewątpliwie jedną z nich jest dążenie do sowietyzacji społeczeństwa w tym sensie, w jakim to pisze autor „Perspektyw”; tylko, że zwierzchność ma po temu tyle środków i sposobów oddziaływania czy manipulacji, że dziwić może, czemu właśnie do wyborów, do fikcyjnej przecież kampanii przedwyborczej i kosztownej agitacji przywiązuje taką wagę. Portugalska, w cuglach przez Kreml trzymana, partia Cunhala ostro występuje przeciwko zasadzie statystycznej większości, elekcyjności itp., co zgodne zresztą jest z taktyką stosowaną ongiś przez

Lenina; dlaczego więc komuniści w krajach przez siebie rządzonych pędzą ludność okresowo do manipulowanych wyborów i na pokaz wystawiają i elekcyjność (fikcyjną), i powielaną statystyczną większość (też fikcyjną)? Formułując krócej: prawomocne jest chyba przypuszczenie, że całe to rytmicznie się powtarzające i zafałszowane przedsięwzięcie, jakim są wybory, przynosi rządcom niejaką korzyść. — Jaką?

Jeszcze za czasów stalinowsko-bierutowskich zwrócił moją uwagę pewien szczegół z okresów agitacji *powyborczej*. Pokazywano już wówczas w prasie (fotografie) a bodaj i w telewizji, jak to dygnitarze partyjni, w tym i Bierut, czynili użytek z kabin w lokalu wyborczym. Wyglądało to wręcz na zachętę do naśladownictwa, czyli: do skreślania z listy osób wyborcy niemiłych; a pamiętać należy, że wówczas na kartkach wyborczych było tyle tylko kandydatów, ile było miejsc w sejmie i radach narodowych. Nasuwa się nieprzemyślany domysł, że te kabiny spełniały określoną funkcję, tym bardziej, że z własnych obserwacji pamiętam, iż bez zbyt wielkiego zastrachania sporo ludzi do nich wchodziło i bynajmniej żadnych konsekwencji za to na ogół nie bywało. Drugi domysł to ten, że prawdopodobnie dokonywano skreśleń i że o to właśnie chodziło.

Skreślenia te mianowicie skrupulatnie liczone i z tego zwierzchność miała bardzo być może niedokładne, ale jakoś tam przybliżone informacje, dotyczące aktualnych nastrojów społeczeństwa w danym okręgu, stopnia popularności lub niepopularności tego czy innego kandydata itd. Podawane do wiadomości wyniki wyborów były (i są) oczywiście fałszowane, ponieważ chodzi o to, żeby te informacje, jakie się w nich zawierają, nie dotarły do wiadomości publicznej: są bowiem tajemnicą państwową, jak w ogóle stan społeczeństwa jest i ma być dla tegoż społeczeństwa tajemnicą.

Z tego punktu widzenia należy również rozpatrywać zmiany, jakich dokonano w ordynacji wyborczej po październiku 1956 r. Polegają one na tym, że odtąd na kartkach wyborczych drukuje się większą ilość nazwisk kandydatów, niż przewidzianych miejsc w sejmie i radach terenowych. Jest to jeszcze większa zachęta do skreślania i do korzystania z kabin w lokalach wyborczych, wyborcy zaś za czasów gomułkowskich czynili z tego częściej użytek niżli za Bieruta. Pożytek dla rządców z tego był oczywiście: informacje stały się pełniejsze i być może dokładniejsze; wyniki wyborów fałszowano jak dawniej i pod tym względem nie należy spodziewać się żadnych zmian.

Zastraszenie, bierność i obojętność wyborców zapewne dzisiaj zmalowały. Nie zmalowała jednak, jak suponuję, pewna ich naiwność, polegająca na tym, że skreśleń dokonuje się wedle rzeczy-

wistych przekonań i wedle sumienia, co z kolei przyczynia się do prawdziwości informacji, otrzymywanych przez liczenie głosów. Uznać trzeba, że ta prawdziwość czy zbliżenie się do niej jest dla dezinformowanego po wyborach społeczeństwa niezgodna z jego interesami. Korzystne natomiast byłoby udzielanie zwierzchności informacji mylących, a da się to chyba zrobić przez skreślanie nie według przekonań, lecz na chybił trafił. Częściowa choćby dezinformacja rządców to już czysty zysk, ponadto zaś stanowić będzie objaw, może słaby, ale zawsze, inicjatywy politycznej wyborców wobec „wybieranych”, na domiar dla onychże „wybieranych” niepochwytny. Oszukać fałszerza — nic to w polityce zdrożnego.

Propozycja moja nie wyklucza postulowanego przez autora artykułu „Perspektywy polskie” bojkotu wyborów. Część głosujących może podawać zwierzchności informacje fałszywe, część powstrzymać się od głosowania. Zwiększy to tylko pożądany zamęt.

Witold WIRPSZA

Jeszcze o wyborach

Szanowny Panie Redaktorze,

Korzystając z czasowego przebywania na Zachodzie chcemy wyrazić radość, że *Kultura* ma coraz więcej głosów bezpośrednio z Polski. Nie będziemy powtarzać argumentów, że oczekujemy od emigracji programu pod warunkiem, że uwzględniac on będzie zarówno realia jak i przemiany psychologiczne, które zaszły w Polsce po wojnie.

Czego się najbardziej obawiamy, to utonięcia w „małej stabilizacji” mimo powszechnego oporu moralnego społeczeństwa. Opór ten jednak rozplywa się na skutek niemożności dania mu jakiegos zbiorowego wyrazu albo znajduje swoje ujście w nieoczekiwanych odruchowych zrywach, po których następuje jeszcze większa fala beznadziejności połączona z wyrzutami, że nie było ogólnonarodowej solidarności.

W numerze wrześniowym *Kultury* autor z Kraju proponuje bojkot wyborów. W obecnej chwili nie stać nas na bojkot wyborów, bo to wymaga bohaterstwa, a nasz okres bohaterski wypalił się wraz z wojną. Osiągalny byłby jedynie protest wyborczy, który byłby anonimowy, a wtedy mógłby być masowy; składać nieważne głosy do urn wyborczych bądź przekreślając kartki wyborcze, bądź wrzucając puste koperty. Jeśli emigracja pomoże nam wszystkimi środkami przekazywać tę wiadomość do Polski, resztę załatwi szepciana propaganda i udałoby się wówczas skanalizować nasz opór moralny w określonej jednoczesnej akcji. Jako naczelne hasło proponujemy protest przeciwko wtrącaniu się ambasady sowieckiej w polskie życie kulturalne, bo to jest hasło wspólne dla całego narodu z górą partyjną włącznie. To hasło

jest nie do odparcia w propagandzie przedwyborczej, bo uderza w najczulsze uczucia narodowe.

Chociaż oficjalna prasa nie podaje wyników protestu, w polityce nie ma tajemnic. Byłoby to wydarzenie mobilizujące protestujących, ostrzeżenie dla rządzących i pokazanie na zewnątrz, że Polska walczy — a tylko walcząca się liczą. Będzie to próba sił, która wskaże czy w następnych wyborach można się pokusić o bojkot wyborów.

Prosimy Pana Redaktora o opublikowanie niniejszego listu.

Kilku turystów z Polski

APEL DO CZYTELNIKÓW

W okresie letnim wiele osób z emigracji spędza wakacje w Polsce. Zwracamy się z prośbą do naszych czytelników, którzy odwiedzali w tym roku PRL, by nadsyłali nam swe wrażenia i obserwacje. Dążąc do największego obiektywizmu prosimy o relacje najbardziej rzeczowe bez żadnej tendencji. Te informacje zostaną wykorzystane w artykułach syntetycznych — najlepsze z nich będą zamieszczone w *Kulturze*. Ponieważ jest zjawiskiem powszechnym, że ludzie odwiedzający Polskę są często sparaliżowani obawą, że cokolwiek napiszą może to spowodować odmówienie im wizej w przyszłości, czy że może się odbić na ich rodzinach lub znajomych — Redakcja *Kultury* zapewnia całkowitą dyskrecję, jeśli autorzy będą jej wymagali.

REDAKCJA

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Archiwum polityczne

Korespondencja z Rzymu

Watykańska „Ostpolitik”: od Lenina do Breżniewa

Polemikę jaka rozgorzała wokół watykańskiej *Ostpolitik* podsyca na pewno książka która wyszła w maju bież. roku w NRF pt. *Die Ostpolitik des Vaticans — 1917-1975* (R. Piper Verlag, München-Zürich). Autor rewelacyjnego tomu, obficie udokumentowanego i wyposażonego w cenne przypisy źródłowe, Hansjakob Stehle, od 1970 roku korespondent radia zachodniemieckiego i tygodnika *Der Zeit* w Rzymie i b. długoletni wysłannik prasy niemieckiej w Warszawie i Wiedniu, zadał sobie trud wyszperania w archiwach watykańskich i europejskich, wielu nieznanych dokumentów dyplomatycznych. Wynik tej syzyfowej pracy: rekonstrukcja dziejów watykańskich stosunków ze Wschodem — głównie z ZSSR — od rewolucji październikowej aż do *détente* w wersji Breżniewa. Największa zaleta książki polega na tym, że autor referuje i analizuje fakty na podstawie dostępnych i odgrzebanych skrzętnie dokumentów i tylko w ograniczonej mierze ucieka się do komentarza. Znajdujemy w niej opis wydarzeń zatartych w pamięci żyjących (np. proces i skazanie abp. Cieplaka, metropolity mohylewskiego i 14 księży polskich oskarżonych w 1923 roku o „działanie kontrrewolucyjne”), faktów nieznanych bądź też znanych wyłącznie w wąskim kręgu wtajemniczonych.

Książka ta, jak dotąd opublikowana jedynie po niemiecku, wystawiona na niedawnych, międzynarodowych Targach Książki w Warszawie, uległa natychmiastowej konfiskacie. Trudno się temu dziwić. Umożliwienie czytelnikowi konfrontacji tej polityki z jej nie tak dawną przeszłością byłoby rzeczą ryzykowną. Są w niej *nota-bene* ujawnione pewne sprawy dotyczące PRL a wstydliwie ukrywane, jak np. okoliczności jakie poprzedziły kampanię reżymową w związku ze słynnym listem episkopatu polskiego do biskupów niemieckich. Jak twierdzi Stehle, rząd warszawski był szczegółowo uprzedzony o tej inicjatywie, a episkopat padł ofiarą

intrygi. Przeprowadził ją w Rzymie b. korespondent prasy partyjnej Ignacy Krasicki, wykorzystując ławowierność śp. kardynała Bolesława Kominka. Stehle ujawnia, że rozmawiał wówczas z metropolitą wrocławskim, który był autorem pierwotnego tekstu listu w języku niemieckim, i „radził w Rzymie z niemieckimi biskupami w nadziei na pozytywną odpowiedź”. We właściwym czasie przekazał ten tekst Krasickiemu, wkradającemu się chytrze w zaufanie kardynała, przypuszczając, że rząd zgłosi ewentualne uwagi czy zastrzeżenia. Krasicki — twierdzi autor — wprawdzie przesłał tekst do Warszawy, jednakże nie jako poufny sondaż Kominka, lecz jako „tajny dokument” zdobyty okreśną drogą bez wiedzy biskupów! Skutek był taki że Gomułka, odpowiednio nastawiony przez Min. Spraw Wewn. (gdzie raport Krasickiego trafił), wpadł w furję, widząc w tej inicjatywie zakusy Kościoła by mu wyrwać z ręki kartę niemiecką. Odczekał na odpowiedź episkopatu niemieckiego, która nie zawierała „decydującego wyjścia naprzeciw w sprawie granicy na Odrze i Nysie”, by dać sygnał do zajadłej nagonki na biskupów, oskarżonych o „zdradę stanu”, „mieszanie się do nieswoich spraw” itp. Zanim od tego doszło kard. Kominek słyszał w Rzymie od Krasickiego tylko jedno: „Warszawa nie ma żadnych zastrzeżeń przeciwko listowi biskupów”. Nie mógł przypuszczać — konkluduje Stehle — że został przez Krasickiego wprowadzony w błąd.

Zamiast zbliżenia polsko-niemieckiego, spór pomiędzy Kościołem a Państwem w PRL zaostriżył się ponownie. Stehle precyzuje, że w czasie Soboru Powszechnego kard. Wyszyński nakłaniał był w Watykanie do „pojednania” z reżymem warszawskim. Przyjęto więc z zadowoleniem próbę przerwania pomostu do niemieckiego sąsiada, licząc na dokonanie pierwszego poważnego wyłomu w kierunku otwarcia na Wschód poprzez ostateczne uregulowanie administracji kościelnej na ziemiach zachodnich i dojście do rozmów z rządem PRL. Rozczarowanie było bardzo dotkliwe kiedy ta próba została przez Gomułkę storpedowana. Interesujące jest spostrzeżenie autora, że Kuria Rzymska skłaniała się w tym okresie do opinii, że „taktyka Prymasa Polski będzie odnosiła sukcesy tylko na krótką metę” — w skali długofalowej jednak napięcie i „mała wojna” pomiędzy Kościołem a Państwem nie będzie pobudzać wiernych, lecz przeciwnie „męczyć i czynić podatnymi na procesy sekularyzacyjne, które także bez udziału komunistów występują w każdym rozwijającym się społeczeństwie przemysłowym”. Po 10 latach widać, że Watykan był w błędzie; „taktyka” Prymasa, jak Stehle określa Jego linię postępowania (należy ją nazwać raczej „strategią obrony narodowej i religijnej racji stanu”), wykazała żywotność i skuteczność. Wystarczy choćby jeden przykład: 10 lat temu na sierpniową uroczystość Matki Boskiej do Częstochowy przybywało około 500 studentów, w tym roku było ich ponad 3 tysiące (proszę wziąć pod uwagę, że chodzi o okres wakacyjnych wyjazdów w góry, nad morze i na jeziora).

Nacenniejszą częścią książki jest wygrzebana sprawa podwój-

nej gry Watykanu wobec Rosji sowieckiej w latach 1922-1933. W pierwszych latach po rewolucji sytuacja Kościoła na obszarze rosyjskim wyglądała tragicznie mimo pisma skierowanego do Lenina przez Benedykta XV, nawołującego do „humanitarnego traktowania wierzących” i utworzenia w Moskwie „Katolickiej Misji Pomocy” (głównie dla walki z głodem). Niezrażony trudnościami Pius XI kontynuował od 1922 roku próby dojścia do normalizacji stosunków i dla uratowania substancji katolicyzmu w Rosji deklarował gotowość „koncesji oraz ofiar by uczynić znośniejsze warunki życia religijnego”. Jeszcze jako nuncjuszowi w Warszawie udało mu się spowodować uwolnienie aresztowanego w Petersburgu w 1918 roku arcybiskupa mohylewskiego, później wileńskiego, Edwarda Roppa. Już jako papież wystarał się o wypuszczenie do Rzymu abp. Cieplaka, oraz o wysiedlenie do Polski wielu duchownych archidiecezji mohylewskiej. Równocześnie uległy likwidacji resztki hierarchii katolickiej obrządku bizantyjskiego (unicy) bez równie energicznych zabiegów watykańskich. Jedni uratowali się ucieczką na tereny wschodniej Galicji, drudzy, jak egzarcha petersburski Fiodorow, zginęli na Sołówkach. W obliczu prześladowań i praktycznego zniszczenia struktur kościelnych w Rosji, Pius XI ustalił „program wschodni”, powierzając jego wykonanie jezuitom francuskiemu Michel d’Herbigny, mianowanemu prefektem Papieskiego Instytutu Studiów Wschodnich, a później również Komisji „Pro Russia”. Stehle nazywa d’Herbigny’ego, „osobistością najbardziej tajemniczą i tragiczną w dziejach watykańskiej *Ostpolitik*”, a tę politykę „dylematem moralnym”. D’Herbigny opracował „tajny plan”, polegający na utworzeniu podziemnego, katolickiego Kościoła rosyjskiego, jaki w perspektywie miał doprowadzić do nawrócenia milionów prawosławnych na katolicki obrządek wschodni. Postanowiono z jednej strony kontynuować działalność misji charytatywnej w Moskwie i negocjacje dyplomatyczne, z drugiej zaś budować podwaliny pod nową strukturę Kościoła. Instytut Wschodni miał przygotować kadry przyszłych księży i misjonarzy. Sam d’Herbigny, wyświęcony potajemnie na biskupa w Berlinie przez nuncjusza Pacelli’ego (przyszłego Piusa XII), udał się do Moskwy w marcu 1926 w charakterze „prywatnego podróżnika dla opieki duszpasterskiej nad cudzoziemcami” (w 1922 roku Sekretarz Stanu kard. Gaspari i pełnomocnik rządu sowieckiego Worowskij, podpisali układ w Rzymie w sprawie podróży wysłanników watykańskich do ZSSR). D’Herbigny wyświęcił 10 administratorów apostołskich (Moskwa, Leningrad, Charków, Kazań, Mohylew i Mińsk, Odessa, Saratow, Tyflis, Żytomierz i Piatigorsk). Wśród nominatów było dwóch Polaków, Litwin, Łotysz, Gruzin, dwóch Niemców, jeden Francuz, dwóch Rosjan. W tym samym okresie zjawilo się w Rosji pod różnymi pretekstami i z fałszywymi dokumentami osobistymi, kilkunastu misjonarzy. W latach 30-tych wszyscy zostali wykryci, większość wysłano do łagrów i tylko kilku przeżyło (wśród nich Łotysz, bp Sloskans, administrator apost. Mohylewa

i Mińska, przebywa dotąd na wygnaniu w Louvain). W tym samym okresie nuncjusz Pacelli rokował w Berlinie z ministrem spraw zagranicznych Cziczerinem i ambasadorem Krestinskim, wyjaśniając im, że Watykan byłby gotów „wziąć pod uwagę zastrzeżenia rządu sowieckiego o charakterze politycznym wobec kandydatów na stolicę biskupie” (!). Do 1933 roku d'Herbigny zdecydował o wszelkich sprawach związanych z Rosją i jego nieograniczona władza napotykała na opór w Rzymie jedynie ze strony generała jezuitów, Włodzimierza Ledóchowskiego, oraz w Warszawie ze strony abp. Roppa i 200 księży wygnańców z metropolii mohylewskiej, zdecydowanych przeciwników „modelu rosyjsko-katolickiego”. Cała operacja zakończyła się wielkim fiaskiem przed wizytą biskupów polskich w październiku 1933 roku. Zbieg okoliczności nie był przypadkowy. Generał Ledóchowski wykorzystał tę okazję dla wywarcia decydującego nacisku na Piusa XI, by zdymisjonował bez zwłoki d'Herbigny'ego m.in. za rzekome kontakty z NKWD, szmugiel broni i inne wykroczenia (potwierdził mi to niedawno zmarły w Rzymie Witold Bronowski, b. radca ambasady Rzplitej przy Watykanie). Ledóchowski uzyskał placet papieski na likwidację całej afery. Dymisję d'Herbigny'ego rozłożono na raty — najpierw zmuszono go do rezygnacji z przewodnictwa Komisji „Pro Russia” i do wyjazdu na leczenie do Bruseli. Rok później otrzymał dymisję z Instytutu Wschodniego. W 1937 roku wreszcie pozbawiony wszelkich godności i urzędów, udał się na wygnanie do zamku w Mons, w południowej Francji, gdzie żył w zapomnieniu i kompletnej izolacji przez 20 lat, „kolekcjonując motyle”. Kiedy umarł w 1957 roku, jego byli uczniowie z Instytutu Studiów Wschodnich nie otrzymali zezwolenia na oficjalne nabożeństwo żałobne. Nad całą sprawą zapadła w Watykanie kurtyna milczenia. Kiedy na Synodzie w roku 1972 kardynał Slipij zamierzał tę smutną kartę przypomnieć — pisze Stehle — odradzono mu to jako rzecz nader niepożądaną. Stehle dodaje, że ta nieudana próba nawrócenia prawosławia na Unię z Rzymem cieszyła się poparciem metropolity ukraińskiego A. Szeptyckiego. Kardynał Slipij to potwierdza ponieważ stosunek d'Herbigny'ego do unitów był poprawny (czego nie da się powiedzieć o niektórych osobach z jego otoczenia). Metropolita Szeptycki nie mógł sam nic zdziałać, by położyć kres przesładowaniom unitów w ZSSR. Pod koniec jednak miał do misji d'Herbigny'ego zastrzeżenia. Zmarły W. Bronowski mówił mi że amb. Wł. Skrzyński był poinformowany o tym, że d'Herbigny zjawiał się w Moskwie „niezwykle tajnie”, przekonał się *nota-bene* niebawem że katolicyzm w Rosji nie jest żywotny, a nawrócenie prawosławia jest czystą mrzonką.

Rozdział przedwojenny zamknięty — nową edycję *Ostpolitik*, podjętą przez Jana XXIII i kontynuowaną przez Pawła VI, bardziej elastyczną i nieopartą na podwójnej grze, Stehle podsumowuje w czterech тезach:

1. Klasyczna polityka konkordatowa przestała stanowić model dla porozumień z rządami komunistycznymi ponieważ warunko-

wałaby w większej mierze „wzajemne przystosowanie się” niż jest to życzeniem obydwu stron. Należy dać priorytet ściśłemu rozgraniczeniu sfer działania.

2. Częściowe rozwiązania dotyczące konkretnych spraw są ważniejsze od umów globalnych, trudniejszych do osiągnięcia i przeważnie niepewnych. Dlatego stosunki dyplomatyczne nie są pierwszoplanowym przedmiotem dążeń i nie są nieuniknione.

3. Nie pozycje prestiżowe, nie opór polityczny lub współpraca, muszą być zabezpieczone, lecz praktyczne potrzeby duszpasterskie. Dotyczą one nie tylko wolności kultu, lecz także wolności wyznawania i nauczania. Ponieważ zabezpieczenie praw człowieka na podstawie wolności religii (w powyższym sensie) jest możliwe wyłącznie w warunkach pokoju światowego, udział Watykanu we wszelkich próbach odprężenia na linii Wschód-Zachód stanowi zasadniczą przesłankę *Ostpolitik* i pokładanego w niej zaufania.

4. Pierwszeństwo posiada stosunek do ZSSR mimo że jest to problem najtrudniejszy do uregulowania. Tylko wtedy kiedy w Moskwie zwycięży pogląd, że Kościół, którego Głowa rezyduje za granicą, nie musi być czynnikiem zakłócającym stosunki wewnętrzno-polityczne (także narodowościowe), że umacnia on pokój wewnętrzny kiedy go się zostawia w spokoju — tylko wówczas Moskwa, a także jego wschodnio-europejscy sojusznicy, gotowi będą zgodzić się na daleko idące i bardziej stabilne rozwiązania.

„Jeśli błądzimy, to błądzimy razem z Papieżem”

Powyższa wykładnia watykańskiej polityki wschodniej jest, z grubsza biorąc, ścisła. Nie różni się od interpretacji jaką staram się na tych łamach przedstawiać od dwóch lat. Mons. Casaroli, główny wykonawca tej polityki, tak ją ujął w oświadczeniu po powrocie z Moskwy (gdzie podpisał w 1971 roku traktat przeciw proliferacji broni atomowych): „Sam fakt że po przeszło 50 latach przeszliśmy z fazy monologu do dialogu, klimat w jakim toczą się rozmowy, stwarza nadzieję na możliwość kontynuowania tego dialogu”. Pozostaje ocena efektywnej przydatności i dotychczasowych wyników tego „dialogu”. I tu zaczynają się wątpliwości, zastrzeżenia, polemiki (należy przyznać, że nie zawsze oparte na bezstronności), a nawet energiczne protesty.

Ze współczesną wersją watykańskiej *Ostpolitik* wygląda tak jak za sprawą *détente*. Kto zwalcza jej aktualną postać, identyfikującą się z deklaracjami konferencji „na szczycie” w Helsinkach, nie jest pryncypialnym przeciwnikiem odprężenia. Sołżenicyn wbrew opinii, wpływających ze złej wiary lub konformistycznego oportunistu, nie jest przeciwny odprężeniu pomiędzy Zachodem a Wschodem. Podkreślił to nawet Raymond Aron, polemizujący skądinąd z tezą Sołżenicyna o przegraniu przez Zachód trzeciej wojny światowej. Sołżenicyn kwestionuje całkiem słusznie metodologię stosowaną przez dzisiejszych koryfeuszy *Realpolitik*, zmierzającą do odprężenia powierzchownego i jednostron-

nego, a więc pozornego i niestabilnego. Strategia watykańska w stosunku do świata komunistycznego poprzez „układy częściowe”, protokoły i próby *modus vivendi*, ma prowadzić do uratowania substancji, złagodzenia nacisków, „dania nieco tlenu dla dławiących się wspólnot wiernych”. Jej obrońcy utrzymują — i mają rację — że tradycja Kościoła polega na poczuciu realizmu w traktowaniu przez papieża przeciwników wówczas kiedy w grę wchodzi *survival* religii. Nie wszyscy przeciwnicy kwestionują konieczność aktywnej polityki wschodniej — rzecz idzie natomiast o to, czy dąży się do *détente* autentycznej czy pozornej i sowicie przepłaconej. Pewien autorytatywny przedstawiciel Kurii Rzymskiej, którego nazwiska nie mogę ujawniać, bo tylko pod tym warunkiem zgodził się na szczerą wymianę poglądów, mówi: „To co prasa nazywa *Ostpolitik* stanowi po prostu przejście od frontalnego zderzenia z komunizmem do *Realpolitik*. Komuniści posiadają własną logikę międzynarodową, która w określonych warunkach może stać się siłą bardziej dynamiczną od woli jej protagonistów. Trzeba się z tym liczyć, zwłaszcza że komuniści rosyjscy, mimo że wiele się nauczyli, są nadal nieobliczalni w kategoriach ściśle racjonalnych. Negocjujemy więc z przeciwnikiem niesłuchanie zręcznym i przebiegłym. Staramy się doprowadzić raczej do *gentlemen's agreement*, tzn. do porozumień opartych na pragmatycznym wyrachowaniu”. Na moją uwagę jak można z tego typu adwersarzami liczyć na to, że te „dżentelmeńskie porozumienia” będą dotrzymane, odpowiada: „Bandyci wymagający okupu zwracają porwanych rodzinom” (bywają jednak wypadki — skoro już jesteśmy przy tak szokującym zestawieniu — że mimo wypłaconego miliardowego okupu bandyci mordują swe ofiary jak zdarzyło się ostatnio we Włoszech aż w pięciu przypadkach). Mój rozmówca ciągnie dalej: „czynimy wszystko co możliwe by, nie rezygnując z zasad, osiągnąć za praktyczne koncesje odwzajemnienie się na płaszczyźnie życia religijnego, o charakterze duszpasterskim, moralnym i wolnościowym”. Nie ukrywa, że takie podejście wymaga ostrożności i pozbycia się złudzeń: „Ta droga dostarczyła nam dotąd więcej powodów do niepokoju i rozgoryczenia niż do zadowolenia. Pomimo ryzyka jakie zawiera metoda dialogu nie ma innej alternatywy”. Bardzo dosadnie wyraził się na ten temat mons. Casaroli: „Plan jaki Paweł VI szczegółowo opracował jest bezwątpienia sporny, nie stanowi dogmatu, a więc podlega krytyce, która często jest bardzo użyteczna... Możemy mylić się, ale jesteśmy przekonani że wkroczyliśmy na słuszną drogę. Mimo jej niepewności — twierdzimy, że jest to droga najlepsza. Punkty określające nasze postępowanie są trzy: wierzymy w prawość naszych poczynań, angażujemy się według ludzkich możliwości by to przedsięwzięcie (tj. *Ostpolitik*) odznaczało się powagą i sądzimy, że jeśli błądzimy, to błądzimy razem z Papieżem”.

Stawiam mojego rozmówcę przed następującym problemem: dotychczasowe wojaże na Wschód mons. Casaroli'ego wykazały, że reżymy komunistyczne eksploatują z powodzeniem obecne po-

dejsie dyplomacji watykańskiej, wmawiając wszem wobec, że Stolica Apostolska popiera ich „realistyczną linię”. Powstaje paradoksalna sytuacja, w której społeczność katolicka czuje się opuszczona przez Rzym, a poszczególne rządy mają ułatwioną akcję antykościelną. *Ostpolitik* działa demobilizująco na zainteresowane społeczeństwa. Papież interweniuje aż trzykrotnie przed skazaniem na śmierć pięciu terrorystów hiszpańskich, milczy natomiast konsekwentnie na temat represji spadających na wierzących w ZSSR (*Osservatore Romano* niedawno całe szpały poświęcało represjom w Hiszpanii, a o powieszeniu ukraińskiego księdza unickiego Michała Luckyja z Drohobycza, aresztowanego za odprawianie nabożeństw i katechizację bez upoważnienia, zamieściło drobną notkę). Czy nie ma w tym wszystkim niedopuszczalnego stosowania podwójnej miary i konformizmu podważającego autorytet Kościoła? „Stolica Apostolska jest świadoma tego niebezpieczeństwa — odpowiada — słusznie jednak wybiera kalkulowane ryzyko, by ocalić to co jest do ocalenia dla dobra wierzących, którzy nie mogą być oddani na pastwę losu. Historia oceni czy nasze wysiłki opłaciły się. Co zaś do Hiszpanii, to generalissimo Franco uważany jest za przywódcę katolickiego państwa — kara śmierci nałożona na terrorystów walczących z reżymem faszystowskim obciąża *credibility* tego państwa; w krajach komunistycznych przy władzy są ateistyczni marksiści — nie możemy im stawiać równie wysokich wymagań” (!). Nie sposób oczywiście zgodzić się z tym rozumowaniem. Co do ryzyka („kalkulowanego”), to utrata prestiżu przez Watykan jest dziś ogólnie biorąc większa niż uzyskane korzyści na rzecz lokalnych Kościołów. Tam gdzie nastąpiły (jak w Polsce), wywalczone zostały przez hierarchię, kler i wiernych, nie przez Watykan; w Czechosłowacji zaś i na Węgrzech „ryzyko” spaliło na panewce. Stosowanie podwójnej miary (innej dla Hiszpanii czy Chile — innej dla państw komunistycznych) polega nie tyle na ideologicznym obliczu władców, ile na tym że jedni są słabi, drudzy silni. Niektórzy eksperci tę aktualną wrażliwość Watykanu na to co się dzieje na chrześcijańskim Zachodzie, a niewrażliwość na „osobliwe sprawy Wschodu”, przypisują psychologicznej strukturze Pawła VI-go. Ci, którzy go dobrze znają, twierdzą, że w swych zasadniczych opcjach kieruje się głęboko zakorzenioną pewnością: zachodnie społeczeństwo kapitalistyczne skazane jest na utratę walorów religijnych i dalsze zmateralizowanie; niemoralność i brak ładu w demokracjach zachodnich stanowi — według niego — główne źródło atrofii demokracji parlamentarnej, upadku obyczajów i ustępliwości wobec lewicowego radykalizmu. Paweł VI jest więc skłonny preferować ograniczoną wolność (w państwach komunistycznych) w przekonaniu, że panuje tam „porządek” i zdrowsza atmosfera moralna. Ocalenie Kościoła widzi w osiągnięciu „kompromisu historycznego” ze światem komunistycznym (odrzuca go jednak we Włoszech — to co dobre dla uporządkowanego Wschodu, nie nadaje się dla „zgniętego” Zachodu).

Kryzys aprowizacyjny, przygotowania do zjazdu PZPR i prawda o 30 latach PRL

Przyjeżdżający w tych dniach z kraju nie mówią o niczym innym: braku w zaopatrzeniu w mięso, wędliny, masło, występujące na rynku, i wywołujące przestoje w fabrykach i protesty w stołówkach (kapusta z boczkiem jako główne danie). Ponadto tajemnicze, prawdopodobnie prowokacyjne, pożary wznagające nerwową atmosferę przed zjazdem partii. Ponownie zaostrzony kryzys aprowizacyjny wynika w dużej mierze ze zjawiska masowej ucieczki ze wsi do miast i nastrojów niepewności w związku z szerzącymi się pogłoskami o przygotowaniach do kolektywizacji. Zamiast troski o praktyczne środki, zmierzające do zatrzymania upustu energii ludzkiej w rolnictwie, rząd PRL dąży do zlikwidowania kategorii tzw. chłopo-robotników i przejmowania nieruchomości na rzecz gospodarstw państwowych i spółdzielczych. Kryzys spożywczy niektórzy wiążą z rozgrzywkami frakcyjnymi w łonie partii przed zbliżającym się zjazdem. Bruździ „grupa rosyjska” z premierem Jaroszewiczem, uważanym za „likwidatora” resztek autonomii gospodarczej kraju. Stawiają opór prowincjonalne kacyki partyjne, tracące swe feuda na skutek gierkowskiej reformy podziału administracyjnego.

Zaniepokojeniu społeczeństwa dają w ostatnim czasie wyraz przedstawiciele episkopatu. Prymas Polski, w kazaniu wygłoszonym 15 sierpnia w uroczystość Wniebowzięcia NMP na Jasnej Górze, powiedział m.in.:

„Zaznacza się w Polsce w naszym narodzie niepokojące wszystkich zjawisko ucieczki ze wsi do miast — jak nieraz się ludziom wydaje do życia łatwiejszego... Miłość do ziemi ojczystej wymaga, aby utrzymać się na tym zagonie, który żywi Naród, a nieraz dzieli się chlebem i z okolicznymi narodami... Wołamy o chleb dla polskich ust. Tym co zbywa chętnie dzielimy się z innymi, ale naprzód trzeba wyżywić dzieci narodu. Nie wywozić chleba z Ojczyzny, gdy go u nas wciąż brak. Położyć kres marnotrawstwu czasu, zwłaszcza w kolejkach sklepowych, gdzie ludzie tracą siły i zdrowie, wyciekając na artykuły pierwszej potrzeby. Nie przepijać chleba, nie zamieniać ziarna na okowitę czy wódkę. Upominamy się o pierwszeństwo dla rodziny, zwłaszcza liczebnej. Oto postulaty, które są wymaganiami polskiej i katolickiej racji stanu”.

Piszę te słowa w przeddzień wielkiej pielgrzymki krajowej do Rzymu z okazji Roku Świętego. Przybyć mają przedstawiciele hierarchii, duchowieństwa i wiernych ze wszystkich diecezji. Komunikat z konferencji plenarnej episkopatu z 6 września wyraża nadzieję, że „trudności jakie zaistniały w niektórych diecezjach w załatwieniu spraw paszportowych zostaną przezwyciężone i że w skład delegacji wejdą tylko te osoby które zyskują aprobatę miejscowej władzy diecezjalnej”. Nadzieje te zostały spełnione tylko częściowo. Pewnej liczbie osób (chwilowo brak dokładnych danych) odmówiono paszportów, (świeckim, nie księżom) a na

ich miejsce czyniono próby wkręcenia kandydatów postronnych, nie zezwalając na wstawienie innych osób. Niezależnie od 2.000 osób oficjalnej pielgrzymki przybyć ma 200 księży na rachunek rządowy. Nie trudno domyśleć się o kogo chodzi.

Konferencja plenarna episkopatu rozpatrzyła również niektóre problemy z zakresu stosunków pomiędzy Kościołem a Państwem, w tym „prawo do swobodnego obsadzania stolic biskupich przez kompetentne władze kościelne”. Prymas Polski zapoznał konferencję „z trudnościami na jakie napotyka ze strony władz państwowych obsadzenie stolicy arcybiskupiej we Wrocławiu. Przedstawiając się wakans tej stolicy budzi żywe zaniepokojenie episkopatu i społeczeństwa katolickiego”.

2 sierpnia przypadała uroczystość św. Stefana, patrona Prymasa Polski. Odpowiadając na życzenia złożone mu przez przedstawicieli metropolii gnieźnieńsko-warszawskiej, innych diecezji oraz seminariów i zakonów, kardynał Wyszyński dokonał retrospekcji swej pracy prymasowskiej. Na wstępie mówił o zadaniach Kościoła w skali międzynarodowej:

„... 30 lat temu po zwycięstwie militarnym nad faszyzmem zaczęła się nowa era w świecie. Mówi się dziś o zwycięstwie nad faszyzmem, ale trzeba czekać na pokonanie mentalności faszystowskiej, trzeba czekać cierpliwie i wytrwale, aby duch faszyzmu został ostatecznie zwalczony na całym świecie. Będzie to możliwe jedynie wtedy kiedy narody uzyskają pełną wolność samostanowienia o swych losach i kiedy wszyscy rządzący i rządzani uświadomią sobie że prymat należy się człowiekowi podczas gdy władza wyraża się w służbie człowiekowi... Wojna zakończyła się, ale ludzie nadal są udręczeni i ograniczani w dziedzinie podstawowych praw ludzkich. Dotyka to zwłaszcza tych, którzy przynajmniej się otwarcie do określonej ideologii”.

Poruszając sprawę udziału reprezentanta Stolicy Apostolskiej w konferencji w Helsinkach, stwierdził co następuje:

„Nie wystarczy dyskutować na forum międzynarodowym o samych państwach, lecz przede wszystkim o narodach jakie w nich żyją. Należy im udzielić prawa decydowania o sobie. A to jest możliwe tylko pod warunkiem że ludzie w tych krajach uzyskają możliwość wyrażania swych przekonań najważniejszych bez zagrożenia wolności osobistej, że uzyskają uprawnienia do obrony podstawowych praw ludzkich we wszystkich dziedzinach: religijnej, moralnej, społecznej, zawodowej, gospodarczej, narodowej i politycznej. W toku naszych rozmów w Stolicy Apostolskiej podkreślaliśmy wielokrotnie że przyjmujemy z nadzieją jej udział na płaszczyźnie życia narodowego. Jesteśmy jednak zdania, że obecność przedstawiciela Stolicy Apostolskiej na różnych kongresach międzynarodowych powinna być podyktowana przede wszystkim koniecznością dawania świadectwa Chrystusowi przed królami i prezydentami, *ante reges et praesides* jak mówi Pismo Święte. Kościół spełnia swe zadanie na płaszczyźnie międzynarodowej tylko wówczas kiedy uznaje otwarcie Chrystusa i jego dyplomaci są bardziej apostołami niż politykami... Przypominamy często Ojcu Świętemu, że nadszedł czas, by Najwyższy Autorytet Kościoła mógł być usłyszany we współczesnym zamęcie w imię tych, których dotyczą niesłuszne cierpienia i są zmuszeni do wyznawania swej wiary jak bohaterzy pomimo Deklaracji ONZ o prawach

człowieka i obywatela i konstytucji gwarantujących wolność osobistą. Słowa te powinny zabrzmieć nie raz lub dwa, lecz brzmieć dopóki nie nastąpi zmiana”.

Przechodząc do zagadnienia „polityki” Kościoła w Polsce, stwierdza m.in.:

„... Kiedy po śmierci kardynała Augusta Hlonda byłem zmuszony posłuchać woli Stolicy Apostolskiej i objąć stolicę w Gnieźnie i Warszawie, bałem się że nie jestem dostatecznie przygotowany. Kto zresztą nie bał się wówczas! Trwały liczne procesy polityczne, których ofiary zeszły z tego świata... Wydawało się nam, że tylko prawda warunkuje utrzymanie autorytetu Kościoła w społeczeństwie polskim, doświadczonym cierpieniami i rozczarowaniami. Należało objawić taki autorytet w jaki można było uwierzyć... Bez względu na to ile trzeba by zapłacić, Kościół w Polsce nie utrzymałby się jak tylko za cenę prawdy, prawdomówności i autentyczności... Jeśli dziś po 30 latach możemy patrzeć spokojnie w przyszłość, to dlatego że Kościół w Polsce nie przechylał się ani w prawo ani w lewo...”.

Następnie Prymas dodał, że mimo że wiele spraw czeka wciąż na rozwiązanie, Kościół czuje się dziś wzmocniony i z ufnością patrzy w przyszłość.

Eksperymenty na cudzej skórze

Nie ma mowy o jakimkolwiek „dialogu” pomiędzy USA a PCI (włoska partia komunistyczna). Ani wizyta Berlinguera, sekretarza generalnego tej partii, ani innych jej przywódców nie są przewidziane (por. moja korespondencja w poprzednim numerze). Departament Stanu wydał oświadczenie dementujące informacje o taryfie ulgowej jaką Amerykanie byłiby skłonni udzielić włoskim komunistom. „Nasza polityka zagraniczna pozostaje bez zmian. Nie możemy akceptować udziału komunistów w rządzie państwa należącego do NATO. Byłoby to sprzeczne z zasadami i celami tego sojuszu”. Oto kwintesencja tego oświadczenia. W ślad za tym *Council on Foreign Relations* wydała komunikat o odwołaniu seminarium amerykańsko-włoskiego, w jakim miał wziąć udział poseł Serge, kierownik sekcji zagranicznej PCI. Departament Stanu odmówił mu wizy, podkreślając, że pozostają w mocy przepisy, na podstawie których nie udziela się wiz wjazdowych członkom partii komunistycznych (z wyjątkiem dziennikarzy i członków delegacji parlamentarnych). Z dobrze poinformowanych źródeł dowiaduję się, że do fiaska seminarium, organizowanego przez Radę dla Stosunków Zagranicznych, przyczynił się w dużej mierze Gianni Agnelli, prezes Fiata i włoskiej Confindustria, zaprzyjaźniony z wieloma czołowymi osobistościami amerykańskiego świata gospodarczego i politycznego. Agnelli, który miał uczestniczyć w seminarium jako członek delegacji włoskiej, widząc opłakane skutki misji Z. Nagórskiego, sekretarza tej Rady, wyperswadował patronowanie tej imprezie Dawidowi Rockefellerowi,

rowi, prezesowi Chase Manhattan Bank i wybitnemu członkowi *Council on Foreign Relations*. Niezadowoleni są naturalnie komuniści włoscy.

Nie jest oczywiście powiedziane, że Amerykanie nie powinni rozmawiać z zachodnimi komunistami, zwłaszcza na płaszczyźnie studiów międzynarodowych. Trzeba tylko wiedzieć jak się do tego zabrać. Nie od dziś zresztą wielu amerykańskich intelektualistów *liberals* ze wschodniego wybrzeża cierpi na „dziecinną chorobę lewicowości” (jakby powiedział Lenin). U siebie w domu, nieprzejednani antykomuniści, przejawiają dziś inklinację do upórządkowania (przy pomocy komunistów) sytuacji na małym, zachodnim półwyspie Eurazji. Naiwność i lekkomyślność, często podszyta cynizmem, sprowadza się do eksperymentowania na cudzej skórze. Panie Boże broń nas od przyjaciół, od nieprzyjaciół sami się obronimy!

Dominik MORAWSKI

Pisane 8 października 1975

POLSKA KSIĘGARNIA ORBIS

Przedstawicielstwo KULTURY i INSTYTUTU LITERACKIEGO
na Wielką Brytanię.

Wykonujemy zamówienia pocztowe na wszystkie książki polskie,
angielskie i rosyjskie.

Zawsze na składzie duży wybór książek.

Prosimy o odwiedzenie naszego sklepu podczas pobytu w Londynie.

Katalogi książek i polskich płyt gramofonowych wysyłamy na żądanie.

W dziale antykwarycznym posiadamy szereg wyczerpanych tytułów
Instytutu Literackiego.

ORBIS BOOKS (LONDON) LIMITED,
66, KENWAY ROAD, LONDON, S.W.5. ORD. — ENGLAND.
Tel.: 370-2210.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

W prasie sowieckiej nie ukazał się żaden komunikat o 5-ciodniowym pobycie zastępcy Sekretarza Stanu do spraw ekonomicznych USA, Charles Robinsona w Moskwie i o jego pertraktacjach z sowieckim ministrem Handlu Zagranicznego Patoliczewem. Natomiast codziennie we wszystkich gazetach ukazywały się na czołowym miejscu szumne relacje o sukcesach na froncie zbożowym: rejony, obłastie, republiki meldują o milionach ton zboża które zdano do śpichrzów państwowych. A przecież w tym samym czasie Robinson prowadził w Moskwie pertraktacje o zawarciu umowy, na mocy której USA sprzedawałyby Związkowi Sowieckiemu corocznie — w ciągu 5 lat — duże ilości zbóż — mówi się o 8-miu milionach ton.

O sowieckich zakupach zboża za granicą pisze się już od wielu lat. W wrześniowym numerze *Kultury* była na ten temat rzeczowa, dobrze udokumentowana notatka Bohdana Brodzińskiego pt. „Za chlebem”. Decyzja leaderów sowieckich, by przejść na statut stałego klienta USA (a potem oczywiście i innych eksporterów zboża) jest — jak mi się wydaje — rezultatem bardzo istotnego przemyslenia, dotyczącego perspektywicznych planów rozwoju ZSSR.

Bohdan Brodziński najzupełniej słusznie napisał: „Dużo się mówi o klimatycznych powodach sowieckich nieurodzajów. Znacznie ważniejszy jednak jest klimat ustrojowy, który nie pozwala na intensyfikację sowieckiego gospodarstwa i zwiększenia jego wydajności” (str. 80).

W niedawno wydanej w języku rosyjskim (nieźdugo ukaże się i przekład polski) książce Andrieja Sacharowa „O ojczyźnie i świecie”, która mówi straszną prawdę o Związku Sowieckim dzisiaj, wspomina się społeczno-ekonomiczny eksperyment Chudienki. Historia tego eksperymentu tak wyraźnie demonstruje charakter sowieckiego państwa, że wydaje się, że została celowo wymyślona. Ale tak było w rzeczywistości. Zanim nazwisko Chu-

dienki ukazało się w książce A. Sacharowa można się było z nim spotkać w *Izwiestiach* w *Komsomolskiej Prawdzie* i w *Liternurnoj Gaziecie*. Chudienkę można było oglądać na ekranie i jego eksperymentowi poświęcony był film „Człowiek na ziemi”. Historia zaczęła się 12 listopada 1960 roku, gdy sowiecka Rada Ministrów zezwoliła wysokiemu urzędnikowi biura Rady Ministrów, Iwanowi Nikiforowiczowi Chudienko, przeprowadzić eksperyment, dotyczący wprowadzenia w sowchozie nowego systemu pracy i płacy. Krótko, nie wchodząc w szczegóły, można przedstawić eksperyment Chudienki następująco: Praca jest wykonywana przez niewielką grupę. Grupa ta otrzymuje całkowitą samodzielność gospodarczą: wymaga się od niej jedynie, by wyprodukowała dany produkt w konkretnym terminie. Osiągnięte rezultaty są opłacane, przy czym nie ma żadnych ograniczeń wysokości płacy. Nie upłynął nawet rok gdy prasa sowiecka zaczęła pisać dytyramby na cześć Chudienki. Rezultaty rzeczywiście były zdumiewające. Pracownicy sowchozu zaczęli pracować tak, jak gdyby byli na swoim własnym gospodarstwie. W ilijskim sowchozie przed eksperymentem w produkcji zbożowej pracowało 830-tu ludzi i 227 traktorów. Po wprowadzeniu systemu Chudienki tę samą produkcję dało 67-miu ludzi i 67 traktorów.

Potem nastąpił upadek Chruszczowa, protektora Chudienki. Chudienkę przeniesiono do innego sowchozu i tam również jego system działał znakomicie. Koszt własny produkcji zboża zmniejszył się czterokrotnie, zarobek robotników wzrósł również czterokrotnie, a dochód na jednego pracownika 7-miokrotnie.

Iwan Chudienko przedstawił rozliczenia, z których wynikało, że wprowadzenie jego systemu w całym kraju pozwoli zwiększyć produkcję zboża 4-rotnie zmniejszwszy 6-ciokrotnie ilość pracujących w gospodarstwach rolnych: zamiast 30 milionów — 5 milionów ludzi.

W lipcu 1970 roku sowchoz w którym pracował Chudienko został zamknięty przed końcem sezonu, w związku z czym robotnicy nie otrzymali zapłaty. Chudienko podał do sądu ministra Gospodarki Wiejskiej Kazachstanu (tam znajdował się kierowany przez niego sowchoz). Sąd rozstrzygnął sprawę na korzyść robotników sowchozu. Ale decyzja ta została zmieniona, Chudienkę zaarrestowano. Został oskarżony o próbę „sprzeniewierzenia dobra państwowego” na wielką skalę. W myśl prawodawstwa sowieckiego jest to karalne od 15 lat łągru do rozstrzelania. Humanitarny sąd sowiecki ograniczył się do skazania Chudienki 12 listopada 1974 roku na 6 lat łągru. Iwan Chudienko zmarł w więzieniu.

Sprawa Chudienki i decyzja stałych zakupów zboża w USA są ze sobą nierozłączne: stojąc przed dylematem wprowadzenia zasadniczych reform w gospodarstwie wiejskim (które automatycznie stałyby się początkiem reform i w innych dziedzinach) albo zakupywania zboża za granicą — sowieccy przywódcy wybrali drugi wariant.

Z sowieckiego punktu widzenia jest to całkowiec logiczne i jest przedłużeniem wyboru Stalina zrobionego już w końcu lat dwudziestych. Przymusowa kolektywizacja zniszczyła gospodarkę rolną i postawiła ludność w warunkach stałego niedojadania a nawet głodu. Ale wprowadziwszy pańszczyzną zdobyła warunki do umocnienia totalitarnej władzy. Dzisiaj każda reforma w sposób nieunikniony musiałaby się oprzeć na swobodnej inicjatywie obywateli, a to byłoby początkiem końca. I wobec tego zdecydowano — żadnych reform!

W pierwszym, najbardziej cennym podarku dla obywateli sowieckich przed XXV Zjazdem, to jest w dwutomowym zbiorze mów i raportów L. I. Breżniewa „O zasadniczych zagadnieniach polityki ekonomicznej KPZS na obecnym etapie” (1964-1975) została przeprowadzona analiza warunków rozwoju gospodarki narodowej na etapie tak zwanego „dojrzałego socjalizmu”. Breżniew mówi jasno i otwarcie: Żadnych reform, żadnej naukowo-technicznej rewolucji „tylko partia uzbrojona w naukę marksizmu-leninizmu i doświadczenie politycznej organizacji mas jest zdolna określić główne kierunki społecznego rozwoju”. Główne cechy sowieckiego „manadżera”: wysoka ideowość i kompetencja. Najpierw ideowość, a dopiero potem — jeśli już nie można inaczej — kompetencja. Tym bardziej, że dzisiaj w warunkach *détente* kompetencje można pozostawić bezideowym kapitalistom. Niech oni produkują zboże, wytwarzają czołową technikę, a potem niech sprzedają lub dają ją nam. Dla ludzi sowieckich cała ta kapitalistyczna, tzn. czołowa technika to jedynie niepokój. I nie ma ona żadnego sensu, gdyż technika ta nie rozumie specyficznych sowieckich warunków. W powieści A. Czernousowa pt. „Praktykant” młody student-praktykant Gena rozmawia z głównym inżynierem: „— Wy, ma się rozumieć, wiecie co to jest automatyczny system kierownictwa? — Powiedzmy — odpowiada główny inżynier. — A jeśli znacie, to dlaczego go nie wprowadzacie? Przecież elektroniczna maszyna w ciągu sekundy przetrawi wam tysiące faktów i informacji i poda optymalną decyzję. — Nie zwracajcie głowy — ze zniecierpliwieniem odmachuje się główny inżynier — przecież żadna maszyna nie może obliczyć ani przewidzieć, czy Iwanow Pietrow jutro, w czasie dnia roboczego, nie przelezie przez płot fabryczny i nie pobiegnie do magazynu po butelkę portweinu...”. Rzeczywiście nie istnieje dotąd elektroniczna maszyna, która mogłaby przewidzieć odruchy sowieckiego robotnika plującego na swoją robotę, za którą nic mu nie płacą.

Ale od dawna wiadomo, że robotnicy to naród nieodpowiedzialny. 22 sierpnia 1975 roku *Prawda* zamieściła notę o Ministerstwie Budownictwa Turkmeńskiej Republiki, które zdecydowały się iść w nogę z naukowo-techniczną rewolucją zakupiło elektroniczno-rachunkową maszynę „Mińsk 22”. Ale potem nagle okazało się, że nie ma gdzie tej maszyny postawić i że w ogóle nie wiadomo co z nią zrobić. Wtedy — pisze *Prawda* — przyszło polecenie z góry: Schować maszynę do piwnicy. I tu stwierdzono,

że chociaż jest to maszyna sowiecka, to jednak są jej potrzebne: „osobna podstacja transformatorów, linoleum na podłodze, ściany obite plastykiem i lampy dające dzienne światło...”. A zatem okazało się, że maszynie są potrzebne prawie takie same warunki jak ministrowi. Maszyna pozostała w piwnicy bez żadnych udogodnień. A notatka w *Prawdzie* kończy się słowami: „Należy wyprowadzić elektroniczną technikę z piwnic na świat Boży”. Tylko skąd wziąć ten „świat Boży” w Związku Sowieckim?

Kierownictwo partyjne odrzuciło drogę reform obawiając się, że jakakolwiek reforma, nawet najmniejsza, podważy sowiecki monolit. Gorzko rozczarował się co do możliwości zreformowania sowieckiego ustroju Andriej Sacharow. I tylko Roy Miedwiediew nadal propaguje możliwość i niezbędność reform. Pisałemu niedawno o wywiadzie jakiego udzielił Roy Miedwiediew w czerwcu br. londyńskiemu *Observer'owi*. 5 września zachodniemieckie pismo *Die Zeit* zamieściło ogromny artykuł Roya Miedwiediewa „Prorocy bez zwolenników”. Tak jak w wywiadzie, Roy Miedwiediew ostro atakuje nową emigrację: przede wszystkim Sołżenicyna, ale także pismo *Kontynent*, specjalnie zaś jego naczelnego redaktora Władimira Maksimowa. Roy Miedwiediew zarzuca *Kontynentowi*, że zwraca się w pierwszym rzędzie do Zachodu, że uważa za swoje główne zadanie demaskowanie w oczach zachodniej inteligencji marksizmu i socjalizmu. Roy Miedwiediew uważa to za bardzo szkodliwe i niebezpieczne gdyż autorzy drukujący w *Kontynencie* są sowieckimi i wschodnioeuropejskimi świadkami, a więc im mogą uwierzyć. W rzeczywistości zaś „wprowadzają w błąd zachodnich czytelników”. Jest niezbędne — twierdzi Miedwiediew — stworzenie nowej nauki, opartej „nie na odrzuceniu socjalizmu, ale na domaganiu się reform. Nikt nie może odrzucić Rosji i Europy z powrotem w XVI-ty wiek”.

Rosja XVI-go wieku to odległa przeszłość. I tam nie ma powrotu. Związek Sowiecki od 1917 do 1975 roku — to rzeczywistość, od której uciec nie można. Jeszcze raz z niestychaną siłą pisze o tym Georgij Władimow, którego powieść „Wierny Rusłan” dopiero po 10 latach mogła dotrzeć do szerokiego kręgu czytelników (przedtem była rozpowszechniana w samizdacie). Dziennikarz G. Władimow wszedł do literatury sowieckiej w 1961 roku powieścią „Wielka ruda”, którą jednomyślnie przyjęła krytyka jako odnowę powieści produkcyjnej. Co prawda już i w tej powieści w charakterze głównego bohatera, szofera Proniakina, znalazły się niektóre cechy, które zaniepokoiły oficjalną krytykę. W ogłoszonej prawie 10 lat później powieści „Trzy minuty milczenia” — prawdziwym świadectwie z życia sowieckich wielorybników i z życia sowieckich ludzi — te niepokojące cechy wywołały już gniew krytyki. Dopiero obecnie wyjaśniło się, że w międzyczasie Georgij Władimow napisał „Wiernego Rusłana”. Autor miał nadzieję ogłoszenia tej powieści w ojczyźnie, ale przekonawszy się, że to jest niemożliwe opublikował ją w miesięczniku *Grani*, wychodzącym we Frankfurcie nad Menem (Nr 96, 1975). Znaczenie tej zdumiewającej w swym mistrzostwie i sile powieści

stanie się jeszcze bardziej wyraziste jeżeli zestawimy ją z inną książką, która czekała 45 lat na ogłoszenie. „Wierny Rusłan” to historia psa. Książkę Władimowa można uważać za dalszy ciąg innej psiej powieści — Michaiła Bułgakowa pt. „Psie serce”. Między tymi dwoma powieściami pół stulecia — 50 lat władzy sowieckiej. Bohater książki Bułgakowa, pies Szarik, przekształcony przez genialnego chirurga prof. Preobrażeńskiego w człowieka z psim sercem, Szarikowa, patrzy swymi psimi oczami na Moskwę, na życie sowieckie w 1925 roku — 7 lat po rewolucji. Bohater Władimowa — Rusłan patrzy na sowieckie życie i na sowieckich ludzi w 1956 — a pisarz patrzy na nich z perspektywy 1965 roku, a więc po upływie połowy stulecia od zwycięstwa Października.

Bułgakowowi wydawało się, że najstraszniejsze jest przekształcenie człowieka w psa; najbardziej straszne — pojawienie się ludzi z psim sercem. Władimow mówi w swojej książce: Autor „Pskiego serca” był naiwny — najstraszniejsze przyszło dopiero w przyszłości. „Wierny Rusłan” to historia o przekształcaniu psów w ludzi, o pojawianiu się psów z ludzkim sercem.

Rusłan, pies-strażnik wychowany był do ochrony łagrów. Ale w 1956 roku wiele łagrów zamknięto, w tej liczbie i łagier Rusłana. Pies zostaje bez pracy. Strażnik powinien był go zastrzelić, ale naruszywszy przepisy wypuścił go na wolność. Dla Rusłana jednak nie ma wolności. Przyczyniony do służby odmawia uwierzenia, że już nigdy nie będzie potrzebny. Dostawszy się do osiedla położonego niedaleko dawnego łagru, Rusłan codziennie biega na dworzec czekając na pociągi z więźniami. Oddany strażnikowi, pozostaje wierny i Służbie. Codziennie chodzi z byłym więźniem Potiertym zbierać deski na szafę, którą były zek robi dla gospodyni która go przysparza. Rusłanowi wydaje się, że dalej pełni służbę, że konwojuje Potiertego. Rusłan nie wie, że Potierty jest wolny. Potiertemu wydaje się, że jest wolny, ale nie wie, że nie może wyjechać z osiedla położonego obok dawnego łagru. Potierty dopiero w końcu powieści zrozumie, że wyjście z „maleńkiej zony” — łagru w „wielką zonę” — do kraju sowieckiego, wolności nie daje. Rusłan nie rozumie tego do końca.

Wiele jest opisów sowieckiego społeczeństwa: realistyczne, socrealistyczne, naturalistyczne, symboliczne. Najlepiej ze wszystkich widzi je Rusłan: na skwerku, w osiedlu „dwóch nieżywych ludzi koloru aluminiowej miski nie wiadomo dlaczego weszło na postumenty i oto co oni przedstawiają: — jeden z nich, bez czapki, wyciągnął rękę w przód, tak jakby rzucał kij i za chwilę miał krzyknąć: 'Aport'. Drugi zaś, w czapce, niczego nie pokazuje, założył rękę za wyłóg munduru całym swym wyglądem dając do zrozumienia, że 'aport' należy jemu przynieść”. To twórca sowieckiego państwa wprowadza system tresowania poddanych, a jego najlepszy uczeń doprowadza go do perfekcji. Wiele już napisano o systemie wychowywania ludzi sowieckich, ale nikt nie zrobił tego lepiej, zwięźle i zrozumialej niż Władimow. Bierze się szczeniaka: dobry, ufny, naiwny. I uczy się go złości, niedo-

wierzenia, czujności. Uczy się go bezlitośnie, okrutnie, tak że złość, niedowierzanie i podejrzliwość do wszystkich z wyjątkiem właściciela wchodzi w krew. Proces nauczania nie przychodzi lekko: ludzkie cechy psy przejmują z trudem. W głównej scenie powieści jest opisany bierny bunt więźniów, odmawiających wyjścia na robotę, gdyż temperatura spada poniżej 40 stopni i nawet według gułagowskich norm nie powinni być wyprowadzani do pracy. Bunt jest złamany przez naczelnika łagru najprostszą metodą. Poleca on zalać wodą, przy temperaturze poniżej 44 stopni, baraki, z których nie chcą wyjść więźniowie. Strażnicy — ludzie mówiący o swym naczelniku „surowy, ale sprawiedliwy” lub „sprawiedliwy ale surowy” — posłusznie wykonują rozkaz. Strażnicy-psy nie wytrzymują. Idą śladem za najlepszym z nich Ingusem, najbardziej mądrym, najbardziej psim, najbardziej niepodającym się ucłowieczeniu — psy podnoszą bunt. Rwą zębami szlachy nie mogąc znieść widoku zabijanych więźniów. Ginie Ingus ratujący honor psa, wariuje psi instruktor. Nie chcąc pozostawać człowiekiem, chcąc uwolnić się od nienawistnej skóry ludzkiej, przekształca się w psa. Ale bunt psi to tylko epizod, recydywa psiego dobrego i lubiącego wolność instynktu. Instynktu zwierzęcia, które zabija tylko wtedy gdy jest głodne. Służba i wierność właścicielowi biorą górę i na ostatnich stronach powieści bezrobotne strażnicze psy, żyjące w osiedlu, biorą robotników, którzy przyjechali na budowę za wreszcie powracających więźniów. Walka psów, usiłujących utrzymać robotników w ordynku, walka z ludźmi, kończy się zwycięstwem ludzi i zabiciem Rusłana. Rusłan bił się do ostatniej kropli krwi. Umiera tak jak wierny żołnierz — oszukany i sprzedany. Ale właściciele psów, ci którzy nauczyli je złości i niedowierzenia, ci którzy zrobili z psa człowieka-strażnika, zostali żywi.

Umarł Rusłan, ale żyją Rusłany, czekające by rozległ się głos Gospodarza: ustawić się w kolumnę po pięciu ludzi w szeregu, czekające rozkazu: Huzia Rusłan! Huzia, weź go!

W utworze Aleksandra Galicza pt. „Nocny patrol” czytamy jak nocami wychodzi na ulice sowieckich miast procesja pomników Wodza — gipsowych i połamanych. W zakończeniu poeta mówi: „Tym gipsowym dać ludzkie mięso to znów nabiorą znaczenia...”. Gipsowe pomniki, żywi strażnicy, wychowane przez nich psy i ludzie — wszyscy czekają swej godziny, czekają rozkazu.

O tym pisze w swojej powieści Georgij Władimow.

W moim poprzednim przeglądzie prasy poświęciłem dużo miejsca artykułowi w *Prawdzie*, napisanemu przez Konstantina Zarodowa, redaktora pisma *Problemy pokoju i socjalizmu*. Artykuł ten wydawał mi się ułożeniem nowych strategicznych planów przywódców sowieckich, wyłożeniem ich nowych pretensji po sukcesie odniesionym w Helsinkach. Artykuł Zarodowa był zau-

ważony na Zachodzie, ale prasa liberalna potraktowała go jako wyraz poglądów wyłącznie „prawego” odłamu w Politbiurze. 17 września, wróciwszy z urlopu, Breżniew w pierwszym rządzie udzielił audiencji Zarodowowi o czym znowu poinformowała *Prawda*. Fakt podania w *Prawdzie* wiadomości, że pierwszy sekretarz przyjął redaktora pisma — nawet takiego jak *Problemy pokoju i socjalizmu* — jest rzeczą zupełnie wyjątkową. L. Breżniew chciał widocznie, by artykuł Zarodowa raz jeszcze przeczytano na Zachodzie.

Adam KRUCZEK

(Nie przeczytał go jednak prezydent Francji przed swą podróżą do Moskwy. — Red.)

Ośrodek ukraiński na Harvardzie

Czytelnicy *Kultury* znajdowali już na jej łamach wzmianki o rozwijającym się ośrodku studiów ukrainistycznych na najstarszym i cieszącym się największym prestiżem uniwersytecie amerykańskim — Harvard University w Cambridge pod Bostonem. Niniejsza nota ma za zadanie podać nieco więcej informacji na ten temat, zaczerpniętych z książki prof. Omeljana Pritsaka: *Czomu katedry ukrainoznawstwa w Harvardzie? — Wybór stattek na temy naszoji kulturnojo polityki (1967-73) (Fond Katedr Ukrainoznawstwa, Cambridge, Mass. 1973)*, a także z wydawnictw periodycznych tego ośrodka.

Termin „ośrodek” jest nieściśle lecz wygodny, chodzi tu bowiem o instytucję znajdującą się wciąż jeszcze *in statu nascendi*, obejmującą działalność dydaktyczną, badawczą i wydawniczą, i której formy wykonawcze (katedry, instytut naukowy, biblioteka) realizowane są na podstawie 15-letniego planu, obejmującego okres 1968-83. Podstawą finansową tej instytucji jest fundusz pochodzący z ofiar społeczności ukraińskiej na Zachodzie (liczy ona ok. 2 milionów osób w USA i ponad 3 miliony w Kanadzie); zebrane pieniądze tworzą fundację, która w sposób ciągły ma zapewniać byt instytucji. O wysokości potrzebnych funduszy świadczy suma, przekazana uniwersytetowi w styczniu 1973 — 1,8 mln. dolarów — niezbędna dla ufundowania trzech katedr: języka, literatury i historii ukraińskiej; cały projekt wymaga ok. 4 mln. dolarów, a przy obecnej inflacji suma ta będzie prawdopodobnie musiała zostać powiększona. Działające już katedry

kształcą pierwszą generację naukowców (pierwsza obrona doktorska odbyła się już w kwietniu 1973), z których najlepsi mają je następnie obsadzić na stałe (ok. roku 1980). Tak bowiem w dziedzinie finansów jak i w zakresie kadry naukowej organizatorzy kładą nacisk na ciągłość działania i niezawisłość powstającej instytucji, gwarantując, że działalność jej nie będzie podlegała wahaniom koniunktury ani naciskom zzewnątrz — winno to umożliwić selekcję najlepszych sił naukowych i utrzymanie odpowiedniego poziomu. Z wypowiedzi prof. Pritsaka, *spiritus movens* tej instytucji, wynika, że główny cel to coś więcej, niż zwykła placówka naukowa: ośrodek ma stanowić zarazem uniwersytet i akademię niezależnej Ukrainy, a jego suwerenność, poziom i prestiż mają stać się czynnikiem, kształtującym ukraińską świadomość narodową. Wybór Harvardu jako instytucji macierzystej miał m.in. na celu podkreślić wagę tej działalności i przyczynić się do rozwiania kompleksu regionalizmu.

Jak wygląda dotychczasowa działalność ośrodka i jakie są plany na przyszłość?

Oficjalny początek ośrodka datuje się od 22 stycznia 1968 roku, kiedy to na podstawie porozumienia między władzami uniwersytetu harwardzkiego a Funduszem Katedr Ukrainoznawstwa (wywodzącym się jeszcze z postanowień kongresu Studentów Ukraińsko-Amerykańskich w 1957 roku) powstała pierwsza katedra i zatwierdzono program dalszego rozwoju; w maju tegoż roku powstał Komitet Studiów Ukraińskich (składający się z profesorów: H. Lunt'a, R. Pipes'a, O. Pritsaka (przewodniczący), I. Szewczenki i W. Weintrauba), którego zadaniem jest czuwanie nad działalnością i rozwojem ośrodka. Od samego początku działalność ta obejmowała trzy dziedziny: kształcenie kadry specjalistów, rozwój zasobów bibliotecznych i organizację wydawnictw.

W roku akademickim 1968/69 powstał zespół aspirantów, studiujących ukrainistykę w całym zakresie i równocześnie przygotowujących specjalistyczne prace doktorskie; utworzono też działy ukrainoznawcze w bibliotekach harwardzkich (jednym z celów ośrodka jest skompletowanie wszystkich dotychczas wydanych czasopism ukraińskich, bądź w oryginale bądź w fotokopiach).

W 1970 zaczęło swą działalność Seminarium Studiów Ukraińskich, skupiające aspirantów i personel naukowy, a także goszczące profesorów z innych ośrodków — streszczenia referatów i dyskusji ukazują się w języku angielskim w roczniku *Minutes of the Seminar in Ukrainian Studies held at Harvard University*; wyszły już 4 takie roczniki.

Ważną datą w historii ośrodka był czerwiec 1973, kiedy to powstał Ukraiński Instytut Naukowy — odrębny ośrodek badaw-

czy, zajmujący się m.in. przygotowaniem podręczników, gromadzeniem książek i dokumentów oraz działalnością wydawniczą (*Harvard Series in Ukrainian Studies*). Od tego momentu plany rozwoju ośrodka dotyczą dwóch dziedzin: katedr i instytutu. Od 1977 w każdej z katedr ma rozpocząć pracę po dwóch profesorów nadzwyczajnych, wybranych spośród najzdolniejszych naukowców wykształconych już w pierwszej fazie działalności; instytut ma m.in. rozpocząć wydawanie międzynarodowego pisma ukrajinoznawczego oraz bieżącej bibliografii z tego zakresu.

Organem informacyjnym ośrodka jest ukazujący się co miesiąc biuletyn *Harvard Ukrainian Studies Newsletter* — z niego, podobnie jak z książki prof. Pritsaka (w której obok artykułów po ukraińsku znajdują się też dwa po angielsku), zainteresowani mogą dowiedzieć się wielu szczegółów na temat ośrodka, które tu z konieczności trzeba było pominąć; wydawnictwa te można otrzymać pod adresem: Harvard University, Ukrainian Studies Fond, 1581-83 Massachusetts Avenue, Cambridge, Mass. 02138, USA.

Wspomniana książka zawiera dwa artykuły informacyjne innych autorów: Bohdana Tarnawskiego *Słowo wid FKU (Fond Katedr Ukrainoznawstwa)* oraz Stepana Chemicza: *Omeljan Pritsak — sylwetka joho studentskoji i naukowoji dijalnosti*; ten ostatni jest biografią kierownika i głównego działacza ośrodka, i krótkie z konieczności jego streszczenie wydaje się tu na miejscu.

Omeljan Pritsak urodził się w 1919 koło Sambora w rodzinie ukraińskiej. Ukończył polską szkołę podstawową i średnią w Tarnopolu, i w 1936 rozpoczął studia orientalistyczne i historyczne na uniwersytecie we Lwowie. Działa już w tym czasie w ukraińskich towarzystwach naukowych, publikuje szereg prac i recenzji w pismach ukraińskich na terenie Polski. Ukończył studia w 1939 roku na podstawie pracy magisterskiej o wiadomościach dotyczących Ukrainy w dziele XIV-wiecznego geografii arabskiego Abu-l Fida. Po okupacji Lwowa przez bolszewików organizował lwowską filię Instytutu Historii Ukrainy, a od połowy 1940 roku pracował w Kijowie nad materiałami tureckimi do historii Ukrainy. Zmobilizowany do Armii Czerwonej walczył w 1941 r., ranny dostaje się do niewoli niemieckiej, z której ucieka i wraca do Kijowa, skąd po zajęciu miasta przez Niemców przenosi się do Lwowa; oficjalnie pracuje w Komitecie Ukraińskim, w rzeczywistości jest asystentem w nielegalnym Instytucie Historii Akademii Nauk. W 1943 r. na podstawie rekomendacji niemieckiego arabisty R. Hartmanna dostaje się na uniwersytet w Berlinie, gdzie studiuje arabistykę i iranistykę, działając równocześnie w organizacjach młodzieży ukraińskiej na terenie Niemiec i Austrii; koniec wojny zastał go w Bawarii, skąd nielegalnie przedostał się do

Szwajcarii celem organizowania pomocy dla Ukraińców. W latach 1946-48 kontynuował studia orientalistyczne i slawistyczne w Getyndze, zakończone doktoratem na podstawie pracy o historii Azji Środkowej; do roku 1951 pracował na tym samym uniwersytecie, prowadząc też lektorat polskiego i ukraińskiego. W 1951 habilituje się w zakresie łaistyki i historii eurazjatyckiej. Od 1952 jest docentem, a od 1957 profesorem na uniwersytecie w Hamburgu. W 1961 przenosi się do USA, gdzie obejmuje katedrę łaistyki, turkologii i historii aurazjatyckiej początkowo w Seattle, a od 1964 r. na Harvardzie. Jest członkiem wielu towarzystw naukowych, autorem ponad 300 prac, wykładał gościnnie na wielu uniwersytetach zagranicznych, m.in. w 1959 w Warszawie i Krakowie. W związku z objęciem funkcji przewodniczącego Komitetu Studiów Ukraińskich uzyskał zwolnienie z części swych obowiązków jako profesor łaistyki — kosztem ograniczenia poborów, dodać należy. Połączenie kwalifikacji naukowych i organizacyjnych wydaje się czynić go idealnym kierownikiem ośrodka, stawiającego sobie tak ambitne cele naukowe i społeczne.

Omówienie merytoryczne działalności ośrodka wymagałoby osobnego artykułu i specjalnych kwalifikacji. Dla podkreślenia ogólnego znaczenia studiów ukrajinistycznych — a więc nie tylko jako poszukiwania korzeni przez pozbawioną państwowości grupę narodową — przypomnieć należy, że dawna Ruś, późniejsza Ukraina, stanowiła obszar pograniczny pomiędzy chrześcijaństwem rzymskim i bizantyjskim, a także między cywilizacją europejską a wschodnią (Złota Orda, chanat krymski, Turcja); o roli, jaką ten obszar odegrał w historii Polski i Rosji, mówić nie trzeba. Oznacza to badania nad historią polityczną, ale nie tylko: rozkład dialektów w pasie „rusińskim”, kształtowanie się języka ukraińskiego, szukanie jego źródeł w zabytkach piśmiennictwa, a także powstanie odrębnej literatury na styku języków rosyjskiego i polskiego — to wszystko są zagadnienia samodzielne i ważne. Taki też obraz wyłania się z *Minutes*, streszczających cotygodniowe posiedzenia Seminarium; odnotować tu należy częsty udział w nich uczonych polskich, zagranicznych i krajowych (referaty na Seminarium wygłaszali profesorowie: Krystyna Pomorska-Jakobson z MIT, Adam Ulam i Zbigniew Wójcik z Harvardu, Andrzej Kamiński z Columbii, Zygmunt Abrahamowicz z Archiwum Państwowego w Krakowie, Józef Gierowski z Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kamil Dziewanowski z Boston University). Można mieć nadzieję, że jest to zapowiedź szerszej i trwalszej współpracy Ukraińców i Polaków w dziedzinie, w której obie strony mają sobie wiele do powiedzenia.

List Karela Kosika do J.-P. Sartre'a

Praha, 26 maja 1975.

Jean-Paul Sartre
Paryż.

Szanowny Panie, wydarzenie, o którym informuję Pana w niniejszym liście otwartym, jest zgoła banalne i dla prasy brukowej niezbyt ciekawe. Ja jednak zwracam się nie do anonimowych poławiaczy sensacji lecz do Pana, a za pańskim pośrednictwem do swych socjalistycznych, demokratycznych i komunistycznych przyjaciół, będących również przyjaciółmi Czechosłowacji. Nie piszę apelu ani protestu, tylko stawiam jedno jedyne pytanie, mające dla mnie życiowe znaczenie, mianowicie, CZY JESTEM WINIEN?

To pytanie zajmuje mnie od 28 kwietnia 1975 roku, gdy policja przeprowadziła u mnie sześciogodzinną rewizję domową i skonfiskowała ponad tysiąc stron moich filozoficznych rękopisów. Jeśli rewizja była spowodowana podejrzeniem, że w moim mieszkaniu ukrywam materiały, stanowiące przestępstwo „działalności na szkodę państwa”, muszę brać pod uwagę, że grozi mi więzienie od roku do pięciu lat, zgodnie z § 98 kodeksu karnego. W żadnym wypadku nie lekceważę tej groźby ale głównie leży mi na sercu los skonfiskowanych rękopisów.

W ostatnim czasie znajduję się w szczególnej sytuacji i w rozdwojonej postaci: nie jestem a jednocześnie jestem; jestem martwy a jednocześnie żyję. Zostałem zredukowany do zwyczajnego *nie*, jeśli chodzi o podstawowe obywatelskie i ludzkie prawa, jednocześnie zaś zostałem obdarzony nieprzeciętną egzystencją, jeśli mowa o opiece i uwadze policji. Jestem zwyczajnym zerem i dlatego nie mogę wyklądać filozofii na Uniwersytecie Karola ani też otrzymać zatrudnienia gdzie indziej zgodnie z moimi kwalifikacjami i w mojej dziedzinie; jestem martwy i nie mogę dlatego brać udziału w posiedzeniach naukowych, na które jestem zapraszany ani przyjmować zaproszeń do wykładania w europejskich uniwersytetach; jako ten kto nie istnieje i nigdy nie istniał nie mam prawa wprowadzać czytelników w błąd, dlatego też wszystkie moje publikacje są w Czechosłowacji zakazane i usunięte z bibliotek a moje imię jest wymazane ze spisu autorów; nie istnieję, więc instytucje oficjalne nie mają obowiązku odpowiadania na moje skargi i protesty. Wbrew temu w innej dziedzinie istnieję w nadmiarze, o czym świadczą policyjne rewizje i stające się prawidłowością przesłuchania. Jako filozof i autor jestem w swej ojczyźnie pogrzebany za życia, jako obywatel jestem pozbawiony podstawowych praw i żyję jako ktoś, kto jest permanentnie oskarżony i podejrzany.

Jestem podejrzany, nawet jeśli nie popełniłem żadnego czynu przestępczego. Dlaczego więc jestem podejrzany? Jestem nim, ponieważ uważam myślenie za niepozbywalne prawo człowieka i tego prawa używam. Ponieważ uważam, iż każdy człowiek ma nieodwołalne prawo posiadania własnego poglądu oraz prawo wolnego wypowiedzenia go i rozpowszechniania. Ponieważ do podstawowych praw człowieka zaliczam możliwość zachowania kręgoślupa.

Dlaczego jestem podejrzany? Ponieważ cechy właściwe większości ludzi jak poczucie przyjaźni, honor, zmysł humoru, poczucie racji, naturalność zachowania, prawdomówność działają w określonych warunkach, w atmosferze powszechnej podejrzliwości jako ekscentryczność i prowokacja, a normalne

słowa i rzeczy nabierają przewrotnego znaczenia. Jednoznaczne zdanie „Skreśliłem kostkę i kuleję” w odczuciu policji przekształca się ze zwykłego oznajmienia w hasło spiskowców, a osoba kulejąca w oczach policji symuluje tylko i maskuje jakąś „ciemną” działalność. W tej atmosferze proklamowane prawa automatycznie są ograniczane lub zupełnie negowane; każdy ma prawo do myślenia, ale kto myśli bez zezwolenia i bez rozkazu, albo myśli nie tak, jak ma myśleć wywołuje podejrzenie; każdy ma możliwość posiadania własnego poglądu, ale kto nie przyjmuje poglądów narzuconych jako *swych* własnych oraz upiera się przy postulatcie racjonalistycznej i swobodnej argumentacji, ten naraża się na podejrzenia. Każdy ma prawo zachować kręgoślup, ale kto się nie wybrudzi „dobrowolnie” pokutą i dziękczynieniem, ten nie ma nadziei, że będzie mógł publikować lub że dostanie pracę zgodnie z kwalifikacją.

Rękopisy skonfiskowane u mnie przez policję nie są przeznaczone do wydania. Są to niezredagowane materiały robocze, zapiski, przygotowane prace i szkice do dwóch zamierzonych książek „O praktyce” i „O prawdzie”. Rękopisy zawierają tylko poglądy, bądź cudze, dla policji nieciekawe, bądź moje, które policja już zna z opublikowanych książek i artykułów. Chętnie bym więc uwierzył oficerowi Służby Bezpieczeństwa, że po zbadaniu policja zwróci mi rękopisy. Jednak *jak długo* będzie policja „studiować” tysiąc stron filozoficznych rękopisów?

Do tego dochodzi następna okoliczność, o wiele ważniejsza. Ponieważ policja skonfiskowała również rękopisy u moich przyjaciół, pisarzy Iwana Klimy i Ludwika Vaculika, powstaje pytanie, czy w dniu 28 kwietnia 1975 roku nie byłem świadkiem czegoś, co może mieć jak najpoważniejsze skutki dla czeskiej kultury.

Czy w dniu tym nie sprawdzano wytrzymałości i sprawności nowych, udoskonalonych metod, w porównaniu z którymi dotychczasowa praktyka cenzury była śmieszna, liberalną zabawą? Czy kwiecień 1975 roku nie jest miesiącem próby narzucenia społeczeństwu nowego zwyczaju i nowej normy — *systematycznego konfiskowania rękopisów*? A czy w kraju Franciszka Kafki nie mógłby zwyczaj ten stać się do tego stopnia oczywistością i indoktrynowaną potrzebą, że autorzy będą sami wzywać policję, by przyjeżdżała zabrać ukończone prace?

Nie jestem zwolennikiem tych innowacji.

Jak już napisałem, nie otrzymałem do dziś odpowiedzi na podanie o zwrot rękopisów. Milczałem dotychczas przy wszystkich dotychczasowych krokach dyskryminacyjnych wobec mnie. Nie protestowałem publicznie, ponieważ dyskryminacja dotyczyła tylko osoby i nie zagrażała podstawie mej egzystencji — to jest możliwości myślenia i pisania. Teraz, gdy skonfiskowano filozoficzne rękopisy już nie mogę milczeć, gdyż NIE CHCĘ BYĆ WINIEN! Byłbym współwinnym, gdybym milcząco przypatrywał się, jak nad głowami wszystkich czeskich pisarzy zawisa miecz Damoklesa, grozący, że policja może w każdej chwili każdemu z nich zabrać zaczęty lub ukończony rękopis pracy.

Jest jeszcze czas, by temu niebezpieczeństwu zapobiec. Nie tracę wiary w roztropność odpowiedzialnych czynników w Czechosłowacji. Wierzę w przenikliwość i świadomość socjalistycznych, demokratycznych i komunistycznych przyjaciół Czechosłowacji.

Proszę przyjąć, Drogi Przyjacielu, moje najserdeczniejsze pozdrowienia.

Karel KOSIK
Hradčanské náměstí 11
118 00 Praha 1.

Karel Kosik, czeski filozof, jeden z nielicznych naukowców, którzy wychodząc z ubiegłowiecznej formuły marksizmu dążą do sformułowania odpowiedzi na pytania wieku dwudziestego. Najbardziej znana praca: „Dialektika konketu” (Praha, 1965).

Kosik brał czynny udział w próbach reformy ustroju w 1968 roku. Pozbawiony nie tylko możliwości pracy naukowej ale w ogóle pracy i własnych źródeł utrzymania w 1970 roku, Kosik zachowuje godną podziwu odporność na drastyczne prześladowania, których jest stałą ofiarą.

List Kosika wywołał stosunkowo żywą reakcję na świecie. Poza solidaryzującą się z Kosikiem odpowiedzią Sartre'a, również Komunistyczna Partia Włoch czuła się zmuszona stwierdzić, że fakty podane w liście Kosika „są nadzwyczaj niepokojące”. Szereg filozofów i socjologów na Zachodzie wystosował protest przeciwko prześladowaniu autora.

Wśród tych protestów — niestety nie znaleźliśmy nazwisk polskich filozofów i socjologów. Oby to było przeoczenie. (Red.).

Konsulat PRL w Kijowie

Głos Pracy w nrze z 15 czerwca br. zamieścił korespondencję o działalności Konsulatu Gen. PRL w Kijowie. Ponieważ o działalności Konsulatu w Kijowie (należy podkreślić, że chociaż Sowiecka Republika Ukrainka jest członkiem ONZ, a więc ma statut jakby samodzielnego państwa, nie ma tam ambasady czy poselstw PRL a jedynie konsulat) niewiele wiadomo a *Głos Pracy* jest pismem raczej nieznanym, przedrukujemy artykuł w całości. Charakterystyczne, że w wywiadzie nie ma ani słowa o Polonii ukraińskiej. (R e d.).

„Działają w Związku Radzieckim cztery nasze placówki tego typu: Wydział Konsularny Ambasady PRL w Moskwie oraz trzy konsulaty generalne — w Leningradzie, Mińsku, Kijowie... prowadzą one różnorodną, wszechstronną — aczkolwiek w niektórych dziedzinach dość specyficzną działalność, mało na ogół znaną.

Będąc w Kijowie, złożyłem wizytę Leonowi Tomaszewskiemu, konsulowi generalnemu PRL, kierującemu od przeszło roku tą placówką. Dysponuje ona nielicznym stosunkowo gronem pracowników, a spełnia bardzo ważne funkcje tak w dziedzinie konsularnej, jak i znacznie szerszej — politycznej, kulturalnej, handlowej.

Konsulat Generalny PRL w Kijowie obejmuje swym zasięgiem dwie republiki radzieckie: Ukrainę i Mołdawię. O zakresie zadań mówi sam obszar owych republik i liczba ludności. Na przykład, Ukraina pod względem obszaru, liczby ludności i potencjału ekonomicznego stanowi półtoręj Polski.

Do zadań konsulatu należy nie tylko reprezentowanie interesów naszego kraju, ale i propagowanie osiągnięć Polski, rozpowszechnianie informacji o naszym kraju, działanie na rzecz rozwijania i rozszerzania braterskich, przyjacielskich stosunków — i to tak w dziedzinie politycznej, jak kulturalnej oraz naukowo-technicznej i gospodarczej. A więc przede wszystkim bliskie kontakty, współpraca i współdziałanie w tych dziedzinach z władza-

mi partyjnymi i państwowymi, z oddziałami i członkami Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej, z władzami obwodów, tych szczególnie, które wiążą z naszymi województwami przyjacielskie, dwustronne stosunki. A jak wiadomo 9 obwodów na Ukrainie — w tym i Kijów — utrzymują takie stosunki z licznymi naszymi regionami i miastami.

Zapytałem L. Tomaszewskiego:

— *Konsulat kojarzy się przede wszystkim z wykonywaniem czynności konsularnych. O jakie tu czynności chodzi?*

— Mimo iż wykonujemy ich wiele, i to dość różnych, stanowią one jakby tę drugoplanową część naszej pracy. Główna, to działalność polityczna — na rzecz rozwijania i pogłębiania wszechstronnych, dwustronnych stosunków.

Jeśli chodzi o sprawy konsularne na przykład: wydajemy cudzoziemcom wizy pobytowe i tranzytowe. Cudzoziemcom — tzn. obywatelom tych krajów, z którymi Polska nie zawarła dotychczas dwustronnych porozumień o zniesieniu obowiązku posiadania wiz. Nie dotyczy to obywateli ZSRR.

Dalej — przedłużamy paszporty konsularne obywatelom polskim, przebywającym na terenach Ukrainy i Mołdawii, załatwiamy petentów, starających się o uzyskanie zgody na zmianę obywatelstwa, wykonujemy usługi notarialne (dotyczy to spraw spadkowych), wydajemy dokumenty świadczące o zdolności prawnej obywatela polskiego do zawarcia związku małżeńskiego, udzielamy ślubów obywatelom polskim (rzadko, ostatni raz w roku 1973), załatwiamy sprawy przekładów i legalizacji dokumentów.

To tylko niektóre sprawy. Bo są jeszcze inne, dotyczące na przykład rent i emerytur, łączenia rodzin i wiele, wiele nieprzewidzianych.

— *Jak mi wiadomo, konsulat opiekuje się także studentami z Polski.*

— Nasze obowiązki z tej dziedziny rosną wraz ze wzrostem liczby studentów-stypendystów. Obecnie w 9 miastach Ukrainy, w 23 wyższych uczelniach uczy się 428 naszych studentów, oraz 20 aspirantów. Dodam jeszcze, iż 150 nauczycieli języka rosyjskiego z Polski podnosi tu swe kwalifikacje na rocznym kursie. Jeden z konsulów — w ramach podziału obowiązków — zajmuje się sprawami współpracy naukowo-technicznej oraz sprawami naszych studentów. Jeśli by tylko raz w roku chciał odwiedzić każdy z ośrodków, gdzie oni studiują — miałby dość zajęcia. A przecież zakres jego obowiązków jest znacznie szerszy.

— *Kolejne pytanie dotyczy naszych turystów. Czy dużo kłopotów ma z nimi konsulat?*

— Kłopotów niestety nie brak. Ale nie one są najważniejsze. W roku ubiegłym — w ramach grupowych wycieczek przybyło około 36 tys. turystów z Polski. Było też ok. 4 tys. osób indywidualnie. W porównaniu w turystami z innych państw socjalistycznych — mało. W roku ubiegłym „nasz teren” odwiedziło ponad 125 tys. turystów z Czechosłowacji, 81 tys. turystów z NRD, 41 tys. turystów z Węgier.

Na czym zaś polegają nasze kłopoty? Najwięcej przysparzają nam ich turyści zmotoryzowani. Ich samochody czasem psują się — oni zaś nie bardzo wiedzą gdzie i co ważniejsze — za co — mają je zreperować. Brakuje tu często części zamiennych szczególnie do wozów w ZSRR nie produkowanych. Placówki Ingostrachu, odpowiednika naszego PZU, znajdują się tylko w większych miastach. A awarie zdarzają się często daleko od tych miast. W roku ubiegłym udzieliliśmy naszym zmotoryzowanym turystom sporej ilości pożyczek pieniężnych, nie zaspokajając niestety wszystkich życzeń.

Cóż — pożyczanie pieniędzy nie należy w zasadzie do zakresu naszych obowiązków. Mimo to oczywiście nie odmawiamy pomocy — oczywiście w uzasadnionych wypadkach i — w określonej wielkości.

Nasi turyści gubią też czasem swe dokumenty. W roku ubiegłym wydaliśmy 45 paszportów konsularnych tzw. blankietowych, umożliwiających powrót do kraju. A dochodzą jeszcze nieszczęśliwe wypadki, zgony... Tym też wypada nam się zajmować. Dobrze jeśli zmarły miał w kraju rodzinę, która mogła przy naszej oczywiście pomocy wszystkimi tymi sprawami się zająć. Ale były i wypadki zgonów osób zupełnie samotnych.

— *Ogromną rolę w rozwoju naszych stosunków zajmuje wymiana kulturalna...*

— To prawda. Jeszcze dziś jesteśmy pod wrażeniem ogromnej ilości imprez kulturalnych, które tu się odbyły w roku 30-lecia Polski Ludowej. Z Krakowa gościło w Kijowie aż 7 wystaw. Ogromnym powodzeniem cieszyła się wystawa fotograficzna „Polska — kraj i ludzie”, którą zwiedziło 150 tys. osób. Gościło u nas „Mazowsze”, w Doniecku był Teatr im. Wyspiańskiego z Katowic, w Kiszyniowie występował zespół im. Harnama z Łodzi — były Dni Krakowa, Dekada Polskiej Książki, Polskiej Muzyki, Tydzień Polskiego Filmu, Dni Nauki i Techniki, programy specjalne w TV, okolicznościowe numery miesięczników...

Ten cykl imprez, wystaw nie zawsze ma charakter okolicznościowy, jest kontynuowany i dziś.

W Muzeum Wojny Narodowej w Kijowie istnieje stała ekspozycja poświęcona Polsce, podobny polski taki dział przygotowujemy dla organizującego się w Kijowie Muzeum Książki i Drukarstwa.

— *Polska, sprawy naszego kraju cieszą się na Ukrainie dużą sympatią. Mamy tu wielką rzeszę starych, wypróbowanych przyjaciół — ludzi, którzy w latach wojny pomagali nam organizować pierwsze jednostki naszej ludowej armii, którzy walczyli w jej szeregach. Mamy tu tysiące przyjaciół, którzy walczyli o wyzwolenie naszych ziem...*

— I wielu z nich często gości w siedzibie naszego konsulatu na ulicy Balszaj Podwalnej. Uczestniczą w licznych imprezach, Polsce i przyjaźni radziecko-polskiej poświęconych. Więcej — wielokrotnie sami je organizują. Utrzymujemy bliskie kontakty z Komitetem Weteranów Wojny, gdzie działają tacy nasi przyjaciele — byli żołnierze Armii Polskiej jak gen. Piliński, gen. Galicki, płk Minecki, płk Szałacki i dziesiątki innych. Utrzymujemy bliskie kontakty z tymi, którzy wyróżnili się w walkach o wyzwolenie naszego kraju — z gen. Szapowałowem, gen. Ślusarenko, byłymi zwiadowcami i partyzantami, na naszej ziemi działającymi, takimi jak J. Bereźniak czyli sławny major Wicher oraz wieloma innymi.

Naszej działalności sprzyja tu niezwykle przyjazna, serdeczna atmosfera”.

Rozmawiał: Jerzy RAKOWSKI

Sprawy i troski

List z Londynu

Szanowny Panie Redaktorze,

Jest w Anglii „rozrywka umysłowa” oraz instrument tortur dla diabatwy szkolnej, z którego zdaje się egzaminy tak samo jak z ojczystego języka i rachunków. Nazywa się to-to „inteligencja”. Jak zdaje się z inteligencji? Po prostu są sobie testy, a w nich różne rzeczy do uzupełniania, wykreślania, etc. Na przykład szereg słów z poleceniem „wykreślić co nie pasuje”.

Weźmy taki szereg: międzynarodowa polityka — gospodarka — Arabowie — nafta — i skromny pan Atkins z brytyjskiej biblioteki narodowej. Wykreślić co nie pasuje. Wbrew oczywistości, pasuje wszystko. Jakim cudem — zaraz się okaże.

Otóż 15 maja wyjechał na urlop do Tunezji (konkretnie: na wysepkę Dżerbę) mój bliski znajomy Michael Atkins, z wykształcenia polonista i „jugosłowianolog”, z zawodu kustosz w Dziale Słowiańskim Biblioteki British Museum. 19-go nadeszła wiadomość, że nie żyje. Po prawie 3-ch tygodniach wreszcie odesłano zwłoki i dwu przyjaciół idzie je rozpoznać. Potworne: roztrzaskana głowa spowita w bandażu, zmasakrowana twarz bez ludzkiego podobieństwa, reszty nie widać. Tym lepiej: wbrew instrukcjom stąd — niezabalsamowany. On? Nie on? Podobno on: razem przychodzi zbiór bezwartościowych papierków, ale nikt z nas ich nie zobaczy aż będzie za późno. Wtedy z opisu sekcji dowiemy się o fatalnych obrażeniach głowy, co już stwierdzono naocznie i nie potrzeba arabskiego lekarza żeby pouczył, że od takich rzeczy traci się życie. Ale jak to się stało — ani słowa. Po prostu wcale się nie stało. Za to „Extrait des Registres de l'Etat Civil” informuje, że nasz przyjaciel był *directeur de société* czyli, wedle uwierzytelnionego tłumaczenia, *company mana-*

ger. Przy tym fantazyjna data urodzenia i w imieniu byk pierwszej kategorii. Znaczący, spłodzony te brednie bez paszportu. A gdzie paszport i inne „walory”? Zgadnąć łatwo, ale formalnie nic nie wiemy. Właśnie minął trzeci miesiąc, a rzeczy osobistych dotąd nie zwrócono.

Wracając do papierków: ten stek bzdur wystarczy *coronerowi* (którego zadaniem jest badać wypadki nagłej oraz niewyjaśnionej śmierci, i czy nie ma podejrzeń o przestępstwo), by natychmiast pozwolił na spopielenie zwłok. 11 czerwca, po „bezbożnej” ceremonii, jako miłośnik rzeczy pięknych odprowadzony wierszami Shakespeare’a, Puszkina, Antuna Matosa i Norwida (w oryginale), oraz (milcząco) Debussy’em — bo kto widział w szanownej kaplicy pogrzebowej powoływać do życia bezwstydnyą maszynę zwaną patefonem? — Michael obraca się w proch. Teraz już nie ma mowy o prywatnej autopsji, którą by te papierki spowodowały, gdyby je doręczono matce przed pogrzebem. Dowody przestępstwa nie istnieją — pierwszą rundę wygrywa biurokracja.

Za to przyjaciele mozolnie gromadzą poszlaki z prywatnych źródeł, choć już urzędowe wykryły „na gębę” i na piśmie są najlepszym dowodem, że kryje się za nimi coś strasznego. To wszystko razem, przedstawione znajomemu adwokatowi, wywołuje reakcję: — Ależ ta sprawa cuchnie! — do czego zresztą wprawdzie już doszli przeciętnie roztargnięci laicy, czyli przyjaciele zmarłego.

A teraz część pouczająca. Co robią władze kraju, który na arabskim terenie stracił w tajemniczy sposób obywatela? Jakie widoki, zadośćuczynienia ma jego rodzina i przyjaciele? Jak to ujął Minister Stanu w Foreign Office zahaczony oficjalnie o sprawę Michaela: „Gdy brytyjski obywatel umiera zagranicą, jest rzeczą miejscowych władz zidentyfikować zwłoki i przeprowadzić takie dochodzenia co do okoliczności śmierci, jakie one same (!) uznają za potrzebne”.

Prócz matki-staruszki, Michael pozostawił oddane grono różnorodnych przyjaciół. Snobizmem się brzydził: narodowość, kolor skóry, wykształcenie i miejsce w hierarchii społecznej były mu obojętne. Każdego oceniał jako człowieka, i choć niełatwo obdarzał przyjaźnią, gdy to raz uczynił, był niezawodny. Nic dziwnego, że zwłaszcza teraz przyjaciele chcą być wobec niego lojalni i nie mogą się pogodzić z jego straszną, tajemniczą i bezkarną śmiercią. Od tej fatalnej daty kołaczą w podwoje Władzy, tym bardziej że starsza pani jest bezradna. Ale stukającym nie zawsze bywa otworzone. Telefony do Foreign Office, rosnący zbiór korespondencji z angielskim konsulem w Tunisie, tutejszym zwyczajem w sprawę wciągnięty członek parlamentu z dzielnicy zmarłego. — Jak zginął Mr Atkins? — Śmierć była natu-

ralna. — Ale jak? — To był wypadek. — Jak się zdarzył? — To był nieszczęśliwy wypadek. — i te de, i te pe, rozmowa niemowy z głuchym. A że matka ma prawo wiedzieć jak straciła syna? Któż by się tym przejmował w Krużgankach Władzy! To był, proszę pani, wypadek. Proszę przyjąć wyrazy współczucia. Czy możemy pani pomóc? Ależ tak, proszę się z nami skomunikować! Prosi pani o zwrot jego rzeczy? („Na stronie”, jak w staromodnym teatrze: — Panowie Arabowie nie oddają. Psia krew, jak tu ukryć brak paszportu i tam... tego... Może jej się zdzudzi i się odczepi? — Głośno:) Oczywiście, we właściwym czasie. Jeszcze co? Jak się stało, że nieboszczyk miał rozstraskaną głowę? O, to był nieszczęśliwy wypadek. Co — że przez 16 lat był pracownikiem państwowym, więc choćby dlatego powinniśmy błagać Panów Tunezyjczyków o wyjaśnienie? (Na stronie: Wielkie nieba, jeszcze by się pogniewali! Nafty nie mają, ale... Głośno:) Przecież my WIEMY! To był tragiczny wypadek, tragiczny! *We are sorry, very sorry indeed.*

Gdzie te czasy, gdy *civis Britannicus sum* — to brzmiało dumnie?

I wreszcie ostatnia urzędowa odpowiedź: „Mam szczerą nadzieję, że w wyniku informacji otrzymanych przez panią Atkins (?) zarówno ona, jak i przyjaciele jej zmarłego syna upewnią się, że jego śmierć, aczkolwiek tragiczna i niezwykła (*unusual* — ???), nie miała w sobie nic złowrogiego” (*sinister*).

Szyderstwo? Nie, po prostu biurokratyczny walczyk z uniami.



Ta tragedia w osobliwy sposób zahacza o nasze sprawy: czy aby sprawcy „naturalnej śmierci” nie wzięli Michaela za obywatela demoludów?

Niedawno do znajomej przyjechał kuzyn z Polski i przywiózł wiadomość o ich wspólnej znajomej, lekarce z Polski na kontrakcie w Tunezji. Przez 2 lata pobytu składała swą pensję w banku by wrócić do domu z dewizami. Szykując się do drogi podjęła pieniądze i nazajutrz znaleziono ją z rozmiądzoną głową i twarzą, gotówka naturalnie znikła. Jej rodzina daremnie szturmowała polski konsulat — o niczym nie chcieli wiedzieć. Znajoma na to: — Nie dawno w taki sam sposób zginął tam jeden Anglik. — Kuzyn się dziwi: — Jak to, wy TU o niczym nie wiecie? Przecież rozwalanie głów i masakrowanie twarzy, to zwykła technika tunizyjskich gangsterów. U nas każdy, kto jeździ na kontrakty do krajów arabskich wie, że Tunezja jest szczególnie niebezpieczna. Tak się zbóje roz hulali, że z „socjalistycznymi” bezkarnie robią co zechcą, a ludowe władze udają, że wszystko

w porządku. Przecież na rozkaz Starszego Brata przyjaźnimy się z Arabami, ale kto każe Anglikom?

Nie „kto”, proszę pana, tylko „co”. Poznałem Anglika pracującego w jakiejś spółce naftowej. Mówi: — Niczego się nie dowiedzie o waszym przyjacielu. Jak ktoś z nas jedzie służbowo do krajów arabskich, musi podpisać papierek, że uprzedził rodzinę: jeśli nie wróci, rodzina grzecznie weźmie odszkodowanie i o nic nie będzie pytać, bo się nie dowie. Tak, proszę pani, to niestety fakt, o którym się nie mówi.

Czyżby pan konsul, nasz nieoceniony dostawca informacji, też drżał o własną skórę — że w razie czego jego przełożeni „uwierzą” skwapliwie w tragiczny wypadek czyli śmierć naturalną?

Nie bez powodu oświecona, umiarkowana część tutejszej prasy upatruje ratunek dla Anglii w wydobyciu jej z kleszczy dwu złowrogich sił: zanarchizowanych związków zawodowych i wciąż rozrastającej się i wszystko paralizującej *civil service* czyli państwowej biurokracji.

Albo, jak to odnośnie rządu francuskiego ujął Jean Dutourd poruszając sprawę Mme Claustre, archeologa, od 18 miesięcy bezkarnie więzionej w Czadzie i zagrożonej śmiercią: „Jaka dziś jest w Państwie życzliwość? Jest ono naszym nieubłaganym wrogiem... Al Capone przynajmniej brał pod opiekę przeciw innym gangsterom knajpiarzy z Chicago, którym narzucił wyszynk swoich cienkuszy”.



Michael pochodził z ubogiej rodziny i co zdobył, zawdzięczał swej bardzo nieprzeciętnej inteligencji i pracowitości. Szczególnie wyróżniał się talentem do języków i sztuki oraz subtelnym wyczuciem estetyki. Chciał zostać malarzem i zdobył konkursowe stypendium do jednej z najszlachetniejszych tu akademii, Slade School of Fine Art, z którego zresztą zrezygnował — nie wiem czemu — i miał tego żałować do końca życia. Ostatecznie wylądował w Szkole Studiów Słowiańskich Londyńskiego Uniwersytetu, gdzie został wychowankiem prof. Jerzego Pietrkiewicza i gwiazdą pierwszej wielkości. Już po drugim roku zdobył nagrodę przyznawaną przez Szkołę raz na dwa lata najlepszemu studentowi. W 1958 ukończył polonistykę, z językami i literaturami Jugosławii jako przedmiotem dodatkowym, z „honorami” pierwszej klasy... czyli po naszymu *summa cum laude*. W 1959 rozpoczął pracę w Bibliotece British Museum, gdzie powierzono mu gromadzenie i opracowywanie polskich i jugosłowiańskich zbiorów. Jakby tego było mało, już w następnym roku urządził w Muzeum na cześć milenium obszerną wystawę polskich starodruków, rękopisów, map i nut. Rodacy zachłystywali się z rozkoszy: *prawdziwy* Anglik

mówi światu O NAS! Wyłuskali go z anonimowych czeluści biblioteki, zrobił się modny, fetowany i pochlebiany — rodak *honoris causa*. Dziś to stare dzieje, kogo jego los obchodzi, a cóż dopiero żeby prosić wpływowych przyjaciół emigracji w parlamencie i poza nim, by zechcieli się tym zainteresować? Burze serdeczności ucichły i na dłuższy dystans był w bliższych stosunkach tylko z dr Marią Danilewiczową i Mieczysławem Grydzewskim. Ale cóż — dr Danilewiczowa opuściła tę wyspę, a Grydzewski — wiadomo. Oboje bardzo go lubili, co zresztą było wzajemne, a Grydzewski przy tym go bawił. Ujął to tak: — Że też tyle dowcipu i erudycji mieszka w takiej małej, zaaferowanej postaci o tw. rzy *bloodhound'a*!



Klientem Britiszu zostałam jeszcze za studenckich czasów i temu faktowi zawdzięczałam swą znajomość z Michaeliem: on — dostawca, ja — odbiorca. Czasem takie znajomości obracają się w zażyłość i tak właśnie było z nami. Pamiętam moment, gdy urzędowy Mr Atkins zaczął się zmieniać w Michałka, jak go nazywałam gdy rozmawialiśmy po polsku. Właśnie miał dyżur w czytelnicy i podszedł do mnie wymienić parę konwencjonalnych zdań. Zagadnął: — Kto jest pani ulubionym pisarzem? — i zaraz sam odpowiedział: — Naturalnie Mickiewicz. — Oburzyłam się: — Nie, skądże znowu! — Tak? Dlaczego? — Czy pana nie zastanawia, że taki mistrz języka tak mało miał w nim do powiedzenia, ta parafiańska mentalność? — Zdumiał się: — Pierwsze słyszę, żeby ktoś z Polaków tak bluźnił! Niesłychane! — Spojrzał na zegarek: — Niedługo mnie zwolnią. Może by poszła pani ze mną na kawę?

W następnych kilkunastu latach mieliśmy wypić mnóstwo kaw i zaznaczyć się od podszewki. Tylko o jego młodości mało wiem, nie lubił jej wspominać. Nie mam nawet pojęcia co go skłoniło do poświęcenia się tak mało w świecie użytecznym językom jak polski i serbski. Gdy go o to zagadnęłam, mruknął niechętnie: — Różnie w życiu bywa — i zmienił temat. Raz tylko „bez bicia” wspomniął o swej przeszłości: — Powiem ci coś, czego wstydę się jak uczciwy człowiek złodziejstwa. Wyobraź sobie, że w swych zielonych latach przeszedłem dziecięcą chorobę lewicy, byłem wojującym komutkiem. Dość szybko mi to zresztą wyparowało. — Wytrzeszczyłam oczy: — Ty?! Dlaczego? — Bo ja wiem? Smutna, biedna młodość i ten idealizm, który normalni ludzie nazywają głupotą. Ale kto chce znać fakty, ten je znajdzie. Pożerałam co tylko było w publicznych bibliotekach o uwielbianych Sowietach. Wystarczyło.

Jego zainteresowanie literaturą i sprawami polskimi przetrwało studia. Celnie tłumaczył Norwida, ale niestety nigdzie nie ogłosił i teraz nie wiadomo gdzie tych tekstów szukać. Jego ulubioną polską książką była, dość nieoczekiwanie, *Patuba* i bardzo sobie cenił zdezelowany egzemplarz, który przywiózł przed laty z wyprawy do PRL, a który jest teraz moją smutną własnością. Czytywał dawane mu przez Grydzewskiego i potem przeze mnie *Wiadomości*, regularnie czytał przychodzącą do biblioteki *Kulturę* i mówił: — Szkoda, że nie ma takiego pisma po angielsku. Przydałoby się dla tych naszych intelektualistów, którzy tak strasznie chcą być „obiektywni” i „bez uprzedzeń”, aż się robią świnię.

Jego zainteresowanie polskością miało też przyziemną stronę, choć traktował ją uroczyście jak przeżycie estetyczne: „kochał jeść” rzeczy niezwykle i egzotyczne. Przychodził do nas na barszcze, bigosy i pierożki i zbierał o nich wyczerpujące informacje u źródła. Zamiłowanie do naszych specjałów kazało mu nawiedzać polski sklep delikatesowy, który miał niegdyś w sąsiedztwie. Zakupy załatwiał po angielsku i kiedyś z radością usłyszał, jak sklepikarz zabawiał zebranych Rodaków: — To jest, proszę państwa, Anglik, ale żre jak nasz! — Był również zamiłowanym kucharzem i swą kuchnię traktował jak kaplicę, w której rozgrywają się wyższe misteria. W swym pięknym mieszkaniu, które za psi grosz wyposażył w artystyczne przedmioty i antyki nabyte w obrzydliwym stanie na tołkuczkach, by w jego rękach odzyskały swą pierwotną urodę, i w którym każdy szczegół był radością dla oka, traktował nas superspecjałami własnego wyrobu. Mawiał nieraz: — Jak już nie będę mógł patrzeć na książki, to je rzuce w diabły i utworzę knajpę. Tam dopiero robi się forszę!



Wkrótce po zacieśnieniu naszej znajomości odkryłam jeszcze jeden rodzaj jego „polskich” wyczynów: egzaminował z polskiego na maturę Londyńskiego Uniwersytetu. Dwa razy rocznie dostawał stosy pisemnych prac na poziomie „ordynarnym” i zaawansowanym i wtedy zwalniał się z pracy. Była to dla mnie rewelacja: więc to jest ten złowieszczy, tajemniczy potwór, który systematycznie obraża rodziców i straszy tzw. ciało naszych szkółek sobotnich i innych! Gdy po takim okresie wracał do świata, wyglądał jak po chorobie, a w jego trakcie codzien dzwonił do mnie. Odczytywał mi jakieś niesłychane brednie, przy których Kali byłby Mickiewiczem — niby po polsku, ale rzadko mogłam zrozumieć, więc musiał mi wyjaśniać na jakie pytanie ma to być odpowiedź, z jakiego pochodzi kontekstu, odczytywać angielskie

zdanie, którego ma być tłumaczeniem. Pytał z desperacją: — Czy to jakiś polski idiom, którego nie znam? — Uspokajałam skołatane nerwy: — Nie, Michałku, to nie idiom, a idiotyzm. — Dziękuję ci, już mi się zdawało, że zwariowałem. Oh, żeby wreszcie wyleźć z tego bagna! — Proponowałam: — Przyjadę do ciebie po pracy, to raz-dwa to wyczyścimy. — Niestety, jestem zaprzysiężony.

Później przynosił mi wypiski z dzieł swoich ofiar: — Masz, pobaw się. Może mi wyjaśnisz czemu ci uczniowie angielskich gimnazjów nie umieją porządnie pisać ani po polsku, ani po angielsku, jak widać np. w tłumaczeniach z polskiego? Żeby choć jeden język był jak należy, łatwiej byłoby to znieść. — Pieklił się: — Cóż za bezczelność, żeby takie coś stawało do egzaminu! Myśli jedno z drugim: jakiś Anglik będzie poprawiał, co on tam wie! Jak w tym śmieciu znajdę coś przyzwoitego, to jestem smarkaczowi wdzięczny jakby mi wyrządził osobistą grzeczność.

Te antologie były śmieszne i smutne. Szczególnie utkwilo mi wypracowanie kandydata na poziomie zaawansowanym, o *Lilli Wenedzie*. Charakterystyka postaci: „Roza była zła bo swój ubiur miała czerwony i swoje włosy czarne a Lilla była dobra bo swój ubiur był biały i blond włosy”. Tym czasem kat naszego Młodego Lasu mówił: — Gdybym miał wolną rękę, to bym oblał 90 procent, a jak obleję 40, to mnie wołają do uniwerku i warczą: „Co pan wyprawia, tak nie wolno!”. Jak potem taki osioł pójdzie na polonistykę, to powiedzą: „Kto go kwalifikował? Atkins!”. Pewno myślisz, że przesadzam. Czekał, pokażę ci face-ta, który ich dostaje po mnie.

„Facet” okazał się młodym cudzoziemcem świetnie mówiącym po polsku, który prowadził ćwiczenia ze studentami. Zachęcony do szczerości powiada: — Najgorsi są Polacy, bezczelni. Uważają, że zdanie z polonistyki należy im się prawem urodzenia. Anglicy i inni rozumieją, że jak się nie nauczą, to nie będą umieć. A Polacy — skąd, należy im się i już. Samo dno, to ci z polskich szkół. Na początku roku urządzam zapoznawczą rozmówkę z nowymi i pytam taką pannicę: „Kiedy były rozbiory Polski?”. Ona: „W XV wieku”. Ja: „Na pewno?”. Ona: „Może trochę później, bo ja wiem?”. Pani mi nie wierzy? Proszę przyjść we wtorek o 3-ej, będę z nimi omawiał *Lalkę*. Czysta rozpacz: ja mam im mówić o pozytywizmie, a oni nawet nie rozumieją, kto kocha się w Izabeli. (Było to naturalnie przed wyjściem angielskiego tłumaczenia). Żałuję, że jako osoba pracująca nie skorzystałam z zaproszenia.

Tak to nasza młódź zszarpała Michałkowi nerwy, zwłaszcza że wbrew sumieniu musiał przepuszczać takich, których należało

zerznąć bez pardonu — on, taki uczciwy i dokładny! Po kilku latach rzucił tę robotę i później dziwił się: — Jak mogłem tak rujnować sobie zdrowie, to był najkrwawiej zdobyty grosz w moim życiu. I to dla kogo? Dla poborcy królewskich podatków!

W zeszłym roku, po raz pierwszy od wielu lat, Michałek pojechał do PRL, na zjazd zagranicznych bibliotekarzy-slawistów. Wygłosił na nim odczyt (po polsku) o polskich zbiorach Britiszu. Tekst ma się ukazać w którymś z fachowych periodyków w Polsce. Zwiedził Bibliotekę Narodową i Jagiellońską, i potem opowiadał mi z uznaniem: — Jak oni pracują! Zasoby takie mają skromne w porównaniu z nami, odcięci od Zachodu, brak im dobrej waluty i łajdacka cenzura zatruwa życie, a jednak robią co mogą, by zdobyć zachodnie książki, nie dać się otoczyć żelazną kurtyną. A plany naukowe jakie mają szerokie, i to nie tylko na gębę, ale je wykonują i ogłaszają wyniki.

Po tej konferencji ruszył na prywatny urlop „w Polskę”. Nie chciał niczego zwiedzać, zrobił to dawniej, i marzył o wypoczynku w jakimś spokojnym miejscu. Po różnych przygodach wylądował w Nowym Targu. Taka miniaturka: w Krakowie tłum szturmuje pociąg, napiera na niego, a on siłą bezwładu na dzentelmena przed sobą. Raptem tamten się odwraca: — Co się pan pchasz jak bydlę, co? — Zdumiony Michałek milczy, a tamten wrzeszczy: — Idiota! — i zrzuciwszy ze schodów jakieś stare babki włązi do wagonu. Albo w tymże Krakowie: ulokowano go w urzędowej willi za miastem. Wiedział, że pewnego dnia odbędzie się tam jakiś zjazd i prysnął o świcie. O północy sfatygowany przękrada się na palcach do swego pokoju mimo rozhałasowanej jadalni, ale gospodarz domu ma uszy jak ryś i chwiejąc się na nogach zastępuje mu drogę. — Chodź, panie Anglik, do towarzystwa! — i natrętnie łapie pod pachę. Towarzystwo było prywatne i podpite, ucztowało na pozjazdowych ruinach — stopy brudnych talerzy, zalane obrusy, a menu stanowiły resztki bankietu: wódka, sardynki i czekolada. Z nachalną gościnnością przymusili go do tych specjalów — znowę dobrego jedzenia! — i tak więzili kilka godzin opłakując narodowe klęski i rugając go za Jałtę. Mówił mi potem: — W najstraszniejszych snach nie przeżyłem takiej zmory: wódka z czekoladą i sardynką na zakąskę, a co zjem, to przymuszają znowu! Cóż za dziwny kraj: te biblioteki i ich ludzie: Zachód, a na zewnątrz od co dnia: Azja.

Okolice Nowego Targu zachwyciły go, ale był też rozczarowany. Odbywał długie spacery oglądając wioski, chłopów w polu,

baby krzątające się po podwórkach, i marzył o wejściu do chat, oglądnięciu ich wewnątrz, o porozmawianiu z ich mieszkańcami i posłuchaniu dialektu, ale nie chciał robić z siebie sensacji. Mówię: — Wybierz się ze mną do Polski, pojedziemy w me rodzinne strony. Pokażę ci takie zapadłe dziury po lasach, zaprowadzę do chałup na chłopską gościnę, nasłuchasz się gwar, aż ci się wyda, że jesteś w *science fiction*, że maszyna czasu wrzuciła cię prosto w średniowiecze. — Zainteresował się: — Naprawdę? No to jedźmy, ale chyba nie rok po roku. Może za dwa lata?

Otóż to — pojedziemy. Już nigdy nie zobaczy chłopów, chałup i pięknych lasów w mych stronach.

Ostatni raz widziałam go kilka dni przed tym fatalnym urlopem. Mówię: — Znam to Arabstwo, spędziłam wśród nich cztery lata i za grosz im nie ufam. Jedź gdzie indziej, choćby do Kornwalii. — On na to: — Muszę natychmiast prysnąć gdzie bądź, wszystko jedno dokąd, strasznie jestem zmęczony. Chcę posiedzieć na słońcu, przeczytać jakąś dobrą polską książkę. Pożycz mi co. — Pożyczyłam *Drugie przyjście* Herlinga. Gdzieś tam teraz leży z jego rzeczami, to nie paszport żeby się miało ulotnić.

Kilka dni po nadejściu strasznej wiadomości dostałam urlopową kartkę, jak zwykle po polsku. Widoczek konwencjonalny: palmy, droga, na niej życzliwie uśmiechnięci tubylcy, i podpis: „Promenade à travers l'oasis”. Komentarz: „Przypuszczam, że ten tekst nic Ci nie powie nowego, może nawet będzie wstętny, skoro palmy mogą Ci przypomnieć mniej udane lata z Twej przeszłości”. Data stempla pocztowego: 20 maj — już wtedy nie żył. Przeszło mnie mrozem: masz rację, Michałku, ten pejzaż jest mi wstętny, choć z innego powodu, niż mogłeś przypuścić.

Grażyna NOWAK

Kraj

Obecna sytuacja gospodarcza w Polsce

(ZEBRANIE LONDYŃSKIEGO KLUBU „KULTURY”)

Na powyższy temat dyskutował Klub Kultury w Londynie w dniu 5 września 1975. Na zebraniu przybyło 35 osób, w tym 6 z Kraju. Z Oxfordu przyjechał prof. Wł. Brus. Temat wprowadził dr St. Gomułka z London School of Economics. Przewodniczył B. Brodziński. Poniżej podajemy tekst wprowadzenia i — w skrócie — niektóre wypowiedzi.

St. Gomułka: — Chciałbym przede wszystkim podziękować za zaproszenie mnie do wzięcia udziału w dzisiejszym spotkaniu Londyńskiego Klubu Kultury. Wyróżnienie jest tym większe, że celem spotkania jest przedyskutowanie tematu, który nie tylko jest interesujący dla zawodowych ekonomistów, ale także wydaje się znów przyciągać uwagę społeczeństwa w kraju. Sygnalizowane ostatnio ostre trudności rynkowe, mające miejsce akurat w przede dniem nowego pięciolecia pogrudniowego okresu, budzą bowiem rosnącą niepewność o losy gospodarcze Polski w drugiej połowie lat 70-tych.

Chociaż temat dyskusji podkreśla czas terażniejszy, to tym niemniej w swoim wprowadzeniu będę mówił nie tylko, a nawet nie tyle o ściśle bieżącej sytuacji gospodarczej, ile o jej podstawowych cechach charakterystycznych i rozwoju w całym okresie pogrudniowym 1971-75. Mam bowiem nadzieję, iż w ten sposób będziemy mieć większą szansę poprawnej oceny tych procesów gospodarczych, jakie mają miejsce dzisiaj, a także trafnej prognozy na najbliższą przyszłość.

Ze względu na ograniczone ramy czasowe będę z konieczności mówił w sposób skrótowy i selektywny. Większość wyłożonych tu myśli Czytelnik Kultury znajdzie w nieco innej, niekiedy bardziej rozwiniętej, formie w moich dwóch artykułach opublikowa-

nych na łamach londyńskiego kwartalnika *Trybuna*: „Nowa polityka uprzemysłowienia Polski”, *Trybuna*, 17/73, 1974, oraz „Gospodarka Polski na zakręcie”, *Trybuna*, 20/74, 1975. Te idee, o których tam nie pisałem, będę się starał omówić szerzej w dzisiejszym wprowadzeniu.

Trzecia uwaga wstępna dotyczy wiarygodności danych statystycznych. Ponieważ musimy z konieczności korzystać z danych oficjalnych, więc naturalne jest pytanie o wielkości błędu, jaki te dane mogą wprowadzić do naszej analizy. Dwa obszary, gdzie dane oficjalne wydają się być szczególnie mylące, to statystyka produkcji i konsumpcji, ze względu na prawie zupełne ignorowanie „bubli”, oraz statystyka cen i realnych płac, realnego spożycia itp. ze względu na kompletne ignorowanie tzw. ukrytej inflacji (wprowadzanie na rynek praktycznie tych samych produktów, tyle że w nowym opakowaniu i z wyższą ceną). Ta ułomność oficjalnej statystyki byłaby bardzo istotną trudnością, gdyby chodziło o ustalenie rzeczywistego poziomu konsumpcji lub produkcji. Na szczęście nam będzie zależało tylko na porównywaniu w czasie dynamiki zmian tego poziomu. Wspomniana wyżej ułomność jest wtedy o wiele mniej istotna, ponieważ realistyczne wydaje się założenie, iż udział bubli w produkcji, niezależnie od tego czy wynosi on 5 % czy 20 %, pozostaje w okresie pogrudniowym na mniej więcej takim samym poziomie, jak przed rokiem 1971. Przy takim założeniu tempo wzrostu produkcji „trafionej” jest takie samo jak tempo wzrostu całej produkcji, tj. łącznie z bublami. Po drugie, założę, iż ukryta inflacja, znów niezależnie od tego, czy wynosi ona 0,5 % czy 2 %, była w okresie pogrudniowym mniej więcej taka sama, jak przed rokiem 1971. Rzeczywisty wzrost realnych płac w okresie pogrudniowym mógł więc być niższy, niż oficjalnie odnotowany. Ale ponieważ zakładam, iż dotyczy to w równym stopniu okresu wcześniejszego, więc różnica w dynamice wzrostu byłaby niezależna od skali ukrytej inflacji. Oczywiście mogę się mylić co do realizmu obu tych założeń. Przyjmuję je głównie z braku lepszej alternatywy, ale też częściowo z racji poglądu, że wielkość bubli oraz ukryta inflacja są zależne w dużym stopniu od systemu funkcjonowania gospodarki, a ten nie uległ ostatnio istotnym zmianom.

Cztery elementy składowe pogrudniowej polityki ekonomicznej

Politykę ekonomiczną ekipy Gierka można sprowadzić do czterech następujących elementów:

1) Uzyskanie wielomiliardowych kredytów zagranicznych i akceptacja na szereg lat poważnej nadwyżki importu nad eksportem, czyli tzw. polityka „otwartej gospodarki”.

2) Znaczne podniesienie dynamiki wzrostu wydajności pracy w przemyśle i budownictwie przez masowy import maszyn, urzą-

deń i licencji, szczególnie z Zachodu, czyli tzw. *strategy of import-led growth* (wzrost indukowany przez import).

3) Elastyczniejsza polityka rolna wyrażająca się w aktywniejszej polityce cen, zmierzającej do podniesienia rentowności i towarowości produkcji rolnej, oraz w wyraźniejszej akceptacji gospodarstwa rodzinnego jako podstawowej jednostki produkcyjnej na długi okres czasu.

4) Odrzucenie idei przejścia na zdecentralizowany model zarządzania, ale dość skuteczne przeprowadzenie tzw. „małej reformy gospodarczej”, z centralną innowacją w postaci automatycznej podwyżki płac uzależnionej od dynamiki tzw. produkcji czystej na jednego zatrudnionego.

Posunięcia (2) i (4) umożliwiły podwojenie tempa wzrostu wydajności pracy w przemyśle i budownictwie przy utrzymaniu równocześnie wysokiej dynamiki wzrostu zatrudnienia. W konsekwencji nastąpił w tych dwóch działach bardzo poważny wzrost dynamiki dochodu wytworzonego. Z kolei posunięcie (3), mocno wsparte opóźnionym ujawnieniem się dodatnich skutków zainicjowanego jeszcze przez Wł. Gomułkę masowego programu chemizacji rolnictwa oraz sprzyjającą pogodą, dało w efekcie silny wzrost produkcji rolnej, szczególnie w latach 1971-73. Przyspieszony w ten sposób wzrost dochodu narodowego wytworzonego, mocno wsparty kredytowymi zakupami sprzętu inwestycyjnego na Zachodzie, umożliwił równoczesne podniesienie dynamiki wzrostu zarówno konsumpcji jak i akumulacji.

Sukcesy gospodarcze ekipy Gierka są więc realne. Ale fakt, że były silnie stymulowane przez kombinację kredytów zagranicznych (zachodni kapitał), zapoczątkowaną około roku 1965 chemizację rolnictwa (spadek po Gomułce) oraz sprzyjającą pogodą (czynnik losowy) nadaje im w znacznej mierze przejściowy charakter. Do tego punktu wrócić później omawiając bariery pogrudniowego przyspieszenia wzrostu oraz zarysowującą się zupełnie nową sytuację gospodarczą Polski w drugiej połowie lat 70-tych.

Okres pogrudniowy na tle powojennej historii Polski: podstawowe tendencje

W Tablicy nr 1 (str. 94,95) zebrałem przeciętne roczne tempa wzrostu szeregu podstawowych wskaźników ekonomicznych. Dla celów porównawczych podaję je nie tylko dla kolejnych lat rządów ekipy Gierka, ale także dla początkowego (czteroletniego) i końcowego (dwuletniego) okresu planu 6-letniego 1950-55, oraz dla wcześniejszego (pięcioletniego) i późniejszego (dziesięcioletniego) okresu rządów Wł. Gomułki.

Nasunąć się może myśl, że z punktu widzenia procesów ekonomicznych lata 1971-74 mogą być podobne do lat 1954-60. Oba te okresy charakteryzują bowiem duże innowacje w dziedzinie polityki gospodarczej, wymuszone przez oddolną presję społeczeństwa.

Z tablicy wynika, że na trzech ważnych odcinkach działalności gospodarczej mamy istotnie duże podobieństwa. Odcinki te to (a) płace i spożycie w ogólności, (b) produkcja rolna i wreszcie (c) handel zagraniczny, a szczególnie import. Ale są też trzy poważne różnice: (1) wzrostowi dynamiki spożycia i realnych płac towarzyszy nie spadek ale gwałtowny wzrost nakładów inwestycyjnych; (2) zamiast spadku następuje niemal podwojenie dynamiki wzrostu wydajności pracy w przemyśle (a także i w budownictwie), wreszcie (3) tempo wzrostu całego importu, a szczególnie importu sprzętu inwestycyjnego z Zachodu, wzrasta teraz do poziomu znacznie przewyższającego tempo wzrostu dochodu wytworzonego.

Zmiany w eksporcie i imporcie w liczbach bezwzględnych podaje Tablica nr 2 (str. 96) (ceny bieżące, w milionach dolarów amerykańskich).

Tak więc w okresie czterech lat 1971-74 zakupy maszyn i urządzeń produkcji zachodniej wzrosły około 6-cioкратно i wyniosły ok. 4 mld. dolarów. Dla porównania, zakupy takie w okresie lat dwudziestu 1951-70 wyniosły około 2 mld. dolarów w cenach bieżących, czyli mniej więcej 3 mld. dolarów w cenach porównywalnych do tych z lat 1971-74.

Produkcja krajowa środków inwestycyjnych rośnie mniej więcej równie szybko jak produkcja i konsumpcja środków spożycia, i równie szybko jak dochód wytworzony. Ponieważ równocześnie dynamika zrealizowanych inwestycji przewyższa aż dwukrotnie dynamikę dochodu wytworzonego, więc świadczy to, iż istotnie podstawą obecnej przyspieszonej industrializacji jest kredytowany import środków inwestycyjnych.

Z Tablicy 1-szej wynika, iż wysoka dynamika wzrostu inwestycji jest obecnie niewiele tylko niższa od tej, jaka miała miejsce w okresie forsownej industrializacji pierwszych czterech lat planu 6-letniego. Obecny okres przyspieszonej industrializacji różni się jednak od swojego poprzednika zarówno w aspekcie ilościowym jak i jakościowym. Mówiąc o aspekcie ilościowym mam na myśli fakt, że w samym roku 1973 zainwestowano więcej niż w okresie całego planu 6-letniego. Różnica jakościowa bierze się stąd, iż poprzedni okres industrializacji preferował bardzo wyraźnie sektor inwestycyjny, podczas gdy w obecnym okresie rozkład akcentów między sektory konsumpcyjny, inwestycyjny i eksportowy jest mniej więcej równomierny, może z pewną preferencją dla sektora eksportowego.

Wreszcie w porównaniu z wyraźną depresją wzrostową w latach 60-tych, lata 1971-74 można uznać za okres *boom'u* gospodarczego. W latach tych realne płace netto rosły średniorocznie w tempie 8,0%, a konsumpcja na osobę w tempie 7,8%. Dla porównania, w okresie 1961-70 płace realne netto rosły średniorocznie w tempie 1,8%, a konsumpcja na osobę w tempie 4,3%.

TABLICA NR 1.

OKRES RZĄDÓW GIERKA NA TLE POWOJENNEJ

LATA	ŚREDNIOROCZNE TEMPA								
	CAŁA GOSPODARKA							PRZE	
	Dochód wytworzony netto	Dochód do podziału netto	Konsumpcja na głowę	Akumulacja netto	Wskaźnik cen dóbr konsump.	Realne płace	Zatrudnienie gosp. uspołecz.	Dochód wytworzony netto	Zatrudnienie
OKRES PLANU									
1950-1953 ..	9,7	9,7	3,8	26,6	?	?	10,8	15,0	8,0
1954-1955 ..	9,5	9,7	11,4	—1,8	?	?	3,9	7,7	4,4
OKRES RZĄDÓW									
1956-1960 ..	6,6	6,8	4,9	8,8	2,4	5,5	2,1	8,1	2,0
1961-1970 ..	6,1	5,8	4,2	7,2	2,6	1,8	3,2	8,2	3,2
OKRES RZĄDÓW									
1971	8,3	10,2	7,1	15,5	—0,1	5,7	2,0	8,5	2,7
1972	10,3	12,4	7,9	21,6	—0,4	6,6	3,0	10,4	3,8
1973	11,6	16,1	10,2	26,7	0,2	11,2	2,8	12,3	2,8
1974	9,6	11,9	6,0	19,1	3,8	8,4	2,4	12,0	2,4

Źródło: Rocznik Statystyczny 1974 dla okresu 1950-70 oraz Mały Rocznik Statystyczny

1. Łącznie z prywatną wytwórczością. 2. Lata 1951-53.

Centralna idea nowej polityki gospodarczej

W moim przekonaniu centralną ideą nowej polityki gospodarczej, tym co istotnie różni ostatni okres od okresów poprzednich, jest uderzeniowe przyspieszenie modernizacji technicznej działów pozarolniczych, poprzez wykorzystanie zachodniej technologii na skalę dotąd nieznaną w historii Wschodniej Europy (może z wyjątkiem Rumunii). Przyspieszona absorpcja nowoczesnej technologii przynosi, obok unowocześnienia produkcji na rynek wew-

HISTORII GOSPODARCZEJ POLSKI

WZROSTU W PROCENTACH											
MYSŁ ¹		ROLNICTWO		HANDEL ZAGRANICZNY					Udział akumulacji w dochodzie podzielnym (w procentach)	Udział inwestycji produkcyjnych w całości inwestycji (w proc.)	Bilans handlowy = eksport - import, w mld. dolarów USA
Wydajność pracy	Inwestycje netto	Produkcja końcowa	Produkcja towarowa	Ceny stałe		Ceny bieżące					
				Eksport	Import	Import maszyn i urządzeń	Eksport	Import			
6-LETNIEGO											
6,5	35,0	0,0 ²	0,9 ²	6,3	7,0	—	—	—	21,0	70,3	—
3,2	—2,7	3,3	6,2	0,5	11,0	—	—	—	23,3	71,6	—
22,5									22,5	70,1	—
GOMUŁKI											
6,0	7,3	3,2	4,7	8,9	10,5	6,8	—	—	20,6	68,9	—
4,9	7,8	2,5	3,6	10,2	9,4	12,2	10,3	9,2	24,2	66,6	—
									25,0	68,2	—
									27,9	74,7	—
GIERKA											
5,6	10,5	6,2	4,6	6,6	13,9	10,1	9,1	11,9	29,4	76,2	—0,2
6,3	34,6	9,0	10,1	15,0	22,1	50,3	27,2	32,0	31,7	77,7	—0,4
9,2	26,7	6,8	9,6	11,0	22,6	40,9	30,5	47,5	34,8	78,6	—1,4
9,4	21,6	0,6	5,5	10,5	14,3	35,5	29,3	33,3	37,8	79,5	—2,2

1975 dla okresu 1971-74.

nętrzny i na eksport, także zwiększenie tempa wzrostu wydajności pracy przy tych samych nakładach kapitałowych na jednostkę nowowytworzonych wartości. Takie zwiększenie tempa znakomicie rozszerza pole manewru ekipy Gierka, gdyż pozwala na utrzymanie stosunkowo wysokiej dynamiki płac bez konieczności poświęcania eksportu lub inwestycji. Jest to ta sama polityka wykorzystania luki technologicznej do generowania przyspieszonego wzrostu, którą już wcześniej zaadoptowały z dużym sukcesem takie kraje jak Japonia, Rumunia czy Hiszpania, a

TABLICA NR 2

Rok	Cały eksport	Cały import	Import maszyn i urządzeń	Import maszyn i urządzeń z Zachodu	Deficyt handlowy
1970	3.548	3.608	1.390	300	60
1971	3.872	4.038	1.530	330	166
1972	4.927	5.329	2.300	600	402
1973	6.432	7.862	3.240	1.000	1.430
1974	8.315	10.482	4.389	1.893	2.167

Źródło: Rocznik Statystyczny 1974, Mały Rocznik Statystyczny 1975.

ostatnio Brazylia, Południowa Korea, Iran i niektóre kraje arabskie.

Dodatni wpływ importu maszyn na dynamikę wzrostu wydajności pracy i zatem na wzrost gospodarczy w ogólności będzie obecny tak długo, jak długo poziom tej wydajności w Polsce jest niższy niż w krajach, z których maszyny są importowane. Przypomnijmy, że w tej chwili wydajność pracy w przemyśle Polski wynosi około 70 % wydajności sowieckiej, około 50 % wydajności francuskiej, około 40 % wydajności zachodnioniemieckiej i około 25 % wydajności amerykańskiej. Jeśli więc założyć, że tempo wzrostu wydajności pracy w przemyśle Polski utrzymane zostanie na poziomie 8 % czyli o 3-4 % wyższym niż przeciętnie na Zachodzie, to polityka wzrostu gospodarczego oparta o masowy import maszyn i licencji może być efektywna przez długi okres czasu, a szczególnie w okresie najbliższych 10 do 15 lat.

Alternatywne polityki oraz bariery rozwoju w latach najbliższych

W praktyce możemy jednak mieć szereg wariantów polityki gospodarczego rozwoju opartego o masowy import nowoczesnej technologii. Warianty te różnią się długością okresu, w którym udział nowoczesnych maszyn i urządzeń pochodzących z importu w całości inwestycji w maszyny i urządzenia jest zwiększany z początkowo niskiego poziomu, powiedzmy poniżej 10 %, do w końcu stosunkowo wysokiego poziomu, powiedzmy powyżej 40 %. Dwa warianty zasługują na wyróżnienie.

Wariant pierwszy polega na tym, że udział maszyn z importu rośnie dostatecznie stopniowo, aby przez cały czas eksport mógł nadążać za importem. Przejście od stosunkowo wolnego do przy-

spieszonego wzrostu gospodarczego odbywa się wtedy w warunkach ciągłej równowagi bilansu płatniczego. Skutkiem jest jednak niska akceleracja wzrostu i wobec tego długi okres przyspieszania.

Z kolei wariant drugi polega na szybkim lub bardzo szybkim wzroście udziału importowanych maszyn w całości inwestycji. W wariacie tym okres przyspieszenia wzrostu zostaje skrócony kosztem nienadążania eksportu za importem. Przez jakiś okres czasu, nazwijmy go fazą pierwszą, tempo wzrostu dochodu do podziału przewyższa tempo wzrostu dochodu wytworzonego, a sama nadwyżka importu nad eksportem, czyli tzw. luka eksportowa, z roku na rok rośnie. Ale wcześniej czy później musi przyjść okres, nazwijmy go fazą drugą, kiedy lukę eksportową trzeba będzie stopniowo usuwać. W tym okresie dochód do podziału musi rosnąć wolniej niż dochód wytworzony.

Wariant drugi został przyjęty przez ekipę Gierka. Jest to wariant pod wieloma względami atrakcyjniejszy niż wariant pierwszy. Ale też produktem tego wariantu jest rozwój gospodarczy silnie nierównomierny w czasie, charakteryzujący się dużymi i, szczególnie w początkowym okresie, rosnącymi napięciami. Jest to zatem rozwój trudniejszy do kierowania, bardziej wrażliwy na jakość centralnych decyzji.

W miarę kompletna analiza wspomnianych wyżej napięć ma duże znaczenie dla wybrania właściwego momentu przejścia od fazy pierwszej do fazy drugiej, oraz dla sformułowania właściwego programu ekonomicznego w trakcie fazy drugiej. W niniejszym wprowadzeniu spróbujemy przyjrzeć się bliżej tym napięciom. Ze względu na ograniczone ramy czasowe wezmę pod uwagę tylko cztery z dużo liczniejszej rodziny takich zjawisk, które ze względu na ich funkcję nazwiemy barierami przyspieszonego wzrostu. Są to: 1) rosnące zadłużenie w stosunku do zagranicy; 2) rosnący udział akumulacji w dochodzie narodowym; 3) rosnąca luka między dochodami pieniężnymi a podażą żywności, w szczególności mięsa; 4) rosnące zaniedbanie sektora „nieprodukcyjnego”, w szczególności na odcinku nowych mieszkań.

Bariera handlu zagranicznego

Przypomnijmy, że dochód narodowy przeznaczony do podziału wzrósł w cenach stałych w czteroleciu 1971-74 o 60,8 %, z 764,2 mld. zł. w 1970 do 1.228,8 mld. zł. w 1974, podczas gdy dochód narodowy wytworzony w kraju wzrósł tylko o 46,1 %, z 789,0 mld. zł. w 1970 do 1.152,9 mld. zł. w 1974. Różnicę stanowiły kredytowe zakupy towarów i usług. W ciągu tych czterech lat tempo wzrostu dochodu podzielonego przekraczało o 2,6 % rocznie średnioroczne tempo wzrostu dochodu wytworzonego. W rezultacie nadwyżka importu nad eksportem stanowiła w roku 1974 już około 6,6 % dochodu wytworzonego, i to pomimo że w roku 1970 eksport przewyższał import. Zadłużenie Polski wyrażone w dolarach bie-

zących wzrosło w latach 1971-74 o około 4 mld. (z tego około 2 mld. w samym roku 1974), do poziomu około 5 mld. dolarów.

Utrzymanie wspomnianej wyżej różnicy 2,6% wymagałoby znalezienia chętnych do udzielenia nowych pożyczek na około 3 mld. dolarów w tym roku i na dalsze około 4 mld. dolarów w roku przyszłym. W sytuacji, kiedy stopa procentowa od udzielonych Polsce pożyczek wynosi około 7 do 9%, czyli mniej niż wzrost cen światowych na dobra przez Polskę eksportowane (16,4% w roku 1974), pytanie „pożyczać, czy nie pożyczać?” nie istnieje. Jedyny problem, to znalezienie kredytodawców.

W tym roku i prawdopodobnie jeszcze przez pierwszą połowę przyszłego roku świat zachodni będzie w dalszym ciągu w okresie recesji gospodarczej. W takim okresie podaż kredytu jest wysoka, a stopy procentowe stosunkowo niskie. Można więc oczekiwać dobrego klimatu, a nawet rywalizacji pomiędzy krajami zachodnimi w popieraniu kredytowanego eksportu do krajów Wschodniej Europy, m.in. do Polski, jako środka walki z bezrobociem. Ale rok 1976, a najpóźniej 1977, będzie, w moim przekonaniu, ostatnim rokiem, kiedy Polska jeszcze znajdzie chętnych do udzielania nowych wielomiliardowych kredytów. Jest bowiem wątpliwe, aby zachodni kredytodawcy zgodzili się na udzielanie nowych wielomiliardowych pożyczek w sytuacji gdy całkowite zadłużenie przekroczy sumę 10-ciu mld. dolarów, czyli mniej więcej tegoroczną wartość całego eksportu, lub trzykrotną wartość eksportu do krajów kapitalistycznych gospodarczo rozwiniętych, skąd pochodzą niemal wszystkie zaciągnięte dotąd kredyty.

Dodatkową poważną trudność stanowi decyzja strony sowieckiej stopniowego podwyższenia ceny ropy naftowej z 21,5 dolara za tonę w latach 1971-74 do 49,5 dolara w tym roku, i prawdopodobnie do około 80 dolarów w roku przyszłym. Obciążą to polski bilans płatniczy dodatkowo sumą około 300 milionów dolarów w tym roku i prawdopodobnie ok. 600 milionów dolarów od roku przyszłego. Chociaż obciążenie netto powinno być znacząco niższe ze względu na wzrost cen węgla i statków eksportowanych do Związku Sowieckiego, jest to tym niemniej czynnik zwiększający lukę eksportową, który zatem przybliży w czasie i odczuwalnie wzmocni działanie bariery handlu zagranicznego.

Z powyższych uwag wynika, że Polska zostanie zmuszona do stopniowej likwidacji nadwyżki importu nad eksportem w okresie 1976-78 (choć oczywiście zakumulowane zadłużenie, na początek 1979 rządu około 10 miliardów dolarów, pozostanie do zwrotu w latach późniejszych). Dochód do podziału w roku 1978 będzie więc musiał być mniej więcej równy dochodowi wytworzonemu. Zakładając wzrost dochodu wytworzonego o 9% rocznie (co jest raczej optymistycznym założeniem ze względu na wyczerpanie się rezerw w rolnictwie), dochód do podziału będzie mógł rosnąć w latach 1976-78 tylko o 6% rocznie, wobec 12,6% w latach 1971-74. Dopiero po roku 1978 dochód do podziału mógłby znów rosnąć w tempie nieco wyższym, powiedzmy 8% rocznie.

Wobec silnie rozbudzonych oczekiwań płacowych i konsumpcyjnych, rząd może próbować wyjść im naprzeciw przez drastyczne zmniejszenie tempa wzrostu inwestycji lub przez pozwolenie na inflacyjny wzrost dochodów pieniężnych, licząc na tzw. *money illusion*, albo też wreszcie przez kombinację jednego i drugiego. W każdym razie bariera handlu zagranicznego znacznie wkrótce działać z siłą, która nie tylko przywróci, w ostatnich czterech latach jakby zawieszona, działanie prawa sprzeczności między inwestycjami a konsumpcją, ale nawet poważnie je wzmocni.

Ta zmiana nie powinna być jednak interpretowana jako załamanie się dotychczasowej polityki przyspieszonego rozwoju, ale raczej jako jej nieuniknioną konsekwencję, lub nawet wręcz jako jej integralną część. Interpretacja załamania byłaby błędna, a przynajmniej przedwczesna, ponieważ można oczekiwać, że przy zachowaniu osiągniętego obecnie wysokiego udziału importowanego sprzętu inwestycyjnego (szczególnie produkcji zachodniej) w całości inwestycji w maszyny i urządzenia tempo wzrostu wydajności pracy, i wobec tego także tempo wzrostu dochodu wytworzonego, zostanie dalej utrzymane na wysokim poziomie. Jeśli (i tylko jeśli) tak się rzeczywiście stanie, obniżenie dynamiki wzrostu konsumpcji i inwestycji będzie mało przejściowy charakter.

Dotychczasowa strategia wzrostu byłaby więc ciągle w pełni aktualna. Chodzi tylko o to, aby Polska mogła stosunkowo bezboleśnie zaabsorbować skutki procesu stopniowej likwidacji poważnej w tej chwili luki eksportowej, która to likwidacja w najbliższych kilku latach wydaje się być czymś nie do uniknięcia.

Bariera inwestycyjna

Inwestycje netto w środki trwałe i obrotowe, czyli tzw. akumulacja, wyrażone w cenach stałych były w roku 1974 o 115% wyższe niż w roku 1970, rosnąc przeciętnie w tempie 22,5% rocznie. Ponieważ tempo to znacznie przewyższało tempo wzrostu dochodu narodowego do podziału, udział akumulacji w tym dochodzie wzrósł z 27,9% w roku 1970 do 37,3% w roku 1974. Zarówno sam ten udział jak i szybkość jego wzrostu należą więc do rekordowych w historii Polski. Dalszy wzrost tego udziału byłby jednak nie tylko ekonomicznie zbyteczny ale politycznie wprost szkodliwy. Będzie on także praktycznie niemożliwy, ponieważ bariera handlu zagranicznego zmusi do zamrożenia albo nawet ograniczenia strumienia importowanych maszyn i urządzeń, którego bardzo dynamiczny wzrost umożliwił dotąd wspomniany wyżej systematyczny przyrost udziału akumulacji w dochodzie narodowym.

Obok szybkiego wzrostu udziału akumulacji, drugą cechą charakterystyczną rozwoju gospodarczego w ostatnich czterech latach był dalszy, znaczący wzrost udziału inwestycji produkcyjnych w środki trwałe w całości nakładów inwestycyjnych, z 74,4%

w roku 1970 do 79,5 % w roku 1974. Średnioroczne tempo wzrostu inwestycji produkcyjnych w ciągu tych czterech lat wynosiło 22,4 %, podczas, gdy inwestycje nieprodukcyjne (mieszkania, szkoły, szpitale itp.) rosły w tempie 13,0 %, w tym nakłady na budownictwo mieszkaniowe w tempie 11 %, czyli dwa razy wolniej niż całość nakładów. Te proporcje powinny teraz ulec radykalnym zmianom, szczególnie jeśli obok bariery handlu zagranicznego weźmie się pod uwagę konsekwencje polityczne narastających dwóch sprzeczności: 1) między konsumpcją a inwestycjami w ogóle, oraz 2) między zapotrzebowaniem na mieszkania a inwestycjami produkcyjnymi. Do tej kwestii wrócimy w końcowej części wprowadzenia.

Bariera żywnościowa

Ostatnie ostre trudności na rynku artykułów żywnościowych, szczególnie tak podstawowych jak mięso i masło, świadczą, że dotychczasowa polityka napotyka na barierę także i w tej sferze. Jedną z ważnych „stałych” jest tutaj liczba 10,5 %. Taki musi być udział wartości sprzedanego mięsa (razem z podróbkami i przetworami) w spożyciu ogólnym, aby z grubsza zaspakajać popyt. Odejście od tej liczby nawet o jedną dziesiątą procentu wydaje się być od razu odczuwalne. Otóż udział ten wynosił w roku 1970 10,3 %, wzrósł on w latach 1971-72 do 10,5 % i spadł w roku 1973 do 10,2 %. W roku 1974 nastąpił prawdopodobnie dalszy spadek tego udziału.

W latach 1971-73 spożycie mięsa w kg. rosło w tempie 5,5 % rocznie, a spożycie mięsa w złotych rosło w tempie 9,7 %. Tendencja ta utrzymała się prawdopodobnie także w roku 1974. W sytuacji kiedy ceny mięsa były zamrożone, wzrost przeciętnej wartości jednego kilograma o 4,0 % rocznie oznacza przechodzenie w podaży od tańszych do droższych gatunków. Ta zmiana struktury asortymentowej odgrywała więc dotąd bardzo poważną rolę w zaspakajaniu popytu na mięso, który w wyrażeniu pieniężnym rósł w tempie około 10 % rocznie. Zakładając, że zmiany asortymentowe były rzetelne, a nie były po prostu formą ukrytej inflacji, dalsze takie zmiany będą prawdopodobnie coraz trudniejsze. W najbliższych latach trzeba będzie zatem albo obniżyć dynamikę wzrostu dochodów pieniężnych, albo podwyższyć dynamikę podaży mięsa w kilogramach, lub też alternatywnie podwyższyć ceny mięsa.

Wzrost produkcji mięsa w latach 1971-74 był tak poważny, że stosunek spożycia do produkcji (liczonej w wadze poubojowej, razem z tłuszczami) spadł z 79,2 % w 1970 i 83,1 % w 1971 do 71,9 % w 1974. Rząd dysponuje więc poważną rezerwą od strony podaży, przez powrót do tego podziału produkcji między spożycie a eksport, jaki był w latach 1970-72. Ale nawet gdyby zmniejszenie udziału eksportu mięsa było możliwe, to i tak wydaje się, że konieczność podwyżki cen mięsa zostałaby odsunięta najwyżej na

dwa do trzech lat. Podwyżka taka, w wysokości rzędu 12 do 18 %, wydaje się tym bardziej nieunikniona, że okres wysokiej dynamiki produkcji towarowej zwierzęcej zbliża się prawdopodobnie do końca.

Trendy rozwojowe w rolnictwie w latach 1971-74 były bardzo podobne do tych, jakie miały miejsce w czteroleciu 1955-1958. W szczególności produkcja towarowa zwierzęca rosła w ostatnim czteroleciu w tempie 10,2 %, wobec 10,4 % w latach 1955-58. Analogiczne dane dla produkcji globalnej zwierzęcej wynoszą 7,0 % oraz 5,9 %. Po wyczerpaniu się znanych rezerw produkcji rolnej w latach 1955-58, produkcja towarowa zwierzęca w dwunastoleciu 1959-70 rosła już tylko w tempie 2,3 % rocznie, a produkcja globalna zwierzęca w tempie 1,9 %. Moim zdaniem również i teraz należy oczekiwać podobnie poważnego obniżenia się dynamiki produkcji zwierzęcej. Skutkiem takiego obniżenia byłoby wzmocnienie presji na wzrost cen mięsa, jako że kompletna eliminacja jego eksportu w warunkach dużych trudności płatniczych wydaje się być mało prawdopodobna.

Bariera mieszkaniowa

Na tle wyraźnego wzrostu zaspokojenia podstawowych potrzeb w tradycyjnych działach spożycia, takich jak żywność, ubrania i artykuły gospodarstwa domowego, sytuacja mieszkaniowa, trudna już w 1970, uległa w latach 1971-74 względnemu pogorszeniu. W okresie tym ilość gospodarstw domowych wzrosła o 5,6 %, z 9 milionów 380 tys. do 9 milionów 905 tys. a ilość mieszkań o 5,8 % do 8 milionów 548 tys. W rezultacie na 100 mieszkań przypada w dalszym ciągu 116 gospodarstw domowych. Ilość „bezdomych” gospodarstw w 1974 wynosiła 1 milion 357 tysięcy, w tym 920 tysięcy w miastach. Ilość ta wzrosła w okresie 1971-1974 o 4,3 %, w tym w miastach o 3,5 %. Skalę problemu ilustruje fakt, że w 1974 ilość bezdomych gospodarstw w kraju była 6,4 razy większa niż przyrost mieszkań netto.

Problem jest tak ostry, że generowane przez niego niezadowolone ludności zmusi prawdopodobnie władze do zmiany proporcji inwestycji na rzecz budownictwa mieszkaniowego i przemysłów pracujących dla potrzeb tego budownictwa. Udział inwestycji na dział gospodarki mieszkaniowej w całości nakładów inwestycyjnych spadł systematycznie w ostatnich 15-tu latach; z blisko 20 % na początku lat 60-tych do 15,8 % w 1970 i do 11,9 % w 1974. Trend ten będzie musiał teraz ulec odwróceniu, jeśli rząd Gierka będzie chciał uniknąć otwartego wyzwania i naprawdę głębokiego konfliktu z preferencjami społeczeństwa.

Tendencje w roku 1975

Dysponujemy już wstępną oficjalną informacją o wynikach gospodarczych za pierwsze siedem miesięcy tego roku. Potwier-

dzają one pogląd, że gospodarka Polski zaczęła już dość zdecydowanie wchodzić na „wiraz” o którym mówię powyżej.

Zwraca szczególnie uwagę obniżenie się produkcji towarowej rolnictwa, a zwłaszcza zmniejszenie podaży żywności i mleka. Tegoroczne zbiory przewidywane są na poziomie zbliżonym lub nawet nieco niższym niż zbiory ubiegłoroczne. W przyszłym roku można więc oczekiwać dalszego silnego wzmocnienia oddziaływania bariery żywnościowej.

Jak dotąd rząd wydaje się być zdezorientowany i zagubiony. Premier Jaroszewicz publicznie przeprasza gospodynie i przyrzeka poprawę, ale w ślad za tym nie idzie akcja, która by mogła powstrzymać wydłużanie się kolejek. Być może rząd rozważa podjęcie niepopularnych decyzji i zwleka z nimi na okres pozjazdowy, lub nawet pogrudniowy.

Dynamika inwestycji w gospodarce uspołecznionej została zmniejszona z ponad 20 % w zeszłym roku do około 14 % w tym roku. Ale inwestycje te rosną wciąż dużo szybciej niż dochód narodowy wytworzony. Najwyraźniej ekipa Gierka napotyka duże trudności, albo sama wykazuje mało stanowczości w bardziej zdecydowanym hamowaniu wzrostu inwestycji produkcyjnych.

Przeciętna płaca nominalna rośnie dalej w tempie około 15 % w stosunku rocznym, czyli około 6 % szybciej niż przeciętna wydajność pracy i co najmniej 10 % szybciej niż podaż mięsa i przetworów. Dochody pieniężne rosną tak szybko, że pomimo oficjalnych nawiązań do wzrostu eksportu władze wydają się być ostrożne w przesuwaniu masy towarowej z rynku wewnętrznego na rynki zagraniczne. W rezultacie wszystko wskazuje, że deficyt handlowy ulegnie w tym roku dalszemu poważnemu zwiększeniu, do poziomu w granicach między 2,5 a 3 miliardów dolarów. Ostatnie kredyty rządowe Francji i Niemiec Zachodnich pomogą sfinansować ten deficyt, ale wraz ze wzrostem zadłużenia maleją możliwości uzyskiwania nowych kredytów. Narasta więc także presja bariery handlu zagranicznego i jej hamujące działanie na wzrost konsumpcji wewnętrznej.

Konieczne zmiany

Podsumowując, wydaje się, iż sytuacja dojrzała do szybkich i daleko idących zmian w dotychczasowej polityce gospodarczej. Dla potrzeb naszej dyskusji spróbuję zasugerować szereg takich zmian, z których część dotyczy krótkiego okresu czasu, a część ma charakter długofalowy.

1) Kluczowym posunięciem powinno być zamrożenie, na okres likwidacji ujemnego bilansu płatniczego, wielkości inwestycji produkcyjnych na obecnym poziomie. Pozwoliłoby to na zwiększenie dynamiki eksportu przy tylko stosunkowo niewielkim zmniejszeniu dotychczasowego tempa wzrostu realnych płac i konsumpcji. Ułatwiłoby to także sytuację na odcinku handlu zagraniczne-

go przez relatywne zmniejszenie importochłonności gospodarki. Udział inwestycji produkcyjnych w dochodzie narodowym jest obecnie tak wysoki, że zamrożenie ich poziomu na jakieś 3 do 4-letnie nie powinno być sprzeczne z utrzymaniem jednocześnie zarówno wysokiej dynamiki wydajności pracy jak i pełnego zatrudnienia. Po likwidacji luki eksportowej inwestycje te mogłyby znów rosnąć, chociaż nie tak szybko jak dotąd, ale w tempie zbliżonym do tempa wzrostu dochodu narodowego.

2) Należy znacznie zwiększyć tempo wzrostu inwestycji mieszkaniowych, aby możliwie szybko rozwiązać bardzo już nabrzmiały problem blisko 1,5 miliona bezdomnych rodzin. Bariera mieszkaniowa także praktycznie uniemożliwia większy odpływ ludzi ze wsi, zamrażając z jednej strony wciąż bardzo rozdrobnioną i technologicznie nie najbardziej ekonomiczną strukturę rolną, a z drugiej odmawiając zatrudnienia w działach pozarolniczych tym ze wsi, którzy preferują życie w mieście. Sytuacja ta tym bardziej wymaga zmiany, że wobec nadchodzącego niżu demograficznego działy pozarolnicze zaczynają już odczuwać coraz ostrzejszy niedobór pracowników.

3) Wzrost nominalnych płac rządu 15 % rocznie stwarza silną presję inflacyjną, z wszystkimi znanymi ujemnymi konsekwencjami. Wzrost ten trzeba obniżyć do poziomu około 8 do 10 % rocznie, ponieważ w najbliższych latach byłoby iluzją oczekiwać wzrostu realnych płac w tempie wyższym niż 6 % rocznie.

4) Należy zwiększyć „przemysłową” hodowlę trzody chlewnej, technologię, która w latach 60-tych dokonała rewolucji w produkcji mięsa w Wielkiej Brytanii.

5) Nie wolno straszyć rolników perspektywą pęgieeryzacji. Gospodarstwo rodzinne z obszarem między 20 ha a 50 ha powinno być oficjalnie uznane jako ideał docelowy na dającą się przewidzieć przyszłość. Wraz z usunięciem bariery mieszkaniowej, posunięcie takie powinno szybko prowadzić do farmeryzacji wsi polskiej, z liczbą gospodarstw stopniowo redukowaną z obecnych około 3 milionów do około 0,5 milionów. Przyspieszyłoby to podniesienie kultury rolnej oraz stworzyło organizacyjne i technologiczne ramy do wzrostu produktywności użytków rolnych do poziomu osiąganego przez rolnictwo Europy Zachodniej.

6) *Joint ventures* i inne podobne formy aktywizacji eksportu na rynki zachodnie powinny być dalej szybko rozwijane. Aby zapewnić ciągłość dopływu nowej technologii, współpraca produkcyjno-handlowa między indywidualnymi przedsiębiorstwami w Polsce i na Zachodzie powinna być oparta na bazie coraz bardziej systematycznej i długofalowej.

B. Brodziński: — Zanim przejdziemy do dyskusji, pragnę podać informację aktualną, która łączy się z tematem. Bawi obecnie w Londynie minister handlu zagranicznego PRL, Jerzy Olszewski. Wczoraj brał on udział w ceremonii podpisania układu między angielską *Burmah Group* a *Polimexem-Cekopem* w sprawie budowy w Polsce kompleksu chemicznego o wartości 125 milionów

funtów szt. Jest to największa w historii transakcja eksportowa angielskiego przemysłu chemicznego. Kombinat ma być ukończony za trzy lata i będzie wtedy produkował 200.000 ton PVC rocznie plus duże ilości sody itp. W wywiadzie, udzielonym prasie przy tej okazji, Olszewski powiedział, że w przyszłości Polska zwolni tempo zakupów na Zachodzie, a to dlatego że:

— po pierwsze, zakończyła już większą część swego programu inwestycyjnego,

— po drugie, musi zlikwidować deficyt w handlu z Zachodem.

To drugie ma nastąpić w 1978 roku. Można dodać, że w okresie rządów Gierka handel polsko-angielski wzrastał 30 % rocznie.

St. Gomułka: — Według moich obliczeń, import technologii wyjaśnia około połowy wzrostu wydajności pracy, tzn. że druga połowa musi być wyjaśniona czynnikami innymi, takimi jak zmiany organizacyjne czy zmiany w strukturze produkcji. Dawniej planowało się produkcję globalną a dzisiaj czystą w związku z tym optymalny „koszyk towarów” (*produkt mix*), wytwarzanych przez przedsiębiorstwo, może być inny. Może to mieć wpływ na wydajność pracy.

Wł. Brus: W zasadzie zgadzam się z przedstawioną tu analizą z tym, że pewne rzeczy zaakcentowałbym może inaczej. Po pierwsze w sprawie źródeł wzrostu wydajności pracy. Jest oczywiście, że import sprzętu, czyli modernizacja przemysłu polskiego, odegrał tu bardzo dużą rolę, ale nie należy przeceniać tej roli. Istnieje odstęp czasowy między zakupem urządzeń a ich wykorzystaniem. Z uwagi na to, że wzrost wydajności pracy rozpoczął się dość wcześnie — w 1971, 1972 roku — więc import nie mógł jeszcze grać takiej roli, jaką mu przypisuje p. Gomułka. Import ten dotyczy nie tylko sprzętu, ale również materiałów i surowców, tzw. „artykułów biegowych”. Tak np. w 1973 roku import cementu wzrósł sześciokrotnie w porównaniu z rokiem 1972. Wpływ tego typu importu jest duży, bo jednym z powodów niskiej wydajności pracy w przeszłości były przerwy w zaopatrzeniu. Jednak na długą metę nie można się spodziewać, aby wpływ ten dał się akumulować w ten sam sposób, co wpływ importu urządzeń. Stąd konsekwencje ograniczeń mogą okazać się bardziej dotkliwe, niż gdyby import składał się w całości z urządzeń.

Po drugie, w sprawie małej reformy gospodarczej należy podkreślić sprzężenie zwrotne między wzrostem konsumpcji czy w ogóle wzrostem płac i świadczeń społecznych, a wydajnością pracy. Bardzo istotną rolę odegrał nie tylko wzrost funduszu płac, ale wzrost swobody w jego wykorzystaniu. Na tym tle zdziwiłem się, że w końcowych wnioskach nie było mowy o reformie gospodarczej. Bo z reformą gospodarczą w Polsce jest tak: Następuje konsekwentne jej rozszerzanie, tzn. coraz więcej zakładów pracuje na nowych zasadach, ale równocześnie postępuje proces sptykania reformy. A więc wraz z poszerzaniem zakresu reform

zmniejsza się głębokość zmian. Odnosi się to do wspomnianego przez p. Gomułkę automatyzmu w systemie płac. Automatyzm ten został już ograniczony przez tworzenie obowiązkowych dodatkowych rezerw i przez administracyjne ograniczenia we wzroście zatrudnienia. Można się więc obawiać, że wraz z rozszerzeniem zakresu tej reformy będzie spadało jej znaczenie praktyczne. Dlatego sprawa ta powinna znaleźć swe odzwierciedlenie we wnioskach naszej dyskusji. Sprawa ta łączy się nie tylko z wydajnością pracy w sensie formalnym, ale i w sensie społecznym — chodzi mi o stopień, w jakim wytworzona produkcja idzie rzeczywiście naprzeciw potrzebom odbiorcy. Tu — mimo reformy — sytuacja musi być dosyć niekorzystna i to świadczy, że reforma nie poszła wystarczająco głęboko. Widać to z analizy kampanii prasowych. Ostatnio dość wyraźna jest kampania badania stosunku zapotrzebowania do podaży artykułów przemysłowych. Ku pewnemu memu zdziwieniu na tle ogólnego optymizmu, który panuje w prasie od szeregu lat, a który jest tylko częściowo usprawiedliwiony istniejącym stanem rzeczy, ocena tego zagadnienia była dość krytyczna. Świadczy to, że problem jest istotny, a w warunkach napięcia inflacyjnego staje się coraz istotniejszy.

J. Poniatowski: — Mówienie o zmianach organizacyjnych to zbyt wąskie ujmowanie zagadnienia reform. Niektóre zmiany dotyczą filozofii gospodarczej. Tak na przykład teraz uwzględnia się czynnik ludzki i spożycie, a więc to, czego w ogóle nie uwzględniano w przeszłości. Dowodem tego jest liczba 1,8 % przeciętnego rocznego wzrostu płac realnych w dekadzie lat sześćdziesiątych. Mimo że tak mała, liczba ta jest chyba przesadzona, a w każdym razie mieści się w granicach błędu statystycznego. Wypowiedzi różnych dygnitarzy bezpośrednio po grudniu wskazywały, że wzrostu tego nie było. Wydaje się prawdopodobne, że płace zostały zamrożone od 1959 roku. Przesławienie się na robotnika, na konsumenta, zamiast tego co czynił p. Jaszczuk, mianowicie karania robotnika za wzrost wydajności, jest nie prostą zmianą organizacyjną, a czymś więcej.

Tak samo należy ocenić użycie mechanizmu cen do obszaru produkcji nie będącej w rękach państwa, przede wszystkim rolnictwa. Wspomniana w referacie rezerwa, zwolniona w połowie lat pięćdziesiątych była wynikiem zniesienia sztyku, kar, zmniejszenia dostaw przymusowych a nade wszystko zniesienia widma kolektywizacji. Za Gierka zauważono, że można podwyższyć produkcję rolną przez zastosowanie mechanizmu cen. Toteż trudno nazwać „zmianą organizacyjną”. Nawiasem mówiąc, nie od razu zauważono tę możliwość. Jeszcze słynna „deklaracja kwietniowa” z 1971 roku milczy na temat cen. Podwyżki cen skupu przyszły później, a z nimi wzrost produkcji rolnej. Ale nie słychać już o innych ważnych reformach, w części obiecanych przez Gierka, zwłaszcza tych, które pozwoliłyby w skali krajowej obliczać koszty i opłacalność eksportu inwestycji, co nie jest możliwe dopóki każde przedsiębiorstwo jest traktowane inaczej.

Wydaje mi się, że „nowa strategia” oparta na imporcie nie jest inicjatywą ludzi, którzy doszli do władzy po grudniu, aczkolwiek nie przeczę, że reprezentują oni wyższy kaliber niż ci, którzy byli przed nimi. Zaslugą Gierka i jego ludzi jest to, że zaakceptowali inicjatywę, a nie to, że ją wszczęli. Ani w planach, ani w uchwałach plenów czy zjazdów nie spotkamy idei, że mamy uprzemysławiać się na kredyt i to w dodatku kredyt zachodni. Świadczy też o tym fakt, że z początku, do połowy 1972, nie było wcale wielkiego importu. Zaczął się on dopiero, gdy Zachód pod wpływem rosnących trudności własnych zwrócił uwagę na Wschód i zaproponował handel oparty na długoterminowym kredycie. W związku z tym mam poważną wątpliwość, czy słuszne jest twierdzenie p. Gomułki, że skoro ceny towarów eksportowanych przez Polskę rosną szybciej, niż wynosi stopa procentowa od zagranicznych długów, to korzyść z kredytu jest oczywista. Bo wszystko zależeć będzie od kosztów produkcji. Jeśli koszty te wzrosną szybciej, niż ceny, to cała impreza przyniesie straty.

Chcę tu zakwestionować tezę, że nadchodzi okres, w którym warunki obiektywne zahamują wzrost produkcji rolnej. Otóż produkcja rolna w Polsce może wzrosnąć jeszcze nawet kilkukrotnie — nie ma do tego żadnych przeszkód obiektywnych, ale trzeba na to większej opłacalności. Bez tego rolnik nie będzie w stanie robić nakładów inwestycyjnych, które są konieczne do takiej produkcji. Na razie zamiast tego popełnia się rażące błędy: ustawa o przymusowym stosowaniu nawozów sztucznych skompromitowała odnośne władze w oczach świata. Jak wspomniał referent, zbliża się niż demograficzny, a z nim odpływ rąk roboczych z rolnictwa. Trzeba by już stwarzać warunki do powiększania gospodarstw, ułatwiać kupno ziemi itd., tymczasem uchwały 15 Plenum mówią o rozbudowie rolnictwa wielkoobszarowego. Pamiętając, że na hektar gruntu wkład gospodarki chłopskiej do dochodu narodowego jest trzykrotnie wyższy niż rolnictwa uspołecznionego, bez trudu zauważymy, że polityka ta musi doprowadzić do znacznego spadku produkcji rolnej.

B. Grzybowski: — Nie należy przeceniać importu technologii. W krajach zaawansowanych ok. 30 % istniejącej technologii jest pochodzenia obcego i to jest stan normalny, a u nas robi się tyle wstawy z powodu stosunkowo drobnego zastrzyku technologii zagranicznej. Ale zauważmy: ani jedna maszyna z tego importu jeszcze nie została dostarczona, a już wzrosła wydajność pracy. Stało się to na skutek elementarnego uporządkowania dyscypliny i wynagrodzenia. Są to tzw. rezerwy proste. Ile się takich rezerw jeszcze mieści w całej gospodarce krajowej, trudno powiedzieć. Rola technologii w porównaniu z rolą uporządkowania bałaganu jest znikoma.

Teraz co do postulatu zahamowania inwestycji przemysłowych. Trudno sobie wyobrazić, aby to było możliwe. Potrzeby inwestycyjne są nadal ogromne. Weźmy przykład Portu Północnego. Po otwarciu go okazało się, że brak transportu, i statki,

które dawniej czekały po 15 dni, teraz muszą czekać po 10 dni. Trzeba rozbudować koleje, drogi, transport wodny, który był zaniedbany przez 30 lat. Tak więc postulat zahamowania inwestycji produkcyjnych jest nie do przyjęcia.

W sprawie bariery handlu zagranicznego chciałbym powiedzieć, że Polska jest krajem o jednym z najniższych wskaźników handlu zagranicznego — wskaźniki te są w Polsce pięciokrotnie niższe, niż w krajach Europy Zachodniej. Jest więc tylko jedno wyjście: więcej produkować i więcej eksportować. Tak samo jest z rolnictwem, znów Polska stoi tu na bardzo niskim miejscu, więc gdzie tu bariera? Jeszcze do tej bariery daleko, trzeba najpierw osiągnąć jakiś przeciętny poziom europejski. Niemcy na mniejszym obszarze mogą niemal całkowicie utrzymać ludność dwa razy większą, a w zeszłym roku wyeksportowali żywności za 10 miliardów dolarów.

Osoby zainteresowane uczestnictwem w zebraniach dyskusyjnych proszone są o skontaktowanie się z B. Brodzińskim — 87 Park Hill, London S.W.4. 9NX. — Tel. 622 17 14.

Neostalinizm bez terroru

W ciągu ostatnich dwu i pół lat dokonano zasadniczych zmian w organizacji władz terenowych PRL'u. Nastąpiło to w trzech fazach. Trzecia faza zmian, formalnie rzecz biorąc, została wprowadzona z dniem 1 czerwca 1975 roku, choć jest zapewne jeszcze w stadium wcielania w życie.

Ustrojowa reorganizacja gminy wiejskiej

Reorganizację władz terenowych rozpoczęto od najniższych komórek terytorialnego podziału państwa. Zniesiono ponad 4.300 gromad i osiedli. Zamiast nich utworzono na terenach wiejskich 2.365 gmin, przeciętnie dwukrotnie większych od zniesionych gromad, zarówno co do obszaru jak i liczby mieszkańców. Dawne gromady obejmowały przeciętnie 68 km² obszaru i 3.600 mieszkańców w porównaniu do 129 km² obszaru nowych gmin, liczących prawie 7.000 mieszkańców. Oczywiście, poszczególne gminy różnią się nie tylko co do liczby ludności i obszaru, lecz także co do swego charakteru w zależności od położenia (podmiejskie, uzdrowiskowe) lub od rodzaju przeważającej gospodarki (PGR'y, spółdzielnie produkcyjne lub gospodarstwa prywatne). Podstawowymi jednostkami terytorialnego podziału PRL i jej administracji terenowej stały się nowe gminy wiejskie w liczbie 2.365 oraz ponad 850 miast i dzielnic miast największych.

Zastąpienie mniejszych gromad większymi gminami nie było głównym celem reformy. Podstawowa zmiana, i to zmiana ustrojowa, polegała na zerwaniu z dotychczasową, szumnie reklamowaną, zasadą skupiania w radach narodowych „pełni władzy ludowej w terenie”. Zerwano z powierzaniem sprawowania administracji państwowej w gminach radom narodowym i ich prezydentom. Zniesiono podporządkowanie narodowym radom aparatu administracji gminnej. Pełnię władzy administracyjnej w gminach powierzono naczelnikom gmin jako jednoosobowym organom administracji państwowej, hierarchicznie podporządkowanym wyższym organom administracji, a nie swym gminnym radom narodowym. Rady pozostały, jednak bez „pełni władzy ludowej” w gminach. Ich kompetencje, realnie rzecz biorąc, zostały ograniczone do samorządu gminnego w ramach ustawowych. Samorząd ten, zniesiony w 1950 roku, przywrócono. Wprawdzie rady gminne pozostały „organami władzy państwowej”, jednak po odjęciu im całkowicie kompetencji do sprawowania terytorialnej władzy administracyjnej na terenie gminy pozostawiono im jedynie:

„wykonanie na terenie gminy zadań państwowych, wzrost i unowocześnienie produkcji, ze szczególnym uwzględnieniem produkcji rolnej, rozwój gospodarczy, społeczny i kulturalny gminy, zaspokajanie potrzeb bytowych ludności oraz umocnienie dyscypliny społecznej”.

Gminne rady narodowe mogą podejmować decyzje w tych sprawach tylko na sesjach zwoływanych kilka razy do roku. Ale nawet w tych sprawach „organem zarządzającym i wykonawczym” stali się naczelnicy gmin, a nie ich prezydium, których kompetencje ograniczono do reprezentowania rad na zewnątrz i organizowanie ich prac. W ten sposób przekreślono wyniki blisko trzydziestoletniej ewolucji, prowadzącej od jednoosobowego sprawowania terenowej władzy administracyjnej do władzy rad i ich prezydentów i — praktycznie — cofnięto się do punktu wyjścia.

Nową zasadę organizacji władzy administracyjnej w gminach wprowadziła ustawa z dn. 29 listopada 1972 r. o stworzeniu gmin i zmianie ustawy o radach narodowych (D.U. nr 49 poz. 312) z mocą obowiązującą od dn. 1 stycznia 1973 r. Ogłoszoną równocześnie ustawą zmieniono odpowiednie postanowienia konstytucji.

Powrót wojewodów do województw po 23 latach przerwy

W niespełna rok po wprowadzeniu w życie zasady jednoosobowego sprawowania władzy administracyjnej w gminach, rozciągnięto ją na powiaty i województwa na całym obszarze PRL'u. Nastąpiło to z mocy ustawy z dn. 22 listopada 1973 r. Oczywiście nowa zasada była sprzeczna z obowiązującą konstytucją. Zmieniono więc znów konstytucję tegoż samego dnia 22 listopada 1973 roku. Obie ustawy są ogłoszone w tym samym Dzienniku

Ustaw nr 47 pod kolejnymi pozycjami. Nie nastęrczało to żadnych problemów. W PRL uchwała się zmiany konstytucji równie szybko i łatwo jak zwykłą ustawę. Państwem bowiem rządzi Partia, a Sejm jest papierową instytucją do uchwalania zleceń.

Ustawa z dn. 22 listopada 1973 r. nosi nazwę „O zmianie ustawy o radach narodowych”. Tak skromnie nazwana zmiana polegała na: skreśleniu dwu całych rozdziałów dawnej ustawy o Prezydium Rady Narodowej i o Wydziałach, zastąpieniu ich trzema nowymi rozdziałami, skreśleniu ponad 11 artykułów, wprowadzeniu nowych artykułów, nadaniu nowego brzmienia licznym artykułom lub ich ustępom, skreśleniu licznych ustępów poszczególnych artykułów, dodaniu nowych lub nadaniu dawnym nowego brzmienia. W dawną formę wiano nową treść. Niewątpliwie było szczyfową pracą wymienić i zredegować długą litanie ponad 60-ciu zawiłych i zasadniczych zmian w ustawie o radach narodowych. Bez porównania łatwiej byłoby napisać nową. Tak wielu zmian wymagało wprowadzenie nowej zasady ustrojowej co do organizacji terenowych organów administracji.

Istotę zasady jasno i krótko wyrażają dwa postanowienia nowej ustawy, które brzmią:

Art. 49^a 1. (art. 49 w brzmieniu jednolitego tekstu).

Terenowymi organami organizacji państwowej są: 1) wojewoda — w województwie, 2) prezydent miasta — w mieście liczącym powyżej sto tys. mieszkańców oraz w mieście będącym siedzibą wojewódzkiej rady narodowej, 3) naczelnik miasta — w innym mieście liczącym do stu tys. mieszkańców, 4) naczelnik powiatu — w powiecie, 5) naczelnik dzielnicy — w dzielnicy miasta, 6) naczelnik gminy — w gminie.

Art. 49ⁿ (art. 63 w brzmieniu jednolitego tekstu).

Wojewoda na obszarze województwa, a prezydent miasta wyłączonego z województwa na obszarze takiego miasta są przedstawicielami Rządu i, działając w tym charakterze, wykonują zadania zlecone im przez Rząd lub Prezesa Rady Ministrów.

Stanowią one wprowadzenie w życie nowej zasady konstytucyjnej, uchwalonej równocześnie ustawą z dn. 22 listopada 1973 roku o zmianie konstytucji, nowelizującą jej art. 42. Nowe jego brzmienie głosi:

1. Terenowymi organami administracji państwowej oraz organami wykonawczymi i zarządzającymi rad narodowych są: wojewodowie, prezydenci lub naczelnicy miast, naczelnicy powiatów, naczelnicy dzielnic i naczelnicy gmin.

2. Terenowy organ administracji państwowej podlega organowi administracji państwowej wyższego stopnia, a w zakresie wykonywania zadań ustalonych przez radę narodową — właściwej radzie narodowej.

Po 23 latach wojewodowie wrócili do województw jako pias-tuni terenowej władzy państwowej w województwach i reprezentanci Rządu.

Identyczną zmianę ustrojową władz administracyjnych wprowadzono w powiatach.

Cóż się stało z narodowymi radami wojewódzkimi i powiatowymi? Ustanawiając je, ustawa z dn. 20 marca 1950 roku (D.U. nr 14, poz. 130) głosiła we wstępie, że jej celem:

„było dalsze wzmocnienie państwa ludowego i przyspieszenie budowy socjalizmu w Polsce, w szczególności zaś dalsze pogłębienie demokracji Polski Ludowej przez jeszcze pełniejszy udział mas pracujących w rządzeniu państwem i skupienie w radach narodowych pełni władzy ludowej w terenie”.

Była to ustawa okresu stalinowskiego i wbrew zapowiedziom wprowadziła rygorystyczny centralizm. Wszystkie funkcje wykonawcze władzy administracyjnej oddano prezydiom rad narodowych, całkowicie podporządkowanym władzom centralnym. Rady praktycznie nie miały żadnego znaczenia. Oznaczało to rządy Partii bezpośrednio poprzez aparat partyjny. W istocie też piastunem państwowej władzy terenowej stał się pierwszy sekretarz wojewódzki wraz ze swym komitetem, bez względu na to, kto był przewodniczącym wojewódzkiej rady narodowej. Po przewrocie październikowym uchwalono nową ustawę z dn. 25 stycznia 1958 roku o radach narodowych, uchylając całkowicie ustawę poprzednią. Wprowadziła ona zasadę decentralizacji władz terenowych. Rozszerzono znacznie kompetencję rad narodowych i określono ich uprawnienia. Jednakże również ustawa z dn. 25-go stycznia 1958 roku utrzymała zasadę sprawowania władzy administracyjnej w terenie przez rady narodowe. Artykuł 1 głosił:

1. „W Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej władza należy do ludu pracującego miast i wsi.
2. Rady narodowe w gromadach, osiedlach, miastach, dzielnicach większych miast, powiatach i województwach są organami władzy państwowej ludu pracującego i wyrażają jego wolę”.

Owe deklaracje polityczne w ustawach były poprzedzone uchwałami najwyższych organów Partii, rozgłoszonymi w całej pełni przy użyciu wszystkich środków masowego przekazu, którym dysponuje totalitarne państwo. Toteż mimo ustrojowej zmiany organizacji władzy administracyjnej i odebrania radom kompetencji w tym zakresie pozostawiono w mocy wspomniany art. 1 ustawy o radach narodowych. Dodano jednak dwa ustępy, które pozbawiły go pierwotnej treści. Oto brzmienie nowego ustępu 3 art. 1, redukującego do minimum kompetencje rad narodowych w porównaniu z dawną „pełnią władzy ludowej w terenie”:

„Rady narodowe jako terenowe organy władzy państwowej kierują całokształtem rozwoju społeczno-gospodarczego terenu oraz oddziaływują na wszystkie jednostki administracji i gospodarki na danym terenie, inspirując ich działalność oraz sprawując nad nimi kontrolę”.

Trzeba dodać, że rady mogą korzystać z tak ograniczonej kompetencji tylko na sesjach, zwoływanych kilka razy do roku, w postaci podejmowania uchwał, przy czym organem zarządzającym i wykonawczym w tym zakresie są właśnie nowi piastuni

władzy administracyjnej w terenie w osobach wojewodów, prezydentów czy naczelników, a nie prezydium rad narodowych.

Dawne prezydium rad wojewódzkich czy powiatowych z pełnią władzy terenowej zostały zniesione. Rady uzyskały nowe prezydium z kompetencją ograniczoną wyłącznie do funkcji formalnych, związanych z przygotowaniem sesji rad narodowych i ich komisji.

Odbierając radom narodowym i ich prezydiom kompetencje terenowych władz administracyjnych, przywrócono równocześnie samorząd terytorialny, zniesiony w 1950 roku. Rady narodowe stały się organami tego samorządu z tym, że znów organem zarządzającym i wykonawczym są piastuni terenowej władzy administracyjnej.

Nowe zasady organizacji władz administracyjnych i samorządu były sprzeczne z konstytucją. Toteż równocześnie z uchwaleniem ustawy z dn. 22 listopada 1973 roku o zmianie ustawy o radach narodowych, zmieniono odpowiednio postanowienia konstytucji.

Małe województwa bez powiatów

Druga faza zmian w organizacji terenowych władz administracyjnych nie była niespodzianką i *implicite* wynikała z pierwszej. Natomiast trzecia faza stanowiła niespodziankę. Jednak najbardziej uderzającą rzeczą jest nie czas jej wprowadzenia, lecz niezwykle pośpiech, który jej towarzyszył. Zniesiono 392 powiaty, 362 narodowe rady powiatowe i rady miast stanowiących powiaty, zwiększono liczbę województw z 22 do 49, podzielono kompetencje naczelników powiatów między naczelników gmin i wojewodów, zniesiono 315 sądów powiatowych i utworzono na ich miejsce 247 sądów rejonowych, zreorganizowano sądy wojewódzkie, dostosowując ich liczbę i kompetencję terytorialną do liczby województw i ich obszarów, zreorganizowano urzędy terenowe władz niespolonych. Wszystko to, prawnie rzecz biorąc, nastąpiło w ciągu zaledwie jednego dnia, a nawet w niektórych wypadkach z mocą wsteczną. Oto ilustracje tego niezwyklego pośpiechu, wywołującego chaos administracyjny, ogromne trudności i kłopoty dla ludności.

Podstawowa ustawa o dwu-stopniowym podziale administracyjnym państwa nosi datę 28 maja 1975 roku. Ogłoszona została w D.U. z tejże daty 28 maja 1975 roku z mocą obowiązującego od 1 czerwca 1975 roku, a więc trzy dni po ogłoszeniu. Ustawa ta ogranicza się do wprowadzenia dwustopniowego podziału administracyjnego PRL'u. Jednostkami stopnia podstawowego stały się gminy, miasta i dzielnice większych miast. Jednostkami drugiego stopnia stały się województwa i cztery miasta: Warszawa, Kraków, Łódź i Wrocław. Równocześnie utworzono 49 województw, określając na razie tylko ich nazwy i siedziby. Oczywiście, nowe województwa nie mogły zacząć funkcjonować bez okre-

ślenia miast i gmin wiejskich wchodzących w ich skład. Z 22 wojewódzkich obszarów trzeba było wydzielić 49. Dokonano tego rozporządzeniem Rady Ministrów z dn. 30 maja 1975 roku, ogłoszonym w D.U. z dn. 31 maja 1975 roku z mocą obowiązującą od 1 czerwca 1975 roku, a więc nazajutrz po ogłoszeniu. Rozporządzenie to stało się więc obowiązujące zanim Dziennik Ustaw z jego treścią zdołał dotrzeć do siedzib województw. Nowych województw mianowano 30 maja 1975 roku w rekordowym tempie dwa dni po prawnym stworzeniu nowych województw, a na jeden dzień przed określeniem ich granic.

Nie lepiej przedstawia się sprawa podziału kompetencji władz powiatowych. Zniesiono 392 powiaty, zarówno jako obszary administracyjnego podziału państwa jak i jednostki organizacji władz administracyjnych. Podziału ich kompetencji między gminy województwa dokonano rozporządzeniem Rady Ministrów 30 maja 1975 roku, ogłoszonego 31 maja tegoż roku z mocą obowiązującą nazajutrz, od 1 czerwca 1975 roku, znowu zanim Dziennik Ustaw zdołał dotrzeć do siedzib województw i do siedzib gmin.

Taki sam niezwykle pośpiech, nieusprawiedliwiony żadnymi widocznymi względami, zastosowano przy reorganizacji sądów wojewódzkich i powiatowych. Zwiększono liczbę sądów wojewódzkich do 49, dopasowując ją do liczby województw. Skasowano 315 sądów powiatowych i utworzono na ich miejsce 247 sądów rejonowych. Minister Sprawiedliwości uzyskał ustawowe upoważnienie do tworzenia i znoszenia sądów wojewódzkich i sądów powiatowych względnie rejonowych i do ustalania ich kompetencji miejscowej Ustawą z dn. 28 maja 1975 roku, ogłoszoną w D.U. nr 16 tegoż dnia z mocą obowiązującą od 1 czerwca 1975 roku. Jednakże dopiero 7 czerwca 1975 r. zostało ogłoszone w Dzienniku Ustaw rozporządzenie Ministra Sprawiedliwości w sprawie utworzenia sądów wojewódzkich i rejonowych, nadając mu wsteczną moc obowiązującą od dnia 1 czerwca 1975 roku. Rozporządzenie więc, dokonało rzeczy logicznie niemożliwej. Stworzyło nowe sądy z mocą wsteczną. Mimo niezwyklego pośpiechu zdołano stworzyć sądy wojewódzkie tylko dla 37 województw. Dla pozostałych 12 nadano tymczasową kompetencję sądom wojewódzkim innych województw.

Również rozporządzeniem co do znoszenia i tworzenia innych terenowych władz administracyjnych niespełnionych w województwie nadano moc obowiązującą od 1 czerwca 1975 roku, choć były ogłoszone wiele dni później.

Ustanowienie 49 województw zamiast 22, zniesienie 392 powiatów, stworzenie wielu dodatkowych sądów wojewódzkich i zamiana 315 sądów powiatowych na 247 sądów rejonowych, to — ogromna praca organizacyjna, nie wspominając nawet o pozostałych urzędach. Z natury rzeczy powoduje ona zamieszanie, nawet jeśli reforma przeprowadzana jest w normalnym trybie z zachowaniem niezbędnych czasokresów dla systematycznego, uporządkowanego przejścia od jednego systemu do drugiego. Natomiast

zmiany tego rodzaju dokonane z niezwykle pośpiechem muszą wywołać chaos administracyjny, którego skutki dotyczą boleśnie w pierwszym rzędzie mieszkańców. W ustroju państwa totalnego zależność mieszkańców od władz administracyjnych jest ogromna. Wystarczy wspomnieć, że w 1973 roku toczyło się 390.349 spraw procesowych i 196.475 spraw nieprocesowych przed sądami powiatowymi, 11.604 sprawy procesowe i 2.049 spraw nieprocesowych przed sądami wojewódzkimi jako sądami pierwszej instancji oraz 55.876 spraw rewizyjnych i 14.391 spraw zażaleniovych przed sądami wojewódzkimi jako sądami drugiej instancji. A ile setek tysięcy spraw toczących się przed wojewódzkimi i powiatowymi urzędami?

Narzucają się pytania. Dlaczego zastosowano tak niezwykle pośpiech w przeprowadzeniu reformy organizacji terenowych władz administracyjnych i sądownictwa? W imię jakich wartości warto było zaryzykować chaos administracyjny w całym państwie na wiele miesięcy?

Realne znaczenie zmian

Znaczenie zmian w organizacji terenowych władz administracji PRL'u nie można rozważać jedynie z punktu widzenia konstytucji. Z kilku elementów, stanowiących o ustroju, istniejącym obecnie na ziemiach polskich, konstytucja jest tylko jednym z nich i to najmniej znaczącym. Najważniejszym czynnikiem jest partia komunistyczna, czyli Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, oraz zasady sprawowania przez nią władzy, praktycznie nieograniczonej. Jednak nawet ona nie jest czynnikiem samodzielnie determinującym polską rzeczywistość polityczną. W zasięgu aktualnej interpretacji zasady proletariackiego internacjonalizmu, nazywanej popularnie od czasu inwazji Czechosłowacji przez wojska sowieckie „doktryną Breżniewa” a przez apologetów tej inwazji — cynicznie „socjalistycznym prawem międzynarodowym”, PZPR jest podporządkowana Rosji Sowieckiej, czyniąc z PRL'u państwo z ograniczoną suwerennością, mimo wszystkich deklaracji o niepodległości. W stosunku do tak widzianej polskiej rzeczywistości wprowadzone zmiany w organizacji terenowych władz administracyjnych nie stanowią zmian istotnych tylko dlatego, że wymagały zmiany konstytucji. Nadal bowiem rządzi Partia, jak rządziła przedtem, pozostając jedynym realnym ośrodkiem władzy. Sprawy on władzę, choć znajduje się poza prawem. Próżny bowiem byłby wysiłek szukania w obowiązującej konstytucji PRL'u jakiegokolwiek podstawy prawnej dla istniejącego stanu rzeczy, mimo że obowiązuje konstytucja w istocie rzeczy okrojowana, nadana PRL'owi przez Partię. Partia po prostu w konstytucji nie istnieje. Nie ma o niej tam żadnej wzmianki, nawet jednego słowa. Równie próżny byłby wysiłek szukania podstawy dla władzy Partii w zwykłej ustawie, w jednej z tych tak bardzo licznych ustaw, ogłaszanych w Dziennikach Ustaw,

których sam skorowidz na dzień 31 marca 1974 roku obejmuje 664 stronicie dużego formatu. Toteż zmiany konstytucji nie mogą zmieniać rządów Partii.

Nie znaczy to, aby wprowadzone zmiany były pozbawione znaczenia. Szukać go jednak należy w celu, który Partia zamierzała osiągnąć. Zmiany bowiem były zainicjowane i dokonane przez Partię, podyktowane aktualnymi zadaniami, które Partia sobie postawiła. Cele te wynikają wyraźnie z przemówienia I Sekretarza Partii, wygłoszonego na I Konferencji Partyjnej w Warszawie w 1973 roku z okazji wprowadzenia w życie zmian w organizacji terenowych władz administracyjnych w latach 1972 i 1973. Podkreślił on między innymi:

„O funkcjonowaniu demokracji socjalistycznej w praktyce rozstrzyga dialektyczna jedność kierowniczej roli partii, sprawnego i skutecznego działania administracji oraz wszechstronnego rozwoju samorządu społecznego”.

A więc odwrót od decentralizacji, jeszcze bardziej rygorystyczne stosowanie podstawowych zasad partyjnych co do kierowniczej roli partii i centralizmu demokratycznego oraz przywrócenie samorządu terytorialnego, kierowanego przez nowe władze administracyjne — oto aktualne zadania Partii. Trójfazowa zmiana organizacji administracyjnych władz terenowych stanowi dostosowanie struktury prawnej PRL'u dla ich realizacji.

Zamiast dotychczasowej „politycznej podstawy państwa” w postaci wielostopniowej hierarchii kolegialnych rad narodowych i ich prezydiów (wojewódzkich, powiatowych, miejskich, gromadzkich, osiedli), sprawujących „pełnię władzy ludowej w terenie” dla „wzmocnienia oddziaływania oddolnego na rządzenie krajem”, jako „organizacji samych mas” i „masowej szkoły rządzenia”, jak to przez wiele lat głosiła Partia, wprowadzono nową dwustopniową hierarchię sprawujących jednoosobowo terenową władzę administracyjną wojewodów (względnie prezydentów dużych miast) i naczelników gmin wiejskich i miast. Sprawowanie tej władzy jest niezależne od rad narodowych. Piastuni tej władzy są mianowani na czas nieoznaczony i mogą być w każdej chwili odwołani przez władze przełożone. Wojewodowie i naczelnicy są osobiście odpowiedzialni za podejmowanie decyzji i zobowiązani do wykonywania poleceń władz wyższych. Rzecz jasna, wprowadzona zmiana stanowi wielkie usprawnienie w stosowaniu zasad kierowniczej roli partii i centralizmu demokratycznego. Na pozór stanowi to przywrócenie stanu, który istniał w okresie Rzeczypospolitej międzywojnia. Jakże fałszywy i bardzo zwodzący to pozór. Wojewodowie międzywojnia posiadali w porównaniu bardzo małą władzę, ograniczoną podstawową instytucją prywatnej własności, konstytucją i opartym na niej systemem prawnym. Na straży przestrzegania tych podstawowych ograniczeń stał, po wyczerpaniu toku instancji, Najwyższy Trybunał Administracyjny, posiadający naprawdę zagwarantowaną i naprawdę przestrzeżoną niezawisłość sędziowską. W porównaniu — obecni wojewo-

dowie sprawują ogrom władzy, rozszerzonej na całość życia gospodarczego, kulturalnego i społecznego na obszarze województwa, a zamiast kontroli Najwyższego Trybunału Administracyjnego poddani są kontroli Partii, stojącej ponad państwem, jego konstytucją i jego ustawodawstwem.

Ogromne wzmocnienie stosowania zasad kierowniczej roli Partii i centralizmu demokratycznego stanowi ponadto zwiększenie liczby województw. Zamiast bowiem 22 wojewódzkich pierwszych sekretarzy Partii (łącznie z pięcioma miastami wydzielonymi), sprawujących faktycznie na swych terenach „pełnię władzy ludowej”, bez względu na to, kto był przewodniczącym prezydium wojewódzkiej rady narodowej, ustanowiono nowych 49 wojewódzkich I Sekretarzy, posiadających blisko trzykrotnie zmniejszoną kompetencję terytorialną, pozbawionych sprawowania terenowej władzy administracyjnej i ograniczonych do przewodniczenia nowym radom wojewódzkim, głównie jako organom samorządu terytorialnego. Oczywiście, ich znaczenie zarówno w Partii jak i w państwie uległo ogromnemu zmniejszeniu mimo że stali się także przewodniczącymi nowych wojewódzkich rad narodowych. Położyło to kres możliwości, by nowi wojewódzcy pierwsi sekretarze mogli stawać się tak zwanymi „feudałami”, wielkorządcami dużych obszarów, z którymi musiały się liczyć centralne władze partyjne. Pamiętamy, że obecny I Sekretarz Partii, sam uprzednio potężny „baron” śląski, jako wojewódzki pierwszy sekretarz, gdy objął kierownictwo Partii w 1970 roku po krwawej rewolucji robotników Trójmiasta, miał trudności w podporządkowaniu sobie niektórych wojewódzkich pierwszych sekretarzy, mimo partyjnej zasady centralizmu demokratycznego.

Równocześnie z odebraniem terenowym radom narodowym i ich prezydiom funkcji władzy administracyjnej, przywrócono zniesiony od 23 lat lokalny samorząd terytorialny, który powierzone gminnym względnie miejskim radom narodowym i radom wojewódzkim, czyniąc jednak wojewodów i naczelników gmin względnie miast organami wykonawczymi i zarządzającymi. W ten sposób dokonano wyodrębnienia i podziału czynników administracyjnych i wykonawczych oraz czynników uchwalających. Wzór do naśladowania stanowił podział władzy państwowej na szczebla centralnym między Rząd i Sejm. Cała struktura władz państwowych została więc ujednolicona od góry do dołu.

Sejm, który zastąpił Krajową Radę Narodową, zaczął funkcjonować w 1947 roku, a na podstawie obecnej konstytucji od 1952 roku. Wojewódzkie rady narodowe w nowej szacie i z nową kompetencją właśnie się ukonstytuowały. Gminne rady narodowe działają od ponad dwu i pół lat, jednak ledwo od kilku miesięcy po uzyskaniu zwiększonej kompetencji, gdy powiatowe rady narodowe zostały zniesione.

Można zasadnie przewidywać, że naśladowanie wzoru, wziętego ze szczebla centralnego władz państwowych, nie ograniczy się do organizacji i znajdzie swój wyraz także w sposobie funk-

cjonowania nowych rad. A historia Sejmu nie wróży wcale niezależności rad narodowych.

Jak wiadomo konstytucja PRL'u skupiła pełnię władzy państwowej w Sejmie, stanowiąc w art. 15:

„Najwyższym organem władzy państwowej jest Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Sejm jako najwyższy wyraziciel woli ludu pracującego miast i wsi urzeczywistnia suwerenne prawa narodu.

Sejm uchwała ustawy i sprawuje kontrolę nad działalnością innych organów władzy i administracji państwowej”.

A jednak historia Sejmu od samego zarania obowiązywania obecnej konstytucji wykazuje jawną i zasadniczą sprzeczność między jego konstytucyjną kompetencją i faktycznie wypełnianą funkcją. Pozorne sejmowładztwo stało się tylko wygodnym parawanem do sprawowania władzy przez polityczne centrum, znajdujące się poza Sejmem. Nie jest żadną przesadą ustalona opinia, że Sejm uchwała wszystko, co mu zostaje przedłożone, jako formalność konstytucyjną. W ostatnich 12 latach szczyt został osiągnięty w 1972 roku: w ciągu pięciu dni na czterech posiedzeniach plenarnych Sejm uchwalił 21 ustaw. Nie jest to jednak rekord uległości. Został on ustanowiony w 1950 roku, kiedy to Sejm uchwalił 100 ustaw i zatwierdził 33 dekrety z mocą ustawy, w ciągu 16 dni obrad na 13 posiedzeniach plenarnych, a więc przeciętnie ponad 6 ustaw i prawie 3 dekrety dziennie.

Trójfazowa zmiana w organizacji terenowych władz administracyjnych usprawnia ogromnie stosowanie zasad co do kierowniczej roli Partii i centralizmu demokratycznego. Równocześnie w tym samym stopniu ułatwia międzypartyjny centralizm sowiecki i obchodzenie papierowych postanowień Deklaracji, podpisanej w Helsinkach na zakończenie Konferencji w sprawie bezpieczeństwa i współpracy w Europie dn. 31 sierpnia 1975 roku.

Józef GIDYŃSKI

Seria pożarów w Polsce

W niedzielę 21 września około godziny 20-ej wybuchł w Warszawie pożar na górnych piętrach Centralnego Domu Dziecka, róg Alei Jerozolimskich i Brackiej. Mimo zmobilizowania wielu jednostek straży ogniowej oraz milicji, gaszono go bardzo nieudolnie (tłumacząc rzecz małym ciśnieniem wody), aż do godziny 24-ej. Górne piętra budynku, wraz z dużą ilością towaru jak dywany i obuwie, spłonęły całkowicie. Prasa podała notatki nader lakonicz-

ne, wraz z wiadomością o powołaniu komisji, mającej zbadać przyczyny katastrofy. Warto dodać, że w niedzielny wieczór sklepy i magazyny CDD były całkowicie opustoszałe.

Niecałe dwa dni później, we wtorek 23 września około godziny 17-ej zapaliła się asfaltowa, smółkowana jezdnia Mostu Łazienkowskiego, podobno dobiegających pod mostem przewodów gazowych. Pożar w tym niezwykle ruchliwym punkcie i w „godzinie szczytu” wywołał nieopisany zamęt, zmobilizowano silne oddziały milicji i KBW, celem kierowania potoku samochodów na inne mosty, silną osłoną objęto również gmach Komitetu Centralnego na rogu Nowego Świata i Alei Trzeciego Maja. Południowa strona asfaltowej nawierzchni mostu stopiła się i spłonęła na przestrzeni 250 metrów. Następnego dnia przywrócony tu został częściowy ruch, jednocześnie przystąpiono do pospiesznej reparacji szkód.

Te dwa pożary zbiegły się z wiadomością, że 20 września nad ranem z niewyjaśnionych przyczyn spłonęła we Wrocławiu zabytkowa wieża kościoła garnizonowego Św. Mikołaja, a także z niesprawdzoną wiadomością o podobnych wypadkach w Stoczni Szczecińskiej. Następnie miały miejsce w Warszawie dalsze pożary; spłonął m.in. Dom Towarowy „Junior” oraz stajnie wyciągowe na Służewcu. Wobec ogólnego podniecenia zarządzono ostre pogotowie milicji i KBW.

Opinia warszawska dopatruje się w tych pożarach czyjś rozmyślnego działania, wiążąc rzecz z uporczywie, od wielu tygodni szerzonymi, absurdalnymi nieraz plotkami o rezygnacji Gierka a nawet o aresztowaniu go (!), a także z widzianymi podobno antygierkowskimi ulotkami, wyzyskującymi notoryczny w sierpniu i wrześniu brak mięsa w stołecznych sklepach. Wielu obserwatorów, w tym również zagranicznych, nie wyklucza hipotezy, że przed grudniowym Zjazdem Partii jakaś partyjna frakcja stara się stworzyć atmosferę paniki i podkopać autorytet pierwszego sekretarza. Inni twierdzą, że mieć pretekst do silnego uchwycenia sytuacji w ręce. Pewne jest tylko, że życie stolicy zostało wydarzeniami i plotkami niezwykle podminowane. Prasa i radio jak dotąd zachowują w tych sprawach niezwykłą „dyskrecję”.

Ostatnio mówi się o najściu tajemniczej bojówce na ministra Oświaty i Wychowania Jerzego Kuberskiego, którego fama oskarża o „czyny nierządne”.

Podobno ilość tajemniczych pożarów wzrosła do 17. Na murach Warszawy pojawiły się plakaty antygierkowskie.

Jakoby w Komitecie Centralnym PZPR odbyła się konferencja z redaktorami nac. ważniejszych pism, na której zakazano pisać o pożarach ale poinformowano, że we wszystkich spalonych obiektach odkryto specjalne zapalniki.

odpowiedzieć? Ważne jest coś innego — portret jest zdumiewająco żywy, narysowany z namiętną pasją, z bólem zawiedzionej miłości.

Portret Lenina pędzla Sołżenicyna zostanie portretem wodza rosyjskiej rewolucji nie tylko dlatego, że jest namalowany przez mistrza, którego talent pisarski osiągnął szczytowy punkt rozwoju, ale przede wszystkim dlatego, że jest namalowany przez wierzącego, który stracił wiarę.

Klucz do „Lenina w Zurychu” znajdujemy już w 1-szym tomie „Archipelagu GUŁag”. Opowiadając o swym spotkaniu w celi ze starym rewolucjonistą Fastienko, Sołżenicyn zauważa: „Czegoś w nim nie mogłem zrozumieć. Dla mnie w nim sprawą najważniejszą i najbardziej zdumiewającą było to, że znał on osobiście Lenina i że wspominał go najbardziej chłodno. (Mój ówczesny nastrój był taki: jeżeli ktoś w celi nazwał Fastienkę tylko imieniem ojca bez jego imienia, to jest po prostu powiedział 'Ilicz, ty dzisiaj wynosisz paraszę' wybucham, obrażam się, wydawało mi się to bluźnierstwem i nie tylko w takim zestawieniu słów, ale w ogóle bluźnierstwem nazywanie Iliczem kogokolwiek poza jedynym człowiekiem na świecie!)”.

Furia, typowa dla charakteru Sołżenicyna, przejawia się w jego uwielbieniu Lenina jeszcze długo po aresztowaniu i wyraziła się obecnie w książce, w której rozbija bożyszcze, któremu składał hołdy. Fastienko „mówił mi wyraźnie, po rosyjsku: 'nie stwarzaj sobie bożyszcza!'” — gdy Sołżenicyn zrozumiał, bożyszcze było obalone i rozdeptane w proch.

Ale i tego uwielbienia i obalenia byłoby, moim zdaniem, za mało dla stworzenia takiego Lenina, jakiego znajdujemy w nowej książce Sołżenicyna. W portrecie ojca sowieckiego państwa jest jeden element niezmiernie wagi: podobieństwo do autora portretu. Kłaniając się bożyszczu a potem je obalając, Aleksander Sołżenicyn nagle odkrył swoje wewnętrzne podobieństwo z Leninem. „Bodło cielę dąb...” było podwójnym portretem: Sołżenicyn widział siebie w zwierciadle — w Twardowskim. „Lenin w Zurychu” to znów podwójny portret: Sołżenicyn widzi siebie w zwierciadle — Leninie. I rozumie Lenina poprzez siebie. Można by pomyśleć: i siebie poprzez Lenina.

Drobne szczegóły składają się na portret, na czyj portret? To Lenin czyta książki o chorobie Bazedowa, żeby sprawdzić czy szwajcarscy lekarze właściwie leczą jego żonę (str. 27). To zek-Sołżenicyn czyta książki o raku, by sprawdzić jak go leczą ka-zachstańscy lekarze. To Lenin „chorował z powodu jednej straconej godziny” (str. 59). To Sołżenicyn w „Bodło cielę dąb...” strzeże każdej sekundy swego życia, straconej na niepiśanie „najważniejszej książki”. A gdy czytamy o Leninie: „...znał konkluzje swoich książek bardzo wcześniej, zanim jeszcze zasiadł do ich napisania”, czyż nie mamy wrażenia, że to odnosi się i do autora „Lenina w Zurychu”?

Rozpocząwszy swoją gigantyczną pracę o rewolucji, obliczoną

Książki

Sołżenicyn i Lenin

Aleksander Sołżenicyn nie przestaje zadziwiać i zdumiewać swoją odwagą, swoją płodnością, swym wielkim talentem i swoją niecierpliwością. Jak czynny wulkan, nie przestaje on wyrzucać w świat ognia, palącej się lawy i kamieni. Jeszcze nie zamilkło echo wywołane ukazaniem się wiosną tego roku „Fragmentów życia literackiego — Bodło cielę dąb...” a już jesienią tegoż samego 1975 roku czytelnik otrzymuje nową książkę: „Lenin w Zurychu”.

Kompozycja „Lenina w Zurychu” określa jednocześnie siłę i słabość książki. Sołżenicyn zebrał razem rozdziały poświęcone Leninowi, które były napisane dla gigantycznej historycznej powieści o rewolucji (w podtytule książki czytamy: Rozdziały). Do książki weszły: rozdział 22 z powieści pt. „Sierpień 14”, siedem rozdziałów z „Drugiego węzła — październik 16”, wzięte z rękopisu opracowanego przez Sołżenicyna jeszcze w Moskwie, oraz 3 rozdziały z „Trzeciego węzła — Marzec 17”.

W tych 11 rozdziałach na 240 stronicach mamy portret Lenina — Lenina emigranta; wodza małej partii-sekty; fanatyka ogarniętego jedną jedyną myślą, dążeniem, uczuciem — rewolucją; człowieka przeżywającego okresy strachu, cierpiącego w skutek rozpaczy i miłości.

Nie sposób przeczytać wszystkich książek napisanych o Leninie: historycznych studiów, życiorysów świętego, hymnów czy, z rzadka, nienawistnych pamfletów. Niedługo przed śmiercią Lenina proletariacki poeta Nikołaj Poletajew ze smutkiem skonał: „Nie widzimy portretów Lenina — podobnych nie było i nie ma. Widocznie dopiero wieki dokończą niedorysowany portret”. Miliony portretów Lenina „narysowano” od tego czasu, ale dopiero dziś, po ukazaniu się książki Aleksandra Sołżenicyna, można mówić o ukazaniu się portretu. Problem nie polega zresztą na tym czy ten portret jest podobny czy nie. Któż na to może

na 20 tomów, Sołżenicyn nie mógł nie zetknąć się przede wszystkim z tym, kto zrobił rewolucję.

Sołżenicyn oczyszcza siebie z Lenina, maluje przenikający aż do serca portret, żeby zrozumiałwszy Lenina zrozumieć rewolucję. I spieszy się by ogłosić ten portret, zrzucić z barków ciężar, który przeszkadza mu iść dalej. „Lenin w Zurychu” to zdemaskowanie mitu Lenina: genialnego, mądrego, dobrego, odważnego, „najbardziej ludzkiego ze wszystkich ludzi”. W książce mamy trzech Leninów: Pierwszy — Lenin w sierpniu 1914 roku. Rozpoczęła się wojna i rosyjski emigrant Władimir Uljanow, mieszkający wówczas w Poroninie, zostaje aresztowany przez władze austriackie. Bardzo szybko wypuszczony na wolność na skutek starań austriackich i polskich leaderów socjalistycznych, jedzie do Szwajcarii. Pierwszy Lenin jest człowiekiem szczęśliwym. Zrealizowały się jego marzenia — rozpoczęła się wojna: „Świetnie, że zaczęła się wojna! Co za radość, że się zaczęła!... To przecież szczęśliwa wojna! — Będzie ogromną korzyścią dla międzynarodowego socjalizmu...”. Rozdział kończy się słowami: „To podarunek Historii taka wojna!”.

Lenin, którego czytelnik poznaje w 1-szym rozdziale jest całkowitym przeciwieństwem mitycznego Lenina: to zły konspirator (konspirujący przez 30 lat Sołżenicyn wyraźnie czuje swoją wyzłość), lękliwy, bezlitosny dla ludzi, odrzucający tych, którzy są mu niepotrzebni, niewybaczający nikomu pomyłek, nawet żonie, nie znosi dowcipów pod swoim adresem. Ale jest w tym portrecie i rys z mitologicznego obrazu: „...jaką trzeba było mieć siłę przekonania, żeby nie zwątpić, żeby się nie zachwiać... żeby przewidując przyszłość trwać i wiedzieć...”. Siła przekonania, poczucie ogromnej mocy wewnętrznej, poczucie misji — tak określa Sołżenicyn główną sprężynę zachowania się i charakteru Lenina.

Drugi Lenin, jesienią 16 roku, to wódz grupki oddanych mu wykonawców, intrygant, którego dewizą było: rozszczepiać się zawsze! Rozszczepiać na wszystkich etapach ruchu! Rozszczepiać tak długo dopóki nie staniesz się choć w małej grupie, ale centralnym komitetem! I niech w nim zostaną sami średniacy, sami ludzie niepozorni, ale posłuszni. I wtedy można osiągnąć wszystko!!!”. Drugi Lenin jest opętany rewolucją, ale tylko taką rewolucją, której on będzie wodzem. Drugi Lenin zżerany ambicją, tym szczególnie straszną, że ascetyczną. Nieugięty wierzący w swoją misję — niepotrzebne są mu żadne ziemskie dobra. Tylko władza, która pozwoli mu uszczęśliwić proletariatus. Ale nawet w Leninie jest szczerba, nawet żelazny mesjasz klasy robotniczej ma słabe miejsce — miłość do kobiety. Drugi Lenin to Lenin zakochany. Aleksander Sołżenicyn opowiada o dziwnej miłości Władimira Ilicza do Inessy Armand. Dziwna miłość — miłość potrójnie dziwna gdyż pisarzowi nie podoba się ani obiekt miłości — Inessa, która dla rewolucji porzuciła dwóch mężów i pięcioro dzieci — ani zachowanie się Lenina, który nie pozwolił swojej żonie Nadieżdzie odejść od niego, gdyż „jest mu potrzeb-

na”, gdyż „żyć z Nadią to jest najlepszy wariant”. Być może Sołżenicynowi nie podoba się zwłaszcza to, że Lenin „ulegał karom” Inessy. Inessa była jednym człowiekiem na świecie, w stosunku do którego Lenin czuł i przyznawał swoją zależność. Dlatego okrutnie i ironicznie berneńskim zszedłszy się z sąsądsztwa w trójkę, w trójkę w lesie berneńskim zszedłszy się z sąsądsztwa w trójkę, w trójkę w górach po róże alpejskie albo siednich ulic; na przechadzkach w górach po róże alpejskie albo grzyby (tylko do dalszych chałup, na nocleg, czasem z Inessą w dwójkę)”. I jeszcze bardziej ironicznie o tym jak skomplikowane rozważania o świecie i rewolucji przerywa zwykła myśl o dawno nieprzyjeżdżającej Inessie: „Przecież jeśli bronić wolnej miłości teoretycznie i nie dać się przekonać, to dlaczego jej nie realizować?”. Ale natychmiast przychodzi pocieszenie: „Przecież to niemożliwe! Towarzysz i przyjaciel! Jak świetnie biła się w Kintalu z centrystami!”...

Trzeci Lenin — wiosną 1917 roku, miotający się na wszystkie strony, zgubiony, straciwszy swoich wszystkich zwolenników, bez łączności z Rosją. Przekonany, że rewolucja w ojczyźnie jest niemożliwa, Lenin gorączkowo goni za chimarami: „Rewolucja w Szwajcarii, rewolucja w Szwecji, gdziekolwiek, to obojętne, aby tylko rewolucja. I coraz częściej boli go głowa: „Od tej głowy nie sposób się oddzielić. Wszyscy na świecie czekają twoich ocen i decyzji, wszystko na świecie można pokierować twoją wolą, a ty, tutaj, ściśnięty i nie sposób się wyrwać!”.

Ale wyjdźcie się znajduje. W Rosji, wbrew przewidywaniom Lenina, wbrew jego przekonaniu o jej niemożliwości — wybucha rewolucja. I oto wszystko jest przygotowane do wyjazdu do ojczyzny, do przejazdu przez Niemcy. I Radek prorokuje: „A więc Władimir Ilicz, za 6 miesięcy albo będziemy ministrami, albo będziemy wisieć”. Kwiecień 1917.

Portret Lenina: zdemaskowanie mitu o mądrym, przenikliwym wodzu, o proroku, który widzi 100 lat naprzód. Portret Lenina: zdemaskowanie mitu o dobrodusznym człowieku, lubiącym dzieci i koty. Portret Lenina: portret okrutnego, bezlitosnego w swoim dążeniu do celu, bezgranicznie kochającego władzę człowieka, opętanego swoją misją. Czy te cechy same przez się zasługują na potępienie? Tak — odpowiada pisarz. No... Sołżenicyn pisze: „Lenin to cięciwa, Lenin to strzała”. Natężenie wszystkich sił dla osiągnięcia celu, nieugiętość woli w dążeniu do celu nie mogą imponować Sołżenicynowi, ale on odrzuca cel, do którego jak nie imponować Sołżenicynowi, ale on odrzuca cel, do którego jak strzała — niszczyć wszystko na swej drodze — dąży Lenin. Pisarz odrzuca rewolucję. Odrzuca ją przede wszystkim dlatego, że rewolucja, którą przygotowuje Lenin, której poświęca wszystkie swoje zamierzenia, całe swoje życie, to dla Sołżenicyna rewolucja antyrosyjska, antynarodowa.

Sołżenicyn udowadnia to pośrednio: W otoczeniu Lenina nie ma Rosjan — Jakub Hanecki, Karol Radek, Grigorij Zinowiew, Lew Kamieniew, Briliant-Sokolnikow, Chrystian Rakowski, naiwnie ufny Szwajcar Platten, kipiący zdecydowaniem Niemiec

Mincenberg. Internacjonalizm socjal-demokratycznej partii obraca się w książce Sołżenicyna we wrogość do Rosji. Nikomu z rewolucjonistów, otaczających Lenina — a w pierwszym rzędzie jemu samemu — nie żal Rosji, Rosja ich nie obchodzi. „Aa, wpadł drapieżny ścierwnik z herbu! — cieszy się Lenin dowiedziawszy się o początku wojny. Złapana łapa, nie wyrwiesz!... Amputować Rosję ze wszystkich stron. Oddzielenie się Polski i Finlandii! Oddzielenie się krajów przybaltyckich! Oddzielenie Ukrainy! Oddzielenie Kaukazu! Abyś zdechł!...”. Ale nie tylko o zniszczeniu rosyjskiego imperium myśli Lenin. Czytając informacje o działaniach wojennych: „Za każdym razem Lenin znajdował cyfry strat rosyjskich i zaznaczał je paznokciem z zadowoleniem i zdziwieniem. Im większe były cyfry tym radośniej. Wszyscy ci zabici, ranni, jeńcy, wywalali się jak żerdzie z carskiego często-kołu i osłabiali monarchię”.

W długim wewnętrznym monologu Lenin przeprowadza rachunki z Rosją a Sołżenicyn z Leninem; czytelnik nie wie czy to o sobie pisze Lenin czy o Leninie Sołżenicyn: „I dlaczego urodził się on w tym zgrzebnym kraju? Czyżby dlatego, że ćwierć twojej krwi jest rosyjska, i że z powodu tej ćwiartki przeznaczenie związało cię z obdrapaną rosyjską bryczką! Cwiartką krwi, ale ani charakterem, ani wolą, ani skłonnościami, w żadnym stopniu nie był on spokrewniony z tym rozlazłym, błotnistym, więcznie pijanym krajem... I cóż wiązało go z tym krajem? Przecież nie gorzej niż tym pół-tatarskim językiem mógłby włądać trzema europejskimi, gdyby trochę nad tym popracował. Z Rosją — 20 lat konkretnych rewolucyjnych powiązań? Ale tylko one. A obecnie... jest już przecież dostatecznie znany w światowych kołach socjalistycznych i mógłby do nich dołączyć. Socjalizm jest beznarodowy”.

Socjalizm beznarodowy, socjalizm antynarodowy, socjalizm — wróg Rosji: Tak odśtania się sens działalności Lenina. I aby ten sens był bardziej widoczny, Sołżenicyn ustawia obok Lenina wybitnego socjalistę, bezlitosnego wroga Rosji, Aleksandra Łazarowicza Helfanda, znanego pod pseudonimem Parwus. Pięć rozdziałów z 11-tu poświęconych jest w książce Parwusowi, jego biografii, jego rozmowie z Leninem, jego planom zniszczenia Rosji, jego współudziałowi przy zorganizowaniu przejazdu Lenina przez Niemcy do Rosji w kwietniu 1917 roku.

Jeden z wybitniejszych teoretyków II-giej Międzynarodówki (jeszcze w 1930 roku *Mała Sowiecka Encyklopedia* określa Parwusa jako „znanego teoretyka marksizmu”), przywódca wraz z Trockim rosyjskiej rewolucji w 1905 roku, milioner wzbogacony na podejrzanym dostawach, doradca niemieckiego ministerstwa Spraw Zagranicznych w czasie wojny, wróg Rosji — która wydawała mu się główną przeszkodą na drodze do zwycięstwa socjalizmu — Parwus był osobistością, którą Sołżenicyn powinien był wymyślić, gdyby nie istniała w rzeczywistości. Znakomita biografia Parwusa, napisana przez Winfrieda B. Scharlau i Zbyn-

ka A. Zemana pt. „Freibeuter der Revolution”* dała Sołżenicynowi bogaty materiał dla stworzenia demonicznego portretu genialnego rewolucjonisty, pioniera konspiracji, nie gardzącego żadnymi środkami dla osiągnięcia swego celu.

Cel Parwusa — a to był jednocześnie i cel Lenina — jak również „zadanie światowego socjalizmu” to „zniszczenie Rosji i wywołanie w niej rewolucji”. Stąd dogmat Parwusa: „Droga do zwycięstwa światowego socjalizmu to wojenne wzmocnienie Niemiec... Zwycięstwo Niemiec to zwycięstwo socjalizmu”. Stąd powstał plan Parwusa: „Zebrać pod jednym kierownictwem wszystkie możliwości, wszystkie siły i środki, prowadzić z jednego sztabu działania państw centralnych, rosyjskich rewolucjonistów, i pogranicznych narodowości... Jednoczesny wybuch rewolucji społecznej i rewolucji narodowościowej przy niemieckiej pomocy finansowej i materialnej”.

Stawiając obok siebie, na jednej płaszczyźnie, Parwusa i Lenina, porównując ich, przymierzając jednego do drugiego, Sołżenicyn przede wszystkim kruszy mit o wyjątkowej genialności wodza październikowej rewolucji. Obok Lenina Parwus: niemniej genialny (a może być nawet...?), niemniej przewidujący (a może być nawet...?), lepiej widzi przyszłość (to Parwus zrozumiał wszystkie możliwości rad delegatów robotniczych, to Parwus w początkach wieku zrozumiał, że Europa stanie się obiektem walki dwóch supermocarstw: Ameryki i Rosji). Stawiając razem Parwusa i Lenina Sołżenicyn tym samym podkreśla antyrosyjskość Lenina dla którego — tak jak i dla Parwusa — rewolucja i socjalizm ważniejsze są od ojczyzny.

W jednym tylko Lenin okazał się od Parwusa mądrzejszy i bardziej przewidujący: nie chciał otwarcie wiązać się z Niemcami. „Oto w czym omyliliście się Izraelu Łazarowiczu — wykrzykuje w myślach Lenin do swojego sprzymierzeńca — wzięć od innych to co potrzebne — tak, ale *sobie* związać ręce — nie!!!”.

W głównej scenie, w wyobrażonej przez Sołżenicyna rozmowie Parwusa z Leninem, którą przedstawia jako targ „geszefciarza” z „Kałmukiem na astrachańskim bazarze”, Lenin przejawia większe opanowanie i mniejszą niecierpliwość.

Powieści historyczne zawsze się pisze z punktu widzenia współczesności: ta prawda nie wymaga dowodu. Lenin Sołżenicyna to Lenin jakim go sobie wyobraża autor „Archipelagu GUŁag”. Ale jest zdumiewające, że krótko po przewrocie październikowym podobnie widział Lenina jego przyjaciel i współczesny mu, Maksim Gorkij.

To Gorkij pisał w miesiąc po październiku: „Tak, ja boleśnie i trwożnie kocham Rosję, kocham naród rosyjski... Komisarze ludowi odnoszą się do Rosji jak do obiektu doświadczalnego,

* Wyemigrowawszy z Rosji w 19-tym roku życia Helfand zmienił swoje imię Izrael na Aleksander, ale Sołżenicyn nadal nazywa go: Izrael Łazarowicz.

naród rosyjski to dla nich ten koń, któremu uczeni bakterioldzy zaszczepiają tyfus, by koń wyhodował w swej krwi szczepionkę. Takie właśnie, tak bezwzględne i z góry skazane na niepowodzenie doświadczenia przeprowadzają komisarze na narodzie rosyjskim...". A w pół roku po rewolucji pisał znów: bolszewicy „przeprowadzają najbardziej bezwzględny naukowy eksperyment na żywym ciele Rosji”...

Gorkij doskonale rozumiał — i Sołżenicyn całkowicie z nim się zgadza — motywy, które kierują bolszewikami „rewolucjonistami dnia dzisiejszego” — według określenia autora „Niewczesnych myśli”. Taki rewolucjonista „odnosi się do ludzi jak nieudolny uczony do psów czy żab, przeznaczonych do przeprowadzania ich okrutnych, naukowych doświadczeń, z tą jednak różnicą, że nieudolny uczony męcząc nadaremnie zwierzęta robi to w interesie ludzkości, podczas gdy rewolucjonista dnia dzisiejszego bynajmniej nie zawsze jest szczerzy w swoich doświadczeniach nad ludźmi”.

Gorkij analizuje nie abstrakcyjnych „komisarzy ludowych” czy „tymczasowych rewolucjonistów” — analizuje Lenina. Daje portret Lenina całkowicie odpowiadający portretowi, który znajdujemy w „Leninie w Zurychu”: „Sam Lenin niewątpliwie człowiek o wyjątkowej sile..., człowiek uzdolniony, posiadający wszystkie cechy 'wodza', a także niezbędny do tej roli brak moralności i czysto pański, bezlitosny stosunek do życia mas ludowych”. Gorkij w kilka miesięcy po rewolucji, a Sołżenicyn przeszło pół wieku później — widzą Lenina jednakowo, ale całkowicie odmiennie wyjaśniają cechy jego charakteru i w tej różnicy nie można nie zauważyć znaku czasu, a możliwe że i skutków rewolucji. Dla Gorkiego: „Lenin to wódz i rosyjski wielmoża, mający pewne cechy tej klasy, która przestała istnieć i dlatego uważa, że ma on prawo dokonać na narodzie rosyjskim okrutnego eksperymentu, z góry skazanego na niepowodzenie”. Dla Sołżenicyna stosunek Lenina do narodu rosyjskiego tłumaczy się jego nierosyjskim pochodzeniem. Dla Gorkiego — świadka rewolucji — jest ona dziełem rąk garstki oderwanych od narodu i ojczyzny inteligentów, kierowanych przez 'rosyjskiego wielmożę' — Lenina. Dla Sołżenicyna-historyka rewolucji: to dzieło garstki spiskowców — cudzoziemców i obcych.

Takie podejście do rewolucji proroczo przewidział inny jej świadek — Iwan Bunin, który zanotował w swoim dzienniku: „Lewi” wszystkie ekscesy rewolucji zwalają na stary reżym, czar-nosecińcy na Żydów. Ale lud nie jest winien! Ale ten sam lud będzie w przyszłości zwał wszystko na kogo innego, na sąsiada, na Żyda: „Cóż ja? To Żydzi nas do tego wszystkiego namówili!”.

„Lenin w Zurychu” to błyskotliwy portret wodza partii, fanatyka opanowanego swoją misją. Cała siła książki polega na wytężonej koncentracji, na zdumiewającej celowości i wąskości spojrzenia: na tricku Lenin i Parvus — wszystko co po brzegach jest rozmyte, niewyraźne. I to stanowi słabość książki. Oder-

wawszy Lenina od Rosji — choć byłoby to logicznie w pełni usprawiedliwione, bo Lenin-emigrant był od Rosji oderwany — Sołżenicyn pozbawił swego bohatera niezbędnego tła. O znaczeniu tego tła łatwo się przekonać wstawiając pierwszy rozdział „Lenina w Zurychu” — to jest 22-gi rozdział „Sierpnia 14 roku” — z powrotem na swoje miejsce, to jest między wojenne rozdziały 21-szy i 23-ci. Okrutność walk i ich krwawość podkreślają potęgę radości Lenina z powodu wybuchu wojny. Bez kontekstowości radości socjalisty, witającego wojnę która przybliży rewolucję, ma charakter abstrakcyjno-teoretyczny. W powieści ta radość ma charakter nieludzki.

Można się zgodzić z Sołżenicynem lub nie, przyjąć lub odrzucić jego oceny, ale dla wszystkich czytelników „Lenina w Zurychu” Lenin będzie obecnie taki jakim przedstawił go Aleksander Sołżenicyn. Można dyskutować z Sołżenicynem historykiem czy filozofem. Nie można dyskutować z Sołżenicynem artystą.

Michał HELLER

Próba wysokiej wartości

Dzieje żydostwa polskiego zakończyły się w 1942 roku — roku jego zagłady. Powstanie w getcie warszawskim w kwietniu 1943 roku było tylko ostatnim akordem wielkiego *requiem*. Różne późniejsze epizody dotyczące Żydów w Polsce powojennej nie należą już do historii żydostwa polskiego, którego już poświęcono w piśmiennictwie śmierci ostatnich pokoleń Żydów polskich, brak jednak ciągle nawet szkieletu obrazu ich życia. Jacy byli polscy Żydzi dwudziestolecia międzywojennego, ci którym zgotowano bezprzykładny los? W literaturze polskiej pojawiają się tylko w części tła. Próba odtworzenia kształtów była powieść Kazimierza Brandysa „Samson” (1947). Był to szkic bardzo ograniczony i bez nadziei na kontynuację w warunkach Polski zwanej „ludową”. Na emigracji próbę tę podjął Henryk Dankowicz w tomiku wspomnień z lat młodości pt. „Nieprzezroczyta klepsydra” (Tel Aviv, 1970) Ta stustronicowa i szczerza książeczka stanowi unikat i cenny pokarm dla wyobraźni literackiej i socjologicznej. Również w literaturze żydowskiej brak obrazu życia pokoleń, które w 1942 roku poprowadzono na śmierć. Obraz nie zdążył powstać, bo nie zdążyło dorosnąć pokolenie pisarzy, zdolne do perspektywistycznego ujęcia wielobarwnej i złożonej historii żydowskiego życia w Polsce międzywojennej. Istnieją najwyżej

fragmenty, jak opowiadania Kaganowskiego, ukazujące życie obyczajowe warszawskich Żydów (między innymi barwne postacie żydowskich furmanów z Powiśla).

O wiele więcej materiału dostarcza żydowska literatura dokumentarna. Rozrzucony po świecie, cudem ocaleni, ostatni spadkobiercy dziedzictwa żydostwa polskiego skrzętnie zbierają i spisują dokumenty na temat swych byłych miast i miasteczek, organizacji społecznych i instytucji. Dokumenty te ułatwiają zrozumienie świata, który zginął bezpowrotnie, wiele wyjaśniają i korygują. Należy do nich także wydana w 1971 roku w Tel Avivie „Medem Sanatorie Buch”*, czyli „Księga o Sanatorium imienia Medema”. Opisano w niej dzieje niezwykłego, filantropijno-socjalistycznego sanatorium dla dzieci, które istniało w Miedzeszyńcu pod Warszawą od stycznia 1926 do 22 sierpnia 1942 roku. Powstało ono z inicjatywy płomiennego społecznika Władimira Medema, Rosjanina, którego w 1917 roku wstrząsnął widok żydowskich dzieci, ginących z głodu na ulicach Warszawy. Medem pojechał do Ameryki, by zebrać pieniądze na zbudowanie sanatorium dla dzieci warszawskiej biedoty żydowskiej.

Institucja, którą nazwano imieniem Medema, była jednak czymś znacznie więcej niż sanatorium. Uczono i wychowywano tu upośledzone społecznie dzieci w najlepszych tradycjach humanizmu, braterstwa i *sprawiedliwości społecznej*. Był to bowiem okres ogólnoswiatowego szturm i naporu socjalistycznych idei i nadziei. Sanatorium im. Medema prowadzili Bundowcy i w części lewicowi syjoniści. Stosowano wiele wypróbowanych metod pedagogicznych Janusza Korczaka. Dzieci współzrządziły zakładem w drodze demokracji parlamentarnej, z nauczycielami i wychowawcami łączyła je zażyłość osobista, bezpośredniość i całkowite zaufanie. Do miedzeszyńskiego sanatorium, gdzie zapobiegano nie tylko schorzeniom fizycznym, ale także psychicznym, duchowym i kulturalnym, przybywali z wizytą znani uczeni krajowi i zagraniczni, jak profesor Ferrier ze Szwajcarii, czy wybitny polski fizyk i pedagog Antoni Bolesław Dobrowolski. Profesor Dobrowolski przybył do sanatorium z parą asystentów i od rana do wieczora prowadził obserwacje metod pedagogicznych, po czym dokonał ich wnikliwej analizy. W „Księdze o Sanatorium imienia Medema” znajdujemy artykuł poświęcony wizycie znakomitego uczonego, jego biografii, oraz obszernie fragmenty dokonanej przez niego oceny działalności wychowawczej zakładu. Profesor podkreślił „szczęśliwe połączenie elementu ideowego z racjonalnym” i dodał, że do miedzeszyńskiego sanatorium powinni przybyć „wszyscy zatwardziali belfrowie, wszystkie urzędnicze dusze, by choć przez minutę odetchnąć innym powietrzem, powietrzem nieskrępowania i ufności” (tłum. z *jidisz*). Profesor stwierdza, że „charakter ideowy (instytucji) w zupełności wymazuje jej charakter filantropijny”, oraz że dzieci opuszczają ją „z przekonaniem, że im i w ogóle wszystkim dzieciom przysługuje prawo do lepszego życia. I jest to być może najpiękniejszym owocem 1939 r., waszej pracy”. Założycielem i kierownikiem sanatorium do 1939 r. był Szlomo Giliński, którego pamięci poświęcono omawianą książkę. (Jego syn, Wiktor Giliński, ur. w 1934 r. w Warszawie, jest jednym z pięciu członków amerykańskiej Komisji Energii Nuklearnej).

Prawda, że Sanatorium imienia Medema było kroplą w morzu. Dzieci przyjeżdżały tu na kilka miesięcy, w wyjątkowych wypadkach na cały rok. Sanatorium mogło pomieścić latem 350 dzieci, a zimą tylko 140. Jednakże w ciągu szesnastu lat istnienia sanatorium dodano tu siłę do życia, otuchy, nadziei, godności, i wiary w najwyższe wartości ludzkie dziesięciu tysiącom najbiedniejszych warszawskich dzieci. Przynajmniej na jakiś czas... Rozdzierająca jest myśl, że trud ten poszedł z dymem krematorium Treblinki. Żaden trud jednak nie idzie całkowicie na marne. Wielką część bojowników getta warszawskiego w kwietniu 1943 roku stanowili byli wychowankowie Sanatorium imienia Medema.

Tysiące dzieci czekały na swoją kolej, by znaleźć się na kilka miesięcy w miedzeszyńskim sanatorium. „Kiedy wreszcie wybuduje się sanatorium dla wszystkich dzieci?” — pisały w listach do prasy. Wiele z nich nie doczekało swojej kolejki. Do sanatorium przyjmowano także chrześcijańskie dzieci z warszawskiej Kasy Chorych, pokonując nieufność ich rodziców. Współzycie dzieci polskich i żydowskich w Sanatorium imienia Medema dawało zawsze jak najlepsze wyniki. Sukcesy socjalistycznego sanatorium były jednak solą w oku największych wrogów prawdziwego socjalizmu — komunistów. Znajdowali się oni wśród personelu technicznego zakładu i coraz częściej posługiwali się swoją wypróbowaną bronią — prowokacją. Gdy zwyczajnie prowokacje nie dawały pożądanego wyniku, uciekli się do otwartego napadu zbrojnego. Dwunastego lutego 1931 roku, o drugiej w nocy, 150 komunistów, Żydów i Polaków, napadło na sanatorium. Podczas tego jedyne w swoim rodzaju pogromu zniszczono elektornię i kuchnię, potłuczono wszystkie naczynia i szyby, pobito jednego z wychowawców, a nawet lekarkę. Dzieci udało się schronić i na szczęście nikt nie padł ofiarą beładnej strzelaniny. Wspaniale zachował się popularny działacz bundowski Josef Brumberg, który wystąpił przeciwko bandzie napastników z jedy-
nym rewolwerem, jaki był w „uzbrojeniu” sanatorium (J. Brumberg został w 1938 roku wybrany do warszawskiej Rady Miejskiej). Pomimo tej otwartej wojny z komunistami, władze państwowe żądały sanatorium za „siedlisko komunizmu” i cenzura państwowa nie pozwoliła na rozpowszechnianie filmu o dziejach sanatorium, nie nakreślonego w 1936 roku przez Aleksandra Forda. Chociaż di-
nalogi napisała Wanda Wasilewska, film ukazywał prawdę o najbiedniejszych dzieciach i ulicach Warszawy. Spotkał się on z zain-
teresowaniem i uznaniem za granicą. Film nie przynosił żadnej ujmę Polsce, przeciwnie, ukazywał że w Polsce myśli się i robi coś dla przyszłości najbardziej upośledzonych społecznie dzieci.

* „Medem Sanatorie Buch”, red. Ch. Sz. Kaźdan, wyd. Menorah, Tel Aviv, 1971.

Antoni Słonimski określił go jako pierwszy wartościowy film polskiej kinematografii.

Działalność sanatorium przerwano we wrześniu 1939 roku, ale wznowiono już w listopadzie. Nigdy nie było ono bardziej potrzebne niż właśnie w czasie okupacji, gdy najtrudniej było prowadzić tego rodzaju działalność. Armia hitlerowska jak szarańcza zżerała wszystkie polskie płody rolne i coraz trudniej było o pożywienie dla dzieci, ale w miedzeszyńskim sanatorium nikt nie przymierał głodem i zanotowano tylko jeden przypadek tyfusu. Jeszcze trudniej było podtrzymać ducha u dzieci, które codziennie dowiadywały się o śmierci kogoś bliskiego w warszawskim getcie.

Likwidacja getta warszawskiego zaczęła się w lipcu 1942 roku. Miedzeszyńskie sanatorium było w tajnym kontakcie telefonicznym z Warszawą. Wiedzano co się dzieje i rozumiano, że nadchodzi kolej również na sanatorium w Miedzeszynie. Nauczycielka Roza Ajchner (żona znanego łódzkiego lekarza) namawia swoją młodą koleżankę Perl Elenbojgen, aby przekazała jej swoją grupę dzieci i ratowała się ucieczką, a ona już sama zajmie się dziećmi do końca. Po krwawym miesiącu w Warszawie akcja przenosi się na linię otwocką. Dwudziestego pierwszego sierpnia wysiedlono Otwock. Chorych w zakładach leczniczych zastrzelono na miejscu. Wychowawcy Sanatorium imienia Medema każą starszym chłopcom wykraść się nocą do lasu. Las był jednak dobrze strzeżony przez policję i po kilku godzinach wszystkich chłopców przyprowadzono z powrotem. Uratowała się tylko jedna dziewczynka, ukryta w chrześcijańskim domu. W słoneczny poranek 22 sierpnia 250 dzieci wyruszyło z Sanatorium im. Medema, w szeregach, do Falenicy, gdzie załadowano je do wagonów. Na czele szła wychowawczyni Roza Ajchner i lekarka Tola Minc, za dziećmi reszta personelu. Dziecięcę pochód na śmierć, który poprowadził Janusz Korczak, nie był wcale zjawiskiem odosobnionym.

„Księga o Sanatorium imienia Medema” składa się z artykułów żydowskich działaczy społecznych i wspomnień nielicznych ocalałych wychowanków. Znajdują się w niej także piosenki napisane przez dzieci sanatorium, oraz pełny tekst granej przez nie sztuki muzycznej. Jeden z wychowanków miedzeszyńskiego sanatorium, Abraham Brumberg (syn wspomnianego wyżej Josefa Brumberga), obecnie wysoki urzędnik amerykańskiego Departamentu Stanu, pisze w swym wspomnieniu, że Sanatorium imienia Medema było „ucieleśnieniem — choć na małą skalę — ideałów, do których dążyli żydowscy socjaliści... .. mikrokosmosem społeczeństwa przyszłości”. Dla nas jest ono dziś częścią bezpowrotnej przeszłości. Próba wartości zglądzonego społeczeństwa, o którym stanowczo za mało wiemy. „Księga o Sanatorium im. Medema”, zebrana i wydana z inicjatywy Luby Kantorowicz-Gilińskiej dla uczczenia pamięci jej męża, jest jednym z dokumentów, które musimy skrzętnie gromadzić i strzec. Żydostwo polskie, choć zawsze bardzo autonomiczne, było częścią społeczeństwa

czesnego polskiego, jego przeszłość jest również polską przeszłością, a o przyszłości każdego społeczeństwa decyduje jego przeszłość.

Henryk GRYNBERG

O polskiej poezji po francusku

Mimo że mieszkam w Paryżu i że pod moją redakcją ukazała się najobszerniejsza dotychczas antologia poezji polskiej po francusku, o specjalnym numerze *Action Poétique* poświęconym naszej poezji dowiedziałem się dopiero z artykułu Józefa Łobodowskiego w jednym z ostatnich numerów *Wiadomości*. Niełatwo jest ten numer *Action Poétique* znaleźć tutaj, drobne czasopisma nie trafiają do kiosków, są na sprzedaż w paru tylko wyspecjalizowanych księgarniach, dostałem go wreszcie od Redakcji *Kultury*. Powiem zaraz, że nie zgadzam się z Łobodowskim i uważam numer za całkiem udany. Na 140 stronach drobnego formatu nie sposób było uwzględnić wszystkich kierunków współczesnej polskiej poezji. Redaktorzy numeru postanowili zakierować się do przedwojennej awangardy i do poetów, którzy debiutem ograniczyli się do przedwojennej awangardy i do poetów, którzy debiutowali po wojnie. Decyzja zrozumiała o tyle, że awangarda miała o wiele więcej punktów styczności z poezją zachodnią od Skamandra, zaś poeci przedwojenni interesują czytelnika francuskiego ze względu na jakości

W długim swym artykule Łobodowski ani słowem nie wspomina o jakości tłumaczeń, która stanowi przecież w tym wypadku kryterium najważniejsze. Jeśli nie zna dostatecznie francuskiego, powinien był to jasno powiedzieć. Otóż tłumaczenia wydają mi się zawsze na dobrym poziomie, czasem są wyjątkowo udane. Poetów awangardy tłumaczyli Lucienne Rey, Françoise i Andrzej Wat, Dominique Sila (współpracując raz to z Elżbietą Gorayską, raz to z Krzysztofem Jeżewskim), Jerzy Lisowski, André Włodarczyk. Rewelacją dla mnie jest tandem Sila — Gorayska. Świetne ich tłumaczenie fragmentów słynnego poematu Aleksandra Wata „JA z jednej strony i JA z drugiej strony mego mopszołaznego piecyka” w samym już tytule (... mon poêle en cynofonte) nader przemyślnie wtapia psa w żeliwo. Sila zawdzięcza również bardzo wrażliwe tłumaczenie pięknych wierszy Miłosza (z Gorayską) i Jerzego Zagórskiego (z Jeżewskim).

Z poetów powojennych wiersze Różewicza, Szymborskiej, Harasymowicza, Grochowiaka, Bursy, Białoszewskiego, Nowaka i Rymkiewicza podane są w adaptacji Charles Dobzynski, dużej miary francuskiego poety pochodzenia polskiego. Rezultat jest doskonały, z wyjątkiem może Białoszewskiego, którego Dobzynski zbyt oswoił, nie zdając sobie chyba sprawy jak ważne jest w tej poezji przywrócenie języka jego bezkształtnym początkom, wciąż w naszej podświadomości lingwistycznej, w półsennej paplaninie wewnętrznej każdego z nas. Karpowicza tłumaczył Włodarczyk bardzo dobrze. Najmłodszych — Wojaczka, Ewę Lipską, Zagajewskiego i Barańczaka również dobrze przetłumaczyli Anna Orgelbrand i Dominique Sila. Wymieniam sumienniej tłumaczy niż poetów, bo wiem jaki jest ich brak i z radością witam ten nowy, w znacznej części, narybek. Powojenną poezję poprzedza witał ten nowy, w znacznej części, narybek. Powojenną poezję poprzedza witał ten nowy, w znacznej części, narybek. Powojenną poezję poprzedza witał ten nowy, w znacznej części, narybek. Powojenną poezję poprzedza witał ten nowy, w znacznej części, narybek.

zwiężył i trafny wstęp Jerzego Kwiatkowskiego. Rewelacją numeru jest niewątpliwie uroczy wprost wywiad (a raczej zapis rozmowy) z Adamem Ważykiem. Jakby się go słyszało: bezpośrednio, iro-

niczny sceptycyzm, dystans, wielka kultura, humor, tolerancja. Łobodowski pisze, że na zapytanie o realizm socjalistyczny Ważyk „odpowiedział wymijająco”. Czyżby nie zauważył jak odświeżająco Ważyk burzy, jedne po drugich, iluzje czy przesady swoich francuskich rozmówców, którzy (jak im się dziwi?) są mimo to rozmową z nim zachwyceni.

Raczej ma natomiast Łobodowski jeśli chodzi o wstępną chronologię, synchronizującą międzywojenne wydarzenia polityczne i literackie, choć chyba bierze te bzdury zbyt na serio. Historia przedwojennej Polski jest tam niemal sprowadzona do historii K.P.P., ta zaś jest z kolei zafałszowana. O zamachu majowym pisze anonimowy autor: „Zbrojny zamach stanu Piłsudskiego w oparciu o wielki kapitał międzynarodowy”. O poparciu K.P.P. oczywiście ani słowa, ani słowa również o rozwiązaniu K.P.P. przez Stalina i likwidacji większości jej przywódców po Gułagach. Chronologia wydarzeń literackich — ograniczona rozmyślnie do awangardy — jest znacznie mniej tendencyjna. Nie ma przynajmniej represyjnej amnezji w stylu „ubiegłego okresu” w stosunku do lewicowych poetów awangardy, którzy — jak Wat, Miłosz i wielu innych — stali się z biegiem czasu antykomunistami. Sam Łobodowski figuruje w niej — czyżby nie zauważył? — aż cztery razy.

W sumie, poza grubymi niemi sztytami, i na pewno na siłę przyszytym fałszerstwem historycznym (które ogranicza się — czy to się opłacało? — do kilkunastu zdań), bardzo pożyteczna inicjatywa.

K. A. JELEŃSKI

Cyganeria świetna, ale nie ostatnia

Pierwsza od długiego czasu książka — w tej serii wspomnień — wydanych przez Londyn — którą czytałam z radością*. Jej autor Tadeusz Wittlin, nie jest bratem ani żadnym krewnym Józefa Wittlina, autora trylogii „Powieść o cierpliwym piechurze”. Jako młodego satyryka i poetę w przedwojennej Warszawie, pytaniem „czy jest pan bratem Józia” zadreczęli go rozmaici wydawcy i redaktorzy czasopism. Między innymi Władysław Broniewski, ówczesny sekretarz *Wiadomości Literackich*, jedyny w tej książce o którym Wittlin, człowiek anielskiego — przynajmniej sądząc ze wspomnień — charakteru, napisał uszczypliwie i bez sympatii. Cała książka — zdumiewająco jak na satyryka i redaktora „Cyrulika warszawskiego” — jest utkana dobrocią pogody, miłości do przyjaciół, lojalności artystycznej i ludzkiej.

Uwaga na marginesie: środowisko tygodnika satyrycznego „Cyrulik warszawski” — Karpiński, Paczkowski, Minkiewicz, Topolski, ponura grupa „Kwadręgi” z Maliszewskim, Gałczyńskim, Uniłowskim, Sebyłą — nie była ostatnią cyganerią. Była ostatnią cyganerią przedwojenną. Powojennej Polsce dostała się cyganeria, na jaką ten ustrój nie zasłużył, ale która tylko w tym ustroju, tylko w Polsce i tylko w Krakowie mogła się narodzić: Piwnica pod baranami. Cytuję zakończenie dziejów tamtej ostatniej:

„Spopielają się nasze żarty i piosenki, dowcipy, kalambury, satyry, epigramy, fraszki, scenariusze i kpiny, nasze Wesołe Syreny, nasze randki, tańce i flirty. Czernieją w płomieniach IPS'y, SIM'y, Zodiaki, Ziemiańskie,

* Tadeusz Wittlin, *Ostatnia Cyganeria*, PFK, Londyn, 1974, str. 376.

Bary Europejskie, Wróble i Café Cluby. Płonie nasza Warszawa i nasza młodość, rozspływają się nasze marzenia i ambicje, manuskrypty naszych poematów i powieści, te już gotowe do druku i te jeszcze nienapisane, nasze plany na przyszłość i nasze ideały. Ginie ostatnia cyganeria warszawska [...]. Spośród moich przyjaciół, kolegów i znajomych, których wymienię w tej książce, wielu przeszło już na Drugą Stronę Cienia. Jedni zostali zasypani w piwnicach pod gruzami rozbitych kamienic lub padli od pocisków karabinów maszynowych na podwarszawskiej szosie. Inni zginęli na polu bitwy, albo w obozach Oświęcimia, Buchenwaldu, Majdanka, Treblinki, za murami getta, bądź rozstrzelani w Palmirach czy twierdzy Flossenburga. Inni zmarli [...] na zatoczonych dworcach Ufy, Orenburga i Archangielska, gdzie szalały tyfus i dezenteria [...] lub zabici kulą w tył czaszki w katyńskim lesie. Jeszcze inni ponieśli śmierć piękną i wesołą przy kieliszku lub w objęciach ukochanej kobiety. Są też i tacy, którzy zesłi niesławnie.

Mógłbym o nich napisać osobny końcowy rozdział 'Podzwonne', podając okoliczności śmierci każdego z nich. Mógłbym, ale po co? Niech żyją..." (str. 375-376).

To są jedyne ponure linijki tej, pogodnej opowieści. Moje osobiste podziękowanie autorowi za ciepłe i wyraziste wspomnienia o poetce Zuzannie Ginczance i Zbigniewie Uniłowskim.

Jest to książka stylistycznie może naiwna, uproszczona i powierzchowna, ale napisana tak młodzieńczo i spontanicznie, jakby autor ciągle był owym 24-letnim Tadzkiem-Tadzkiem, jak nazywali go przyjaciele. Znalazła się w niej cała Warszawa i Warszawka lat trzydziestych. Jest Wittlin niezrozumiałym uczestnikiem wspaniałego okresu sztuki polskiej: pełnego życia i wymieszania form, zejścia z wieszczego piedestału, wejścia w kawiarnię, ulicę, kabaret. Są tu wszystkie przedwojenne pokolenia artystyczne. Z dramaturgów: Winawer, Szaniawski. Z aktorów: Dymśza, Rudzki, obydwaj Węgrzynowie. Z poetów: Tuwim, Wierzyński, Paczkowski. I jest wspaniale opisana redakcja *Cyrulika Warszawskiego*. Jest tu Warszawa zarówno bieda jak blichtru i użycia, wytwnych restauracji i pijackich knajp. Zaś nade wszystko: imponującego ilościowo kręgu odbiorców sztuki, publiczności serdecznej, złośliwej, wrażliwej.

Książka pełna umiaru: osobista. Książka o Wielkich Przyjaciółach, z których autor jest dumny, których kocha i pamięta do dzisiaj. Młodość ich była wspaniała, choć może — jeśli zupełnie zaufać Wittlinowi — odczyna z głębi, tak jak odczyna z poważniejszych goryczy i zawiści. Od strony wydawnictwa przydałaby się stroniczka historyczno-literacka: daty otwarcia i likwidowania wydawnictw, redakeji, kabaretów.

Janina KATZ-HEWETSON

Koniec świata Olgi Pietrownej

Skromnej książeczce Lidii Czukowskiej* nie przyświecały ambicje jej głośniejszych i ambitniejszych towarzyszy po piórze: Nadzieży Mandelsztam, Grossmana czy Sołżenicyna. Ale ta skrom-

* *Opustoszały dom*, tłum. z ros. Jerzy Szperak. Przedmowa Michała Hellera. Str. 134 + 2 nb. Wyd. Polonia Book Fund, Ltd. Londyn, 1975.

ność niesie spore zalety. To tylko mały wycinek straszliwego, sowieckiego dnia powszedniego z czasów terroru (kulminacja książki przypada na lata 1937/1938). Za to utrwalony natychmiast, jako świadectwo prawie dokumentalne. Książka powstała zimą 1939/1940 zaraz po opisywanych wypadkach. Jeszcze brak jej perspektywy i wiedzy o tym co nadejdzie. Jest szok i zgroza; stało się coś obłędnego — trzeba zrozumieć co. Albo przynajmniej zapisać — może inni zrozumieją. To bardzo ludzki, bardzo humanistyczny odruch — świadectwo z piekła. Nie ma tu wielkich literackich ambicji: historia prostej, rosyjskiej maszynistki jest nawet naiwna, miejscami schematyczna; panuje mała, sowiecka idylla, tak jakby i przed 1937 nie działy się mordy i bezprawia. Widocznie jednak tak być powinno — dla kontrastu. Bo do tamtego już się przyzwyczajono, uważając terror za zwyczajny składnik życia. A to co nastąpiło przeszło granice uważane za „normalne”, i sięgnęło, przez wszystkie warstwy społeczne do najzwyczajniejszych, najprostszych komórek rodzinnych. Los Olgi Pietrowny Lipatowej jest losem pierwszym z brzegu, szarym, banalnym. To kropelka w morzu tragedii. Tak można chyba trafić do wyobraźni ludzi, którzy na Zachodzie tępięją, czytając milionowe liczby ofiar, i nie są w stanie wyobrazić sobie tego co się tam zdarzyło. Przy pomocy małych spraw małych ludzi, i prościutkich obrazków. Może ta książeczka, właśnie ona, ochłodzi kilku rozpalonych „lewicowością” głów. Może znajdzie dostęp do emocji — najprostszych, najprymitywniejszych — wyrafinowanych i wyćwiczonych w dialektycznym myśleniu intelektualistów. Zrobi wówczas właśnie to co może i powinna.

O pisarce wiadomo, że jest kobietą mężną. Córka wybitnego pisarza Kornieja Czukowskiego, autorka wspomnień i prac naukowych, napisała również inny utwór prozą „Zejsście pod wodę”, poświęcony innej kulminacji gwałtu i dzikości — okresowi żdanowszczyzny. Poza tym wielokrotnie i nieustraszenie podnosiła głos w obronie prześladowanych a przeciw prześladowcom. Spotkała ją za to odpowiednia kara; ciężko chora, na pół ślepa została publicznie napiętnowana i usunięta — nie ona pierwsza i nie ostatnia — ze Związku Pisarzy Sowieckich. Wcześniej miała jednak odwagę dokonać aktu bezprecedensowego: zaskarżyła do sądu wydawnictwo „Sowietskij Pisatiel” o niewywiązywanie się z warunków umowy. „Opustoszały dom” miał się tam pierwotnie ukazać w krótkotrwałym okresie chruszczowskiej destalinizacji. Ale nie zdążył. Czukowska sprawę przegrała, bo jakże inaczej? Jej książki i wystąpienia krążą w Samizdacie i przedostają się na Zachód, a „Sowietskij Pisatiel” wydaje zwały „kazonnej” makulatury.

Polskim czytelnikom ten obrazek rosyjskiej matki, ugodzonej i zniszczonej w swoim macierzyństwie, też jest potrzebny, choć sami wiedzą niejedno. Szkoda, że w czytaniu przeszkadzają konstrukcje jakby niedość zdecydowanie spolszczone, rusycyzmy. Tłumacz nie miał chyba śmiałości przyjęcia właściwego dystansu wobec oryginału. Sporo jest niezręczności stylistycznych i po-

tknięć; dziwnie brzmią na przykład „kontrewolucyjne wycieczki” na zebraniu (w oryginale *wyłazki*, a więc raczej już wypadki, ataki, intrygi); kostium *wiazanyj* to nie „trykotowy”, bo to się kojarzy tylko ze strojem cyrkówki, lecz „dziany”; a *krasnyje stroki* to przecież nie „czerwone wstawki”, lecz akapity! To rzeczy małe, ale dotkliwe, bo zakłócające kontakt z autorką i książką, które zasłużyły na lepszy los i podobną polszczyznę.

Krajowe nowości Wydawnicze

opracowała

MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

HISTORIA LITERATURY

WITKOWSKA, Alina: *Mickiewicz. Słowo i czyn*. Warszawa, 1975, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, str. 365.

Po lawinie wydawnictw mickiewiczowskich z okresu setnej rocznicy zgonu poety i ostatnich (w dosłownym i przenośnym sensie) słowach prof. Pigionia o „Panu Tadeuszu” zainteresowanie i tym poematem i całokształtem twórczości osłabło. Sprawa reakcji publiczności warszawskiej na „Dziadów cz. III” i tkwiące w niej nadal ładunki żywej amunicji przeweksłowały cz. III” i tkwiące w niej nadal ładunki żywej amunicji przeweksłowały tytuł książki Witkowskiej „słowo” i „czyn” należy rozumieć w znaczeniu nadanym im przez Mickiewicza w okresie towiańszczyzny. „Słowem” była twórczość, oparta na „czuciu”. Zamarła, gdy poeta uznał, że Towiański-„Mistrz” wyzwolił w nim mechanizm działania mistycznego, „dał potwierdzenie prawdy i siłę, aby czucie w czyn zamienić”. Idąc dalej trzeba ów „czyn” rozumieć jako „duchowy”, pojęty jako zmierzanie się ze światem i zmienianie jego kształtu. Zaczątków tego poglądu doszukuje się Witkowska u Mickiewicza-Filomaty. Sądzi, że w charakterze poety leżała od młodości skłonność do działania grupowego w oparciu o podobnie myślących przyjaciół. Pięknie widzi ich jednak jako grono osobników działających — jak pisze — w obrębie „obszerniejszych struktur socjalnych i państwowych, z oczywistym zamiarem zdecydowanego na nie wpływu a nawet — wymuszenia konieczności przekształceń” (str. 15). Wymuszenia? Warto podłożyć pod tę melodię fakty najnowszej przeszłości, dobrze, niestety, znane. Takie np. jak próby zagarniania władzy przez słabą liczbowo grupę komunistów, która wymusza terrorem i podstępem wprowadzenie w życie swego programu. Filomaci się w tym schemacie nie mieszczą.

Witkowska ostrzega czytelnika w posłowniu, iż pisząc książkę o Mickiewiczu, nie troszczyła się o kompletność omówienia całego dorobku, ani utrzymanie „rytmu chronologii”. Intencją jej było ukazanie własnej wersji portretu „Wieszcza”. Jej prawo. Dla Pigionia wielkość Mickiewicza miała jako podbudowę jego twórczości, jego czyn poetycki (= „słowu”). Witkowską interesują późniejsze „realizacje czynu”: wykłady w Collège de France, organizacja Legionu włoskiego i publicystyka „Trybuny Ludów”. Chciał — jak

to sformułowała — „stworzyć piękny świat dla ludzi, w którym by także mieszkał Bóg”, chciał „wtopić rewolucję w chrześcijaństwo”. Wykonawców tego programu widział w „wielkich indywidualnościach obdarzonych szczerą dynamiką duchową”. Tu wkraczamy na zdecydowanie niebezpieczne wody. Okazuje się bowiem, że Mickiewicz widział owego „bohatera przyszłości” jako „Dżyngis-chana pod wpływem bożym”. Pojęcie to mieściło się w mistycznej antropologii Mickiewicza, ale co z niego zostanie, po przyłożeniu „szkiełka i oka”? Rozpracowanie tego wdzięcznego tematu przekazuję kol. Brońskiemu.

Mickiewicz był, zdaniem Witkowskiej, wierny dawnym przyjaźniom. Przeczą temu fakty. Tragedią jego życia były właśnie wielokrotne zmiany najbliższego środowiska, był istotnie „tułaczem”. Po opuszczeniu Wilna a bardziej jeszcze po wyjeździe z Rosji uciły się lub ochłodziły stosunki z towarzyszami młodości. Do końca życia utrzymywał kontakt z jednym tylko Domeyką i bardzo formalnie z Franc. Malewskim, spowinowaconym przez małżeństwo z siostrą Celiną Szymanowskiej. Urwał się kontakt z Odyńcem. Stosunki z księżną Wołkońską uległy ochłodzeniu po roku 1832, choć po przejściu księżnej na katolicyzm powinny się właściwie pogłębić. O wieloletniej przyjaźni można mówić tylko w stosunku do Wieri Chlustin, do której pisał jeszcze z Konstantynopola na miesiąc przed śmiercią. Można mówić o „wierności” tylko w sensie przenośnym, bo przyjaciół rozdzielały granice, polityka i — nierzadko — śmierć (Garczyński!). Były i dramatyczne rozstania na tle towarzyszyzny. Witkowska przytacza taki np. opis przypadkowego spotkania Mickiewicza z ex-przyjacielem Stefanem Witwickim. Natknęli się na siebie przypadkiem na pustej ulicy paryskiej. „Stanęliśmy ku sobie” — opisał to Witwicki — „on obie ręce wyprężone przycisnął wzdłuż boków, było to nadto widoczne, więc i ja mu mojej nie podałem. Jak się masz, mój Adamie?” — przemówiłem. „Jak się masz?” — odpowiedział i zaraz dodał „Bądź zdrow” i nie zatrzymawszy się dłużej sekundy, prędko odszedł”. O takie rafy rozbiła się niejedna przyjaźń.

W rozdziale V („Między sielanką a domem obłąkanych”) Witkowska cytuje mój szkic o Celinie Mickiewiczowej, obłąkanej żonie poety, polemizując z zawartą w nim interpretacją jej roli. Pisząc, że była „siłą destrukcyjną” nie widziałam w niej jednak *jemme fatale* czy demona. Podsumowałam jedynie rozsiane po listach Mickiewicza i relacjach przyjaciół wzmianki, składające się w sumie na obraz piekła domowego, stałej atmosfery niepokoju i trosk finansowych, które zmuszały poetę, — we wczesnym okresie małżeństwa jeszcze poetę — do podejmowania prac zarobkowych lub rękujących zarobki. Nie jest oczywiście winą Celinę, że Mickiewiczowie mieli sześcioro dzieci i to w większości urodzonych już w czasie umysłowej choroby matki. Ale i to przekreślało możliwości twórczości. I coś jeszcze, czego Witkowska nie wzięła pod uwagę. W klinice, w okresie pogorszenia, Celina pisała wiersze. Przesyłała je mężowi na znak, że to i ona potrafi parać się poezją. Mickiewicz odpowiedział jej j.n.: „Wiersze twoje odczytałem. Bardzo je cenię, wierz mi, bo wiesz, że tobie nie pochlebiam i twoich talentów zbyt nie wydziviam. Poezje pisz albo układaj, mnie się zdaje, że to cię będzie uspakajając a mnie się podoba”. Wiersze te ponoć się dochowały. Dopowiedziałyby zapewne niejedno.

Książka Witkowskiej omawia zadziwiająco przyjaźnie rolę Towiańskiego. Sądy jej o Mistrzu z Antoszwiniac i Einsiedeln są spokojne, wyważone, ale chyba zbyt łaskawe.

W całości jest to książka kontrowersyjna, ale wyrosła na tle długich przemyśleń i gruntownej znajomości nowej literatury o Mickiewicu. Koryguje i sprowadza do właściwych proporcji problemy rozdmuchane przez Boya, unika wchodzenia w nieważne detale biograficzne, stara się — zasadniczo z powodzeniem — ukazać wielkość Mickiewicza, wtedy nawet, gdy błądził.

Obwoluta książki projektu Marii Łuszczyńskiej jest niemal repliką okładki emigracyjnego „Mickiewicza żywego” opracowanej przez zmarłego niedawno Zygmunta Turkiewicza. Przyjemnie oglądać ją na książce krajowej ale czemu tego oczywistego pokrewieństwa ujęcia nie ujawniono?

POLSKA: krajobraz i architektura

CHRZANOWSKI, Tadeusz: *Żywe i martwe granice*. Kraków, 1974, Społeczny Instytut Wydawniczy ZNAK, str. 221, ilustr.

W drzewie genealogicznym książki Chrzanowskiego mogłyby figurować utwory z epok tak różnych jak XVII i XX wiek. Odzywają się w niej echa „Flisa” Klonowica, „Pieśni o ziemi naszej” Pola i Zygmunta Glogera wędrowek „Dolinami rzek”. Gdy szukam analogii w literaturze nowszej nasuwa się porównanie z „Puszczą jodłową”, „Wisłą” i „Międzyrzeczem” Żeromskiego i patetyczną prozą Gołubiewa.

Według oświadczenia autora książka jest próbą podsumowania wieloletnich obserwacji i przemyśleń z wypadów „w teren”. Racją ich była współpraca autora w „Katalogu zabytków sztuki w Polsce” wydawanym przez Instytut Sztuki PAN. W broszurach składających się później na tomy poświęcone poszczególnym województwom (w granicach właśnie pozmiennianych) opisany jest powiat po powiecie i naukowo zarejestrowany każdy zabytek sztuki i architektury, czy będzie nim kościół, zamek lub ruiny zamku, pałac, stary dwór, śpichrz, karczma, zabytkowe lub typowe chaty, stodoły, studnie itp. Autorzy poszczególnych zeszytów wędrują od wsi do wsi w poszukiwaniu obiektów „architektury antykwarycznej”, stosując metody mające dokładne odpowiedniki w pracach terenowych etnografów czy archeologów. W toku takich właśnie wędrowek narzuciły się Chrzanowskiemu pewne uogólnienia wrażeń, wykraczające poza ramy suchych opisów. Gdy przystąpił do ich redagowania okazało się, że władza piórem tak pewnie, że bez wahania przyznać mu należy rangę pisarza wysokiej klasy. Ex-poeta, bo dziś już raczej prozaik, ujął temat w cykl esejów poświęconych, po Bachelardowsku, zasadniczym elementom natury, a są nimi: ziemia, rzeki, góry, wreszcie materiały budowlane: kamień, cegła, drzewo. Eseje przedzielone są krótkimi poematami prozą poświęconymi opisom zabytków, że tak je określe „ulubionych” np. tryptyku w Ptaszkowej albo „syntetycznej” podkrakowskiej chaty.

Esej „Obrzeża Rzeczypospolitej” ma tytuł nieco mylący, bo dotyczy tylko Polski Zachodniej. To zresztą zastrzeżenie powraca parokrotnie w umyśle czytelnika, gdyż autor operuje przykładami z dorzecza Wisły i Polski Zachodniej i powstrzymuje się od wypadów na Wschód, co w części tylko da się usprawiedliwić zasięgiem jego prac terenowych, a polskość, tak jak ją pojmuje, jest jakby plamą rozlaną na mapie fizycznej bez wrysowanych granic politycznych. Warto sobie zresztą uświadomić, że jako urodzony w roku 1926, zna już np. Huculczyznę tylko z drugiej ręki i co najwyżej ze wspomnień wczesnego dzieciństwa, gdy najprawdopodobniej nie interesował się zabytkami architektury. Autorowi nie chodzi jednak o aktualne czy dawne granice polityczne ale o rzeczywisty zasięg polskości poświadczony zabytkami sztuki (jak w archeologii popielnicami czy pra-narzędziami). Słusznie odrywa się od oficjalnych granic, przypominając że np. po pierwszym rozbiore poza granicami Rzeczypospolitej znalazły się Bydgoszcz, Wieliczka, Przemyśl i Lwów — choć był w nich nadal Mińsk, a po drugim zabrakło Gniezna i Płocka — choć ostał się Poczajów.

Autor przerażony jest postęпами niszczenia krajobrazu, choć rozumie ich nieodwołalność i racje ekonomiczne. Gnębi go jednak, iż ludzie „podkreślają wulgarną codzienność, trzebiąc lasy, niwelując ostrość rysów, obsiewając

wszystko uporządkowaną roślinnością i nieuporządkowanymi, niepięknymi domami". Zapamiętał np. wieś Wichrów w pow. oleśkim jako „długi ciąg drewnianych, naczółkowych przeważnie chałup”. Po 20 latach znalazł „dwie rozsypujące się chatynki”. „Cała wieś była nowa, nie powiem że ładna, ale solidna i schludna”. To uświadomiło mu najdobitniej potrzebę utrwalenia w opisie, rysunku, fotografii, filmie przykładów dawnych konstrukcji drewnianych, dawnych technik murarskich, dawnych adaptacji na polski użytek zagranicznych pomysłów i stylów.

Z troski tej przebiega żywa, żarliwa miłość tego wszystkiego, co w architekturze jest polskie, jest inne, jest swojskie. Wśród architektów miał w tym wielkich poprzedników w osobach Stanisława Noakowskiego i Oskara Sosnowskiego. Czytając „Żywe i martwe granice” przypominałam pośpieszne, genialne rysunki kredą Noakowskiego i jego pomrukiwane do nich komentarze: „Może tak to i wyglądało”. Bo i on, jak Chrzanowski, miał np. wątpliwości jak wyglądały dwory polskie w epoce drewnianej, przed wiekiem XVIII-ym. Klasykistyczne dworki z gankiem wspartym na kolumnkach, to już sprawa późniejsza a jeszcze w Soplicowie dwór był tylko „podmurowany”. Chrzanowski nie mógł być uczniem ani Noakowskiego ani Sosnowskiego. Wyczuwam w nim niejako wnuka owych wielkich profesorów i widzę w tym dowód trwałości wielkiej tradycji warszawskiego Zakładu Architektury Polskiej.

Epilogiem książki jest esej pt. „Saturn polski i sarmacki Bachus”, luźno związany z resztą i przynoszący nieco ryzykowną próbę określenia charakteru polskiego z podziałem rodaków na fraszobliwych melancholików spod znaku Saturna i sarmackich Bachusów o gwałtownym temperamencie, gustujących w tym, co wydaje się im wielkie, potężne i bogate. Tacy „odbili się w owym zwierciadle, jakim jest przecież sztuka”, takich uformować miał krajobraz i wielorakie wpływy, które sprawiły, że Polacy (jak Anglicy w muzyce) są raczej dobrymi odbiorcami niż producentami. „Raz nareszcie — konkluduje — należy się pogodzić z tym, że jak dotychczas naród nasz nie wydał Leonarda ani Rembrandta. Jednakże ich skromnym naśladowcom zapewniał w swych granicach zarobek i poszanowanie, a co więcej — jakoś ich tam w mniejszym czy większym stopniu urabiał na własny obraz i podobieństwo, ich samych (a poprzez nich również dzieła) dostrajał do humorów nieba i postanowień powietrza”. „Tacy bowiem jesteśmy...”.

KULTURA STAROPOLSKA

CHRÓŚCICKI, Juliusz A.: *Pompa funebris. Z dziejów kultury staropolskiej*. Warszawa, 1974, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, str. 370, ilustr. (Idee i sztuka. Studia z dziejów sztuki i doktryn artystycznych pod red. Jana Białostockiego).

Ciekawa i makabryczna praktyka staropolskich obrzędów pogrzebowych jest mało znanym rozdziałem historii sztuki sarmackiej. Autor, skarżący się na usposobienie melancholijne, wybrał temat pracy doktorskiej (a tekst jej przynosi książka) pod wpływem artykułu prof. Jana Białostockiego pt. „Vanitas. Z dziejów obrazowania idei 'marności' i 'przemijania' w poezji i sztuce”. Przedmiotem szczególnego jego zainteresowania są katafalki i tzw. *castrum doloris* — niemal teatralne inscenizacje pogrzebów, po których pozostały w najlepszym razie „kieskie ryciny” a w najgorszym „drobiazgowo opisy” i rachunki. Te zaś sięgały zawrotnych sum.

Autor zebrał imponujący materiał, wyrażający się m.in. kilkoma tysiącami klatek mikrofilmów. W przedmowie wylicza kilkadziesiąt instytucji i osób, które mu pomogły. Sumienie uczzonego nakazywało mu wyliczyć

ponadto materiały, o których istnieniu wie, ale do których *nie mógł* dotrzeć. Warto je wyliczyć. Są to:

1) projekty XVIII-wiecznych katafalków w zbiorach obecnej Biblioteki Akademii Nauk Ukrainiejskiej SSR,

2) projekty dekoracji pogrzebowych i związane z pogrzebami lwowskimi ryciny z Kolekcji Pawlikowskich (z dawnego Działu Rozmaitości w Ossolineum). Brak ich w zbiorach Ossolineum we Wrocławiu, co oznacza że pozostały we Lwowie,

3) rzeźby z katafalku Józ. Potockiego, które obecnie znajdują się w Lwowskim Muzeum Historycznym i w Ermitażu w Leningradzie oraz podstawa katafalku w formie herbów (z katedry lwowskiej).

Informacje te są żalnym świadectwem odcięcia naukowców polskich od pozostałych we Lwowie materiałów naukowych.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

POLSCY STYPENDYŚCI W BERLINIE

W zeszycie 4-tym dwumiesięcznika *Akzente* ukazał się artykuł Waltera Höllera o literackich stypendystach w Berlinie. Tytuł: „Augenblicke mit Besuchern” („Chwile z przybyszami”). Po sylwetkach Ingeborgi Bachmann, W.H. Audena, Larsa Gustafssona, Marina Sorescu i Eduardo Sanguinetiego znajdujemy passus dotyczący Gombrowicza:

„Witold Gombrowicz: wynajął sobie wysoko położony pokój w Berlinie Zachodnim z oknami na wschód; wysoko położony, aby zawsze być także i na wschodzie — na tym wschodzie, gdzie nogą nie chciał stąpnąć. Przybierało to, jak sam powiadał, rankiem, a zwłaszcza w piękne i jasne dni jesienne, 'dni Bałtyku', a więc dni morza wschodniego, jakie czasem w Berlinie bywają, postać neurotycznego natręctwa. Żył w komunikacji poprzez powietrze, bez styku cielesnego; unosił się w powietrzu wschodnim, podczas kiedy pod powietrzem wschodnim — na wschodzie — odbywały się parady wojskowe; i podczas kiedy pod nim samym, na przestrzeni od hotelu Hilton aż po Halensee rozciągał się jeden wielki zachodni burdel; nie dawało mu to żadnego wyrównania, przeciwnie, jego głowa, jego oko, które tutaj we wzmózionej niż zwykle mierze musiało być również i mózgiem, były nadwężone; — wszystko go w nim bolało; zmysły wyrastały z niego jak długie pędy kartofli w zimie, wywisły z niego i wytręcały go z równowagi, — była to niezbyt poznawalna pochwytność, — wszystko co pochwytno było od niego daleko przy natarczywie nadmiernej podaży tego, co pozornie pochwytno; zwiślał za burtą, tworzył w tej sytuacji stosowną literaturę, po czym wypadł za burtę. Casus Gombrowicz jako przyczynek do tematu: literatura i społeczeństwo w sytuacjach wyjątkowych...”.

... „Polscy goście mieli pewną właściwość, która mnie szczególnie pociągała. Kiedy dokładniej nad tym rozmyślałem, konstelacja staje mi się jasna: mieli oni w swym pisarstwie i swoich myślach pewien punkt odniesienia, który nie da się inaczej określić, aniżeli słowem „niewinność” — i ochraniał tę niewinność skomplikowaną siecią logiki, dowcipu i nagłych pomysłów. I tak oto siedzieli wszyscy, których poznałem, za interesująco i bujnie krzewiącym się, pięknie wystrzyżonym i mało przejrzystym żywopłotem myśli, zza którego prześwitwały ich oczy i dobywały się ich głosy. Dawało im to pozycję wyjątkową i przewagę nad innymi — i czyniło z nich partnerów rozmowy, którzy z jednej strony byli mi bliscy, z drugiej zaś trzymali moją ciekawość w napięciu.

Czy wolno tak uogólniać? — Nie mówię o „Polakach w ogóle”, mówię

o polskich pisarzach, z którymi się spotkałem. Zbigniew Herbert np. wystrajał swój żywopłot rzezbami greckimi i wizerunkami faunów, zachowywał się tam cicho, póki znienacka nie wszczynął hałasów. — Różewicz nadał swemu żywopłotowi gęstą, nieprzystępną, szarą i kruchą konstrukcję zza której wyblyskiwał barwnymi promieniami.

Witold Wirpsza: palisady polskiej logiki, antylogiki i quasi-logiki, przez które usiłowały się przedrzeć całe tabuny bezpośrednich raczej i skłębionych marzeń sennych.

Gombrowicz zaś kazał na oczach swoich rozmówców żywopłotowi wystrzełać w górę, wyrzyszczać się i rozrastać tam i ówdzie, przyszyrzygał go i oskubywał, nie dając mu ani chwili spokoju i wypuszczał przezeń swoją niewinność niby języczki błędnych ogników na swego rozmówcę, aby z nim się droczyć i aby go ostrzec”.

Nadesłane nowości wydawnicze

- BONIECKA (Maria A.). *Ucieczka za druty*. Str. 157 i 3 nlb. (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1975).
- CHCIUK (Andrzej). *Emigrancka opowieść*. Str. 333 i 3 nlb. (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1975).
- PRAGIER (Adam). *Czas terazniejszy*. Str. 238 i 2 nlb. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1975).
- TYRMAND (Leopold). *Siedem dalekich rejsów*. Powieść. Str. 224. (Wyd. nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1975).
- WÓJCIK (Jan). *Balcerowi następcy*. Str. 179. (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1975).
- GACKI (Stefan K.). *Rozmyślań część trzecia 1969-1975*. Wiersze. Str. 61 i 3 nlb. (Wyd. Sigma Press, Albany, N.Y., 1975; cena dol. 7,50). W tekście sześć rysunków St. Piaskowskiego.
- KROK-PASZKOWSKI (Jan). *Między Brukselą a Moskwą*. Procesy integracyjne w Europie. Str. 159 i 1 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn, 1975).
- MUSKUS (Urszula). *Długi most*. Moje przeżycia w Związku Sowietkim 1939-1956. Wstęp Jan Pirożyński. Str. 192. (Nakładem Koła Lwowian, rodziny i przyjaciół, Londyn, 1975).
- NOWICKI (Zygmunt). Treść i forma. Str. 620 i 4 nlb. Nakładem autora. (Wykonano w Drukarni „Głosu Polskiego — Gazety Polskiej”, Toronto, Ont., 1975).
- PASZKIEWICZ (Mieczysław). *Muzeum Polskie*. Zeszyt V. Str. 193-271. (Katolicki Ośrodek Wydawniczy Veritas, Londyn, 1975).
- WEINTRAUB (Wiktor). *Profecja i profesura*. Mickiewicz, Michelet i Quinet. Str. 169 i 3 nlb. (Wyd. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1975; cena zł. 35).
- Mrągowo. Z dziejów miasta i powiatu. Str. 487 i 1 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1975; cena: zł. 55).
- BREITBACH (Joseph). *Derrière le rideau ou Le parti d'en rire*. Comédie. Préface de Jean Cau. Str. 203 i 5 nlb. (Editions Emile-Paul, Paryż, 1975).
- WYRWA (Tadeusz, Dr.). *Les idées politiques et juridiques de Jan Ostroróg, humaniste polonais du XV^e siècle*. Str. 5-35. (Nadbitka z *Revue historique de droit français et étranger*, Janvier-Mars 1975, No 1, éd. Sirey, Paryż).

Humor krajowy

Trzy rekiny pływają sobie po morzu i rozmawiają:
 — Wiesz — mówi pierwszy — wczoraj musiałem chyba zjeść Włocha, okropnie oliwa mi się odbija.
 — Nie masz szczęścia — powiedział drugi — ja zjadłem na pewno Francuza, jeszcze dzisiaj jestem pod rauszem...
 — Kogóż, do diabła, ja wczoraj zjadłem? — zawołał trzeci. — Całą noc rzygałem orderami...

W związku ze zbliżającym się VII Zjazdem Partii, nauczycielka w szkole wywołuje 15-letniego Krzysia i pyta:
 — Powiedz mi, co nam dał VI Zjazd?
 Krzysio drapie się w głowę i milczy.
 — G...o! — odpowiada mu z ostatniej ławki mały Jasio.
 — Jasiu! — woła nauczycielka — wiesz, że nie wolno podpowiadać. Krzysio pomyśli i sam do tego dojdzie...

W związku z tajemniczymi pożarami w Warszawie ludzie mówią:
 — Palimy się do VII Zjazdu...
 — Od czasu podwyżki cen na papierosy ludzie palą byle co...
 — Podobno herb Warszawy ma być zmieniony — zamiast syrenki — syrena strażacka...
 — Jeszcze jedna podwyżka — Warszawa spłonie jak szyszka...
 Ponadto warszawiacy witają się obecnie słowami: Niech będzie podpalony!

Zebrała Zofia HERTZ

KRAJ — BLOK WSCHODNI

23-7-75

W Warszawie zmarł, w wieku 87 lat, Ryszard Sobiszewski, artysta teatralny i filmowy, założyciel i wieloletni kierownik warszawskiej szkoły tańca. Brał udział w walkach o niepodległość, był kapitanem A.K.

19-8-75

Urna z prochami Aleksandra Janty-Połczyńskiego została przewieziona z USA do Warszawy i złożona w katakumbach na cmentarzu powązkowskim. ■ Korespondenci amerykańscy w Warszawie informują o coraz cięższej sytuacji emerytów z USA, którzy osiedlili się w PRL. Emeryci otrzymują obecnie tylko 55 zł. za dolara, a od roku 1978 mają otrzymywać 33 zł. Jedynie 20 % miesięcznych przekazów z USA emeryci otrzymują w bonach towarowych, za które można kupować w sklepach dolarowych, pozostałe 80 % wypłaca się im w złotówkach. W Polsce osiedliło się dotąd około 7.000 obywateli amerykańskich, głównie w Warszawie i w Krakowie.

28-8-75

W PRL wystąpiły braki benzyny wysokoekтанowej, etylina 94. Centrala Produktów Naftowych informuje, że zostało to spowodowane opóźnieniem dostaw zachodnich.

1-9-75

W Warszawie odbyła się międzynarodowa sesja statystyczna. Wzięło w niej udział ponad 900 naukowców z 63 krajów. ■ Na Węgrzech drastycznie zredukowano import towarów z Zachodu, nie zaliczanych do artykułów pierwszej potrzeby. Ustalono również, że w nadchodzącej pięcioletniej zakupy towarów konsumpcyjnych będą realizowane w pierwszym rządzie w krajach socjalistycznych. Import ze strefy rublowej ma wzrosnąć o 60 %, podczas gdy z krajów o rozliczeniach dolarowych jedynie o 18 %.

4-9-75

Poczta Polska wydała serię 5-ciu wielobarwnych znaczków, przedstawiających udział Polaków w życiu Ameryki, wartości: 1 zł., 1,50, 2,70, 4 i 6,40. Ponadto wydano w formie bloku trzy znaczki przedstawiające George Washingtona, Tadeusza Kościuszkę i Kazimierza Pułaskiego. ■ XVIII Plenum KC PZPR w Warszawie rozpatrzyło projekt wytycznych Komitetu Centralnego na VII Zjazd PZPR oraz powzięło uchwałę w sprawie zwołania VII-go Zjazdu partii na 8. 12. bież. roku i dyskusji przedzjazdowej. Wytyczne dotyczą w wielkiej mierze przyszłego planu gospodarczego na lata 1976-1980. W myśl założeń dochód narodowy w przyszłej pięcioletce ma wzrosnąć o około 40 %. „Wytyczne” zapowiadają „potwierdzenie w Konstytucji historycznego faktu, że Polska Rzeczpospolita jest państwem socjalistycznym, w którym władza należy do ludu pracującego miast i wsi, a kierowniczą siłą jest Polska Zjednoczona Partia Robotnicza”. W innym zaś miejscu: „Kierując się interesami narodu państwo wymaga, aby wszystkie ogniwa Kościoła katolickiego i innych związków wyznaniowych przestrzegały lojalności wobec socjalistycznego systemu społeczno-ekonomicznego, jako trwałej formy ustrojowej rozwoju Polski oraz wobec podstawowych założeń wewnętrznej i zagranicznej polityki państwa”. ■ Były I sekretarz KW PZPR w Krakowie, Józef Klasa, mianowany został ambasadorem w Meksyku.

8-9-75

W Poznaniu podpisano umowę polsko-sowiecką w sprawie wzajemnej wymiany maszyn włókienniczych. Wartość podpisanych kontraktów wynosi 100 milionów złotych dewizowych. ■ W Krakowie odbył się XVI światowy kongres medalierstwa (FIDEM), w którym wzięło udział 200-tu uczestników z 25-ciu krajów. Do zarządu wybrano m.in. polskiego artystę rzeźbiarza, Wiesława Mueldner-Nieckowskiego. ■ W swym przemówieniu na dożynkach premier Jaroszewicz stwierdził, że tegoroczne zbiory są mniejsze od zaplanowanych. Nastąpił spadek produkcji zwierzęcej, np. spadło pogłowie krów i ich mleczność, oraz pogłowie trzody chlewnej. Premier zapowiedział import zbóż, rezygnację z eksportu masła, oraz poważne ograniczenie eksportu mięsa.

10-9-75

W Moskwie podpisano węgiersko-sowiecką umowę handlową na następne pięć lat. Umowa przewiduje koordynację planów pięcioletnich obu krajów. Ich wzajemny handel ma wzrosnąć o 40 %, z 10 mld. rubli w latach 1971-75 do 14 mld. rubli w latach 1976-80. Węgierski import paliw i energii wzrośnie o 60 %. Ponieważ nie podano ilości, nie wiadomo ile z tego wzrostu jest wzrostem realnym, a ile wywodzi się ze zwykłej ceny sowieckiej ropy. Węgry zapłacą za import m.in. inwestycjami w sowieckiej ropy i gazie ziemnym oraz zbudowaniem Sowietom fabryki papieru.

11-9-75

Największa w historii umowa handlowa między firmą austriacką a krajem komunistycznym podpisana została w Wiedniu. Partnerami są Steyer Daimler Puch i PRL. Firma austriacka dostarczy Polsce najpierw maszyn, części zamiennych i dokumentacji wartości 100 milionów dolarów, a następnie (do roku 1980) samochodów ciężarowych wartości 66 milionów dolarów. Spłata długu nastąpi do roku 1990. W ramach spłaty Polska dostarczy motorów dieslowych wartości 111 milionów dolarów. Transakcja finansowana jest przez austriacki Credit Anstalt Bankverein, który udzielił Bankowi Handlowemu w Warszawie pożyczki na sumę 180 milionów dolarów. Przy podpisaniu umowy obecni byli kanclerz Austrii Kreisky i premier PRL Jaroszewicz. ■ W Moskwie podpisano sowiecko-łoską umowę, na podstawie której Włochy udzielił Sowietom 900 milionów dolarów pożyczki na zakup włoskich maszyn. Długoterminowa spłata pożyczki ma charakter „kompensacyjny”, tzn. część długu spłaconą będzie produktami wytworzonymi przez obiekty uzyskane przez pożyczkobiorcę.

13-9-75

W Krakowie odbyło się uroczyste posiedzenie zarządu głównego Związku Literatów Polskich, zorganizowane w 30-tą rocznicę pierwszego ogólnopolskiego walnego zjazdu Związku Zawodowego Literatów Polskich. Złotymi odznakami za pracę społeczną dla miasta Krakowa zostali odznaczeni: Jarosław Iwaszkiewicz, Halina Auderska, Paweł Hertz, Jan Koprowski, Janusz Krasinowski, Jerzy Putrament i Zbigniew Żaluski. Ponadto Krzyż Komandorski orderu Odrodzenia Polski otrzymali: Jerzy Broszkiewicz i Antoni Gołubiew; Krzyż Oficerski — Hanna Malewska; Krzyż Kawalerski — Mirosława Jaworzakowa. Odznaczono m.in. odznakami: Zasłużonego Działacza Kultury, Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej oraz im. Janka Krasickiego. Jak pisał A. Słonimski w swym felietonie w *Tygodniku Powszechnym* Związek Literatów nie miał nigdy żadnego związku z Krakowem.

18-9-75

Prof. Witold Rudowski, wybitny chirurg, dyrektor Instytutu Hematologii w Warszawie, został wybrany w Edynburgu przewodniczącym międzynarodowej Federacji towarzystw chirurgicznych. Federacja reprezentuje ponad 100 tysięcy chirurgów z całego świata. ■ Rada Państwa PRL mianowała Stanisława Gugałę na stanowisko ambasadora w Benglańskiej Republice Ludowej, Bogumiła Rychłowskiego w Chińskiej Republice Ludowej, a Zbigniewa Sohubę w Federalnej Republice Nigerii.

20-9-75

Prasa PRL podaje, że w najbliższym pięcioleciu uspołeczniona gospodarka rolna przejmie 1,5-2 milionów ha gruntów. Obszar więc sektora uspołecznionego w rolnictwie ma wynieść w końcu 1980 roku 5,5 do 6 milionów ha, czyli około 28% do 31% powierzchni użytków rolnych w Polsce. ■ W Poznaniu odbyło się spotkanie gospodarce „Kooperacja 1975”, w którym wzięli udział przedstawiciele 98-miu firm przemysłowych i handlowych polonijnych z 14-tu krajów. W ub. roku obroty z firmami polonijnymi wyniosły 200 milionów złotych dewizowych.

22-9-75

W Warszawie rozpoczęła się IV Warszawska Jesień Poetycka. Bierze w niej udział ponad 120 poetów i krytyków z kraju i z zagranicy. Z Zachodu biorą udział Marian Czuchnowski, Marian Pankowski, Jerzy Niemojowski oraz Bolesław Taborski.

23-9-75

W Polsce rozpoczęto wyświetlanie filmu „Noce i dnie”, opartego na powieści Marii Dąbrowskiej. ■ Odbyło się posiedzenie Biura Politycznego KC PZPR, które w dużym stopniu było poświęcone federacji Socjalistycznego Związku Młodzieży Polskiej oraz ruchowi młodzieżowemu. ■ Droga do Berlina jest trudniejsza niż droga do Helsinek: zdaniem ekspertów zachodnich taką, przykrą dla siebie i dość zaskakującą, naukę wyciąga w tych dniach Breżniew z coraz większych przeszkód, na jakie natrafia przygotowanie wspólnej deklaracji europejskich partii komunistycznych. Mówi się nawet o możliwości skrajnej — tj. o rezygnacji Breżniewa ze zwołania jesienią pankomunistycznej konferencji w Berlinie. Oidium Moskwy za niepowodzenia zwraca się przeciwko dwóm promotorom konferencji — partii włoskiej i polskiej. Najtwardszym do zgryzienia orzechem okazała się partia hiszpańska: Santiago Carillo, przy poparciu Dolores Ibarruri (słynnej Pasjonarii), odmawia pójścia na jakiegokolwiek kompromis z koncepcją kominformowską Ponomarewa i Katuszewa. Partia sowiecka próbuje, przy pomocy partii francuskiej i czeskiej, zorganizować wśród komunistów hiszpańskich frondę pod wodzą generała Listera, który jest ściśle związany z Cunhailem.

25-9-75

W Warszawie rozpoczął się III międzynarodowy zjazd tłumaczy literatury polskiej. Bierze w nim udział około 120-tu osób z 25-ciu państw. ■ W Warszawie i Krakowie odbyło się VI międzynarodowe sympozjum dydaktyków historii krajów socjalistycznych. Wzięli w nim udział naukowcy z 8-miu państw. ■ We Władimirze (ZSSR) odbył się proces b. redaktora półlegalnego pisma *Wiecz*, Władimira Osipowa. Został on skazany na 8 lat więzienia za „działalność i propagandę antysowiecką”.

27-9-75

Na uczelniach w Polsce studiuje 650 studentów polskiego pochodzenia z 23-ch państw — z wyjątkiem Związku Sowieckiego. ■ Zmarł w War-

szawie, w wieku 68 lat, Kazimierz Moczarski, zasłużony żołnierz AK, w konspiracji był w kierownictwie walki podziemnej okręgu warszawskiego oraz kierownikiem BIP-u Komendy Głównej; aresztowany w 1945 roku, skazany na karę śmierci zamienioną na dożywotnie więzienie, został zrehabilitowany w 1956 roku.

30-9-75

W Warszawie zmarł doc. Juliusz Waclawek, znany działacz partyjny i publicysta.

1-10-75

Czasopisma naukowe w PRL przeżywają duże trudności spowodowane brakiem papieru. Czasopisma humanistyczne zmniejszyły objętość o 25%, co ma obowiązywać w latach 1976-80. Należy zaznaczyć, że cała produkcja książek i czasopism pochłania w PRL jedynie 4-5% całości produkcji papieru. ■ Podpisano polsko-sowiecką umowę o dostawę ropy naftowej w latach 1976-80. W ramach tej umowy Polska zakupi 50 milionów ton ropy i 6,5 miliona ton produktów naftowych. Dostawy ropy w 1976 roku wyniosą 11,7 mln. ton (w latach 1973 i 1974 wynosiły one 10,5 mln. ton rocznie) — oznacza to, że po 1976 roku dostawy te zmaleją. Tymczasem okolicznościowy komunikat PAP mówi, że „zwiększenie dostaw ma decydujące znaczenie dla polskiego przemysłu chemicznego i motoryzacyjnego”. Polska otrzyma dodatkowe ilości ropy, gazu ziemnego i innych surowców jako zapłatę za polskie inwestycje kapitałowe w Sowietach. Te dostawy są poza omawianą umową handlową. Natomiast czeskosłowacki minister energetyki, Vlastimil Ehrenberger, powiedział w parlamencie, że dostawy sowieckiej ropy dla krajów RWPG będą w pięcioleciu 1976-1980 wyższe o 43% od dostaw ubiegłej pięcioletki. ■ W wydanym przez Instytut Prawniczy opracowaniu zbiorowym pod redakcją J. Jasińskiego „Zagadnienia przestępczości w Polsce” znajduje się nieco danych o oficjalnie w PRL nieistniejących przestępstwach politycznych. Na podstawie przepisów zawartych w rozdziale 19 (przestępstwa przeciwko podstawowemu interesom państwa) i 34 (przestępstwa przeciwko naruszeniu tajemnicy państwowej i służbowej) Kodeksu Karnego jest po kilkanaście skazań rocznie. Najliczniej jest reprezentowany rozdział 36-ty K.K. (przestępstwa przeciwko porządkowi publicznemu). Na podstawie rozdziału 36-go skazano: w 1970 r. — 857 osób, w 1971 r. — 1.264, w 1972 r. — 942, w 1973 r. — 783. Około połowy tych skazań było związanych z nielegalnym przekroczeniem granicy, a około jednej trzeciej z nielegalnym posiadaniem broni.

2-10-75

Warszawski tygodnik *Literatura*, na podstawie danych pracowni statystyki Biblioteki Narodowej, podaje wysokość nakładów książek wydanych po wojnie w tysiącach, są to: „Pan Tadeusz” — 4.488, „Przedwiośnie” — 1.534, „Lalka” — 1.260, Trylogia — 1.185, „Nad Niemnem” — 829, „Chłopi” — 750. Najbardziej poszukiwani autorzy: Sienkiewicz, Kraszewski, Żeromski, Prus, Mickiewicz, Orzeszkowa, Konopnicka, Hemingway, Rodziewiczówna, Siesicka, Reymont, Dąbrowska, Słowacki, Nałkowska, Żukrowski, Iwaszkiewicz, Mniszkówna, Dostojewski, Faulkner, Gątczyński.

3-10-75

Zmarła w Warszawie, w wieku lat 70 znana artystka baletowa Zizi Halama (Józefa Helena Sędzimir).

5-10-75

W ZSSR funkcjonuje ponad 250 obiektów przemysłowych zakupionych w PRL. M.in. 89 zakładów przemysłu drzewnego i papierniczego, 36 zakładów przemysłu chemicznego (w większości fabryk kwasu siarkowego), 35 wytwórni materiałów budowlanych i 16 cukrowni.

9-10-75

Zmarła w Warszawie, w wieku 72 lat Julia Prajs-Brystygier, płk UB, dyrektor departamentu politycznego w Ministerstwie Bezpieczeństwa. Usunięta po 1956 roku zaczęła pisać powieści jako Julia Prajs.

11-10-75

Zmarł w Warszawie, w wieku 66 lat, prof. Jan Zygmunt Jakubowski, historyk literatury polskiej, redaktor miesięcznika *Poezja*.

ZACHÓD — EMIGRACJA

21-8-75

W Paryżu zmarł, w wieku lat 70, prof. Jean Fabre, profesor Sorbony, członek Polskiej Akademii Nauk, wybitny znawca literatury polskiej. ■ Nowym dyrektorem tygodnika *Lud* w Kurytybie (Brazylia) został ks. Władysław Biernacki, prowincjał kurytybskiej prowincji księży misjonarzy.

10-9-75

Główna Komisja Skarbu Narodowego w Londynie ogłosiła, że w roku 1972 wpływy wynosiły 25.976,80 funtów, w roku 1973 — 28.763,09 funtów, w roku 1974 — 39.348,81 funtów. Skarb Narodowy dysponuje w bież. roku siecią 34 komisji krajowych (stanowych w USA i Australii).

11-9-75

Cambridge University Press wydało II-gie wydanie książki Jana M. Ciechanowskiego „Warsaw Rising”. Pierwsze wydanie ukazało się w 1974 roku.

15-9-75

Ukazał się raport organizacji *Amnesty International* za ub. rok. Raport wymienia 107 krajów, w tym Argentynę, Iran, Irak, Południową Afrykę, Związek Sowiecki i Ugandę, które na skalę niepokojącą łamią Deklarację Praw Człowieka, mimo że są członkami ONZ. W swej przedmowie do raportu przewodniczący organizacji, Dirk Boerner, stwierdza m.in. „Zbyt wiele krajów przyjmuje Deklarację Praw Człowieka tylko pozornie, przyznając prawa ludzkie tylko tym jednostkom, które są bezkrytycznie posłuszne władzom i istniejącemu systemowi politycznemu. W ten sposób kraje te niszczą i obniżają wartość praw ludzkich, zamieniając je w przywileje”. A PRL?

17-9-75

W Monachium zmarł, w wieku 81 lat, Wacław Suchenek-Sucheki, w okresie międzywojennym naczelnik Wydziału Bezpieczeństwa w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. ■ W Genewie zmarł, w wieku 86 lat, Michał Jeremijew, b. ambasador, po wojnie dziennikarz, bardzo zaprzyjaźniony z Polonią w Szwajcarii.

20-9-75

W Sztokholmie odbył się wieczór Towarzystwa Przyjaciół *Kultury*, na którym Józef Dajczegwand wygłosił odczyt pt. „Prądy nurtujące młodzież polską”.

24-9-75

Rząd amerykański postanowił rozciągnąć na Polskę i inne kraje bloku prowizoryczne embargo, nałożone ostatnio na ZSSR, a dotyczące zakupu zboża w Ameryce. Urzędnicy Departamentu Stanu motywują tę decyzję koniecznością ustalenia definitywnych danych o zbiorach; przewiduje się, że będą one znane w połowie października bież. roku. Decyzja ta zbiegła się z wizytą w Waszyngtonie ministra Rolnictwa PRL, Kazimierza Barcikowskiego. Z dobrze poinformowanych źródeł przeciekła wiadomość, że Barcikowski zamierza zaproponować swoim amerykańskim rozmówcom umowę długoterminową, na podstawie której PRL zobowiązałaby się do zakupu dwóch i pół miliona ton zboża amerykańskiego rocznie. ■ Ukazała się francuska edycja *Kontynentu*, wydawana przez Gallimarda. W numerze tym są m.in. artykuły Sołżenicyna, Sacharowa i Ionesco. *Kontynent*, oprócz wydania w języku rosyjskim, ukazuje się również w języku niemieckim i włoskim.

25-9-75

W Aix-en-Provence, pod auspicjami Centre National de la Recherche Scientifique, odbyła się międzynarodowa konferencja z udziałem ekonomistów z obu części Europy, poświęcona problemom konsumpcji na Wschodzie i na Zachodzie. Przedmiotem obrad były kolejno porównawcze badania: poziomów konsumpcji (referaty prof.prof. K. Sokołowskiego i H. Dunajewskiego), praw konsumenta i organizacji rynku dóbr konsumpcyjnych (referaty prof.prof. S. Wickhama, G. Gas i C. Quin), polityki gospodarczej w dziedzinie konsumpcji i perspektywicznych modeli konsumpcji (referaty prof.prof. P. Kende i R. Krzyżewskiego). Największe zainteresowanie i najpoważniejszą dyskusję wywołał referat prof. H. Dunajewskiego, współorganizatora konferencji, na temat „Porównanie poziomu życia: Francja-Polska 1917-1972”. Czytelnicy *Kultury* pamiętają zapewne — dzięki krytycznemu omówieniu Antoniego Gutowskiego (*Kultura*, wrzesień 1974) — wspólne badania Głównego Urzędu Statystycznego i jego francuskiego odpowiednika INSEE na temat poziomu i struktury cen w Paryżu i w Warszawie. Referat H. Dunajewskiego zawierał m.in. krytykę założeń metodologicznych i wyników powyższych badań. Z wyciężeń zawartych w referacie przytoczmy dla przykładu jedno. Różnica poziomu dochodów przypadających na rodzinę pracowników, należących do kadry kierowniczej i na rodzinę robotniczą jest w Polsce 11-12% większa niż we Francji. Materiały z konferencji zostaną opublikowane w jednym z najbliższych numerów kwartalnika C.N.R.S. — *Revue de l'Est*.

26-9-75

Staraniem Związku Pisarzy w Londynie odbył się odczyt Władysława Bartoszewskiego z Warszawy o historii Polski Podziemnej.

28-9-75

Zmarł nagle w Rzymie, w wieku 73 lat, biskup Lucjan Bernacki, biskup pomocniczy arcybiskupa gnieźnieńskiego Kardynała Stefana Wyszyńskiego, Prymasa Polski.

1-10-75

Bank sowiecki, Woschod Handelsbank, z siedzibą w Zurychu, ogłasza że przyjmuje rachunki numerowe, całkowicie anonimowe, z gwarancją dyskrecji co do właściciela konta, wysokości wkładów i zawieranych transakcji. Bank wprowadza również czeki turystyczne w rublach dla osób udających się do ZSSR. Bank podaje, że czeki niewykorzystane będą honorowane przez Woschodbank w dewizach wybranych przez klienta. Idealna przykrywka dla finansowania wszystkich akcji dywersyjnych na Zachodzie. ■ Prasa za-

chodnia donosi o wzrastającym zadłużeniu Polski (a także innych krajów socjalistycznych). By pokryć deficyt bilansu handlowego, obliczony w tym roku na 2 miliardy dolarów. Warszawa zaciąga u zachodnich bankierów pożyczki na miarę 50 milionów dolarów tygodniowo. Suma ta odnosi się tylko do kredytów krótko- i średnioterminowych; nie obejmuje pożyczek inwestycyjnych, ani zbożowych. Uzyskiwanie nowych kredytów staje się coraz trudniejsze (szczególnie w Bonn). Banki zachodnie są obecnie bardziej ostrożne i żądają wyższego oprocentowania. Odbija się to zapewne na przygotowywanym obecnie planie pięcioletnim, jak również na stopie życiowej ludności. ■ W Sao Paulo (Brazylia) została otwarta wystawa polskiego malarza Macieja Babińskiego (syna Witolda). W ciągu dwóch dni zakupiono 48 obrazów na 49 wystawionych.

5-10-75

Zmarł w Edynburgu, w wieku 75 lat, Stanisław Affeltowicz, działacz kombatancki i społeczny. ■ Prof. Stanisław Swianiewicz — przed wojną profesor ekonomii uniwersytetu Stefana Batorego w Wielnie, zaś po wojnie uniwersytetu w Halifax (Kanada) zamieszkały od niedawna w Londynie jako emeryt — został ciężko pobity przez nieznanego sprawcę na ulicy Londynu. Prof. Swianiewicz, jako jedyny żyjący świadek Katynia, miał wziąć udział w *The International Sakharow Hearing* które zaczyna się 17 października w Koppenhadze. Mimo ciężkiego stanu zdrowia prof. Swianiewicz jest zdecydowany wziąć w tych obradach udział.

6-10-75

Zmarła w Richmond, Surrey (Anglia) Mina Tomkiewicz, dziennikarka i autorka (m.in. „Książki i myszy”), b. więzień Bergen-Belsen.

9-10-75

Zmarł w Londynie płk Piotr Perucki, legionista Pierwszej Brygady, w czasie ostatniej wojny dowódca batalionu 3-ej dywizji Strzelców Karpackich, działacza społeczny i katolicki. Żył lat 80.

10-10-75

Zmarł w Londynie Jan Ostaszewski, sekretarz Szkoły Nauk Politycznych i Społecznych w Londynie.

15-10-75

Zmarł w 79-tym roku życia prof. inż. Spiridon Dowhał, przewodniczący Ukraińskiej Rady Narodowej, uczestnik walk wyzwoleniczych, wybitny ukraiński działacz społeczno-polityczny, członek Ukraińskiej Partii Socjalistycznej.

18-10-75

Zmarł w Rzymie, w wieku 74 lat, Jerzy Braun, pisarz i filozof. Był ostatnim przewodniczącym podziemnej Rady Jedności Narodowej. Skazany po wojnie w PRL na dożywotnie więzienie, zwolniony w 1956 roku, mieszkał w ostatnich latach we Włoszech.

24-10-75

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się odczyt Stefana Kisielewskiego pt. „Jak widzę przyszłość Polski”.

JESZCZE O SPRAWIE PROFESORÓW LWOWSKICH

Polska Agencja Prasowa w Warszawie podała wiadomość, że sąd w zachodnio-niemieckim Berlinie odwołał listy gończe, rozesłane za b. oficerem SS

Walterem Kutschmannem, poszukiwanym od lat pod zarzutem morderstw popełnionych na Żydach w roku 1942 w Brzeżanach i w Podhajcach. Jak wiadomo, tenże Kutschmann przyznał się swego czasu Karolinie Lanckorońskiej, że wraz z Hauptsturmführerem Hansem Krügerem był w zespole oficerów gestapo, którzy aresztowali i rozstrzelali profesorów polskich we Lwowie w lipcu 1941 roku. Z końcem czerwca bież. roku, dzięki staraniom inż. Szymona Wiesenthala Kutschmann został zdemaskowany w Buenos Aires i zatrzymany przez policję argentyńską, po kilku godzinach jednak odzyskał wolność i zbiegł, gdyż ambasada NRF nie wystąpiła z żądaniem ekstradycji. Prezes polskiego Związku b. kacetowców w Wielkiej Brytanii, dr Stefan Benedykt zgłosił protest do ambasadora NRF w Londynie, na co otrzymał odpowiedź zapewniającą, że listy gończe zostały wobec ucieczki Kutschmanna rozszerzone na inne kraje. Jak widać z decyzji sądu w Berlinie Zachodnim, nastąpił w ciągu miesiąca radykalny zwrot w tej sprawie, zwrot poniekąd nawiązujący do wcześniejszego postanowienia, wyłączającego z dochodzeń Hansa Krügera. Potwierdzaoby to tezę Wiesenthala, że rząd w Bonn nie chce doprowadzić do procesu przeciw sprawcom śmierci profesorów lwowskich. Proces taki musiałby bowiem wykazać bezpodstawność pokazowego wyroku, wydanego w roku 1960 przez sąd komunistyczny w Berlinie Wschodnim, który skazał zaocznie b. ministra Teodora Oberländera na dożywotnie więzienie jako winnego m.in. tej właśnie zbrodni. Uznanie teraz, w publicznym procesie, że winę ponosi nie Oberländer lecz inni sprawcy, byłoby kompromitujące dla władz NRD, a obecnemu rządowi w Bonn podobno wcale nie zależy na zadrażnianiu stosunków z Niemiecką Republiką Ludową...

KRONIKA AUSTRALIJSKA

Od kilku lat trwa odbudowa starego kościoła w miejscowości Polish Hill River (South Australia), wybudowanego przez pierwszą liczną grupę polskich osadników w Australii, i poświęconego w 1871 roku. Od wielu lat kościółek ten był w ruinie i dopiero Komitet Odbudowy pod patronatem ks. Tadeusza Miksy podjął się doprowadzenia budynku do porządku i stworzenia w nim muzeum polonijnego. Obecnie kościółek jest już całkowicie odremontowany. Dzieci ze szkół Polskiej Macierzy Szkolnej zasadziły wokół kościoła 40 drzewek, a Związek Polaków i Polska Macierz Szkolna dokupiły 9 akrów ziemi, co powiększyło posesję do 11 akrów. Komitet Odbudowy zebrał dotychczas Dol.A. 9.485,72, tak że obiekt nie jest już zadłużony. Niedawno Komitet otrzymał obraz Matki Boskiej, przywieziony do Australii w 1870 roku przez pierwszego polskiego kapelana i duchowego opiekuna Polaków w Polish Hill River, ojca Leona Rogalskiego, T.J. Prace podjęte przez ofiarnych członków Komitetu postępują nadal pomyślnie. ■ W budżecie państwowym na rok 1975/76 minister Skarbu prelimitował 23 miliony 600 tysięcy dolarów A. na naukę języka angielskiego imigrantów. Jest to suma wyższa o 2.300 tysięcy niż przewidziana w poprzednim roku budżetowym. Budżet przewiduje również wzrost opłat pobieranych od tzw. „Assisted Migrants”. Dotychczasowa kwota \$A. 75,00 od osoby, którą imigrant obowiązany był zapłacić za bilet wdroźnie do \$A. 150,00 od osoby. Ze względu na panujące bezrobocie rząd nie ustalił — jak to czynił dawniej — liczby imigrantów, którzy mogą przybyć w danym roku budżetowym. Ministerstwo imigracji ma kierować się potrzebami rynku pracy przy wydawaniu wiz imigracyjnych. Jako „Assisted Migrants” nie będą już mogli przyjeżdżać rodzice imigrantów. Z ulg tych będą korzystać tylko żony i nie pracujące dzieci imigrantów, jak również niektórzy uciekinierzy i pewne kategorie

wykwalifikowanych robotników. ■ 19. 8. br. odbyło się na University of Melbourne „Polish Colloquium”, zorganizowane przez Australia and New Zealand Slavists Association. Program obejmował następujące referaty: dr K. Windle z University of Queensland „Sienkiewicz abroad”; dr G. Klim — Australia National University „Stanisław Przybyszewski's expressionism: between philosophy and mysticism”; Mrs. V. Kern z Murdoch University „Nature of Stefan Żeromski's creative Art”; Mrs. Alexandra Dunwill z Monash University „Wizja przyszłości sztuki w pismach filozoficznych i dramatach St. I. Witkiewicza”; dr R. Sussex z Monash University „Preliminaries to a linguistic analysis of Australian Polish”; dr L. Stróżecka „Patologia samotności u Dostojewskiego”; A. Gawroński „Changing educational patterns in post-war Poland”; Mrs. L. Chramcow „Polski dramat szkolny XVI-XVII wieku i jego wpływ na wschodnio-słowiańskie intermedia”; Mrs. Z. Zarębska „Polska sztuka gotycka”. „Polish Colloquium” było pierwszą tego rodzaju imprezą w Australii. Prócz naukowców australijskich w kolokwium wzięli udział również profesorowie: Robert Anty z Oxfordu i Żekulin z Toronto. Stroną organizacyjną kierowali p. N. Christensen z University of Melbourne i dr Roland Sussex z Monash University. ■ Dwudziestosiemioletni uciekinier z Rumunii, który osiadł w Australii, przeprowadził w sierpniu kilkudniową głodówkę na Melbourne City Square, protestując przeciwko rządowi rumuńskiemu, który odmówił wypuszczenia z Rumunii jego syna. Demonstracja poskutkowała — syn otrzyma wizę wyjazdową z Rumunii. ■ Na zaproszenie Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii przybył do Australii Alfred Urbański, premier emigracyjnego rządu RP w Londynie. Pobyt p. Urbańskiego w Australii ma potrwać trzy miesiące.

Jerzy DOBROSTAŃSKI

KRONIKA KANADYJSKA

Zmiana, względnie projekt całkowicie nowej ustawy imigracyjnej mimo wielokrotnych zapowiedzi nie wpłynie w najbliższym czasie do Izby Gmin, natomiast zdaje się nie ulegać wątpliwości, że zostaną wydane do ustawy imigracyjnej przepisy wykonawcze, celem znacznego zmniejszenia przyływu imigrantów. Bezpośrednim powodem jest sytuacja na rynku pracy, tj. wzrastające bezrobocie w ośrodkach miejskich. Odczuwa się natomiast brak siły roboczej w rolnictwie, ale właściwie ma to charakter sezonowy. ■ W nowo wybranej Izbie Ustawodawczej prowincji Ontario ilość posłów polskiego pochodzenia wzrosła do 4-ch. W poprzedniej Izbie zasiadało po jednym pośle z każdej partii: P. Yakabusky — konserwatysta, Kaszub — okręg Barry's Bay, B. Newman — liberał z Windsor i dr J. Duksza — Nowa Partia Demokratyczna, Toronto. Wszyscy oni uzyskali mandaty z tym, iż w Toronto, w jeszcze jednym okręgu zdobył mandat Ed. Ziembra, również z Nowej Partii Demokratycznej. Wszyscy wymienieni, prócz dr. Dukszy, urodzili się w Kanadzie. Liberalnym kontrkandydatem dr. Dukszy był Stan Mamak, adwokat polskiego pochodzenia. ■ Dr Jerzy Kłoczowski, wybitny mediewista, profesor KUL-u, który wziął udział w międzynarodowym zjeździe historyków w San Francisco, został zaproszony na kilka wykładów i seminariów przez Uniwersytet w Toronto i w Ottawie, które odbyły się w październiku bież. roku. Korzystając z jego pobytu w Kanadzie instytucje polonijne w Toronto, Ottawie i Montrealu zaprosiły go na wygłoszenie prelekcji dla Polonii. ■ W Scarborough College — Uniwersytet Toronto, na wydziale socjologii rozpoczął wykłady dr Henry Radecki, dotychczas pracownik naukowy York University, badacz i autor kilku cennych prac na temat

problemów etnicznych w Kanadzie, w tym również polonijnych. ■ W dniach 10-11 października bież. roku odbyła się w McMaster University w Hamiltonie konferencja na temat „Państwa komunistyczne w erze *détente*”, zorganizowana przez międzywydziałowy komitet dla spraw komunistycznych i wschodnioeuropejskich, na którego czele byli profesorowie: P. J. Potichny (przewodniczył konferencji), A. Bromke (przewodniczący programu) i K. H. Pringheim. Na sesji poświęconej stosunkom między ZSSR a Chinami wygłosili referaty: V. Aspaturian (Pennsylvania State University), K. H. Pringheim (McMaster University), J. W. Strong (Carleton University). Na sesjach poświęconych państwom europejskim referaty wygłosili: V. C. Chrypiński (University Windsor) o Polsce, H. G. Skilling (Toronto) o Czechosłowacji, J. Starrels (George Washington University) o NRD, G. Fischer (Acadia University) o Rumunii, J. F. Brown (Radio Wolna Europa) o Bułgarii a P. R. Prifti (Massachusetts Institute of Technology) o Albanii. Na sesji poświęconej zagadnieniom gospodarczym wygłosili referaty: Z. A. Fallenbuehl (Windsor), J. P. Hardt z Biblioteki Kongresu USA i A. Bondar z Uniwersytetu Warszawskiego, który omawiał organizację i działalność Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej — RWP. ■ W dniach 24-26 października bież. roku w Winnipeg odbyła się doroczna konferencja Canadian Ethnic Studies Association, na której wygłoszono szereg interesujących referatów, dotyczących aktualnych problemów etnicznych, a jedna z sesji była poświęcona wyłącznie historii poszczególnych grup etnicznych. Omawiano m.in. następujące problemy: perspektywy etnicznego pluralizmu, migracja grup mniejszościowych i polityka mniejszościowa, pluralizm i identyfikacja, poszukiwanie identyfikacji przez tubylców i przez mniejszości etniczne.

B. HEYDENKORN

KRONIKA AMERYKAŃSKA

15. 9. br. Margaret Thatcher, posłanka konserwatywna, stojąca na czele opozycji w parlamencie brytyjskim, wygłosiła w Nowym Jorku programowe przemówienie. Stwierdzając, że nieustanny pościg za równością przynosi szkody gospodarce brytyjskiej i jest główną przyczyną „angielskiej choroby”, zauważyła ona, że podział dochodów ludności w Anglii jest obecnie zbliżony do polskiego, a mianowicie górny jeden procent ludności zabiera 4 % globalnej sumy dochodów, górne 10 % ludności ma dochód dwa razy większy niż przeciętny dochód, a dolne 10 % nieco mniej niż pół dochodu przeciętnego. ■ 8. 9. br. zmarł w Kalifornii, w wieku 83 lat, Stefan Mroźewski, wybitny malarz i grafik. ■ 16. 9. br. odbyło się posiedzenie Zgromadzenia Europejskich Narodów Ujarmionych (ACN). Przewodniczącym wybrano Stefana Korbońskiego. ■ Z powodu trudności finansowych została zamknięta drukarnia spółki wydawniczej „Czas Inc.” w Brooklinie. W związku z tym tygodnik *Czas*, organ Zjednoczenia Polsko-Narodowego będzie się ukazywał jako miesięcznik. Pismo to bardzo ściśle współpracowało z władzami PRL. ■ 30. 9. br. Firma General Motors w Nowym Jorku wydała komunikat o budowie fabryki ciężarówek dostawczych w Polsce. Rokowania między firmą a rządem PRL są na ukończeniu i umowa ma być podpisana z początkiem 1976 roku. W ramach umowy G.M. da pomoc techniczną i dokumentacyjną. Rząd polski będzie właścicielem i zarządcą fabryki. Umowa ma charakter „kompensacyjny”, tzn. spłata kredytu firmie amerykańskiej nastąpi częściowo w formie ciężarówek zbudowanych w nowopowstałej fabryce. Będą one przeznaczone na sprzedaż w Europie Zachodniej. Pierwsze wozy z nowej fabryki ukażą się nie wcześniej niż w 1980 roku. ■ W dniach 30-go

i 31 sierpnia oraz 1 września bież. roku odbył się w Buffalo IX Zjazd krajowy delegatów Stowarzyszenia Polskich Kombatanów. Wzięło w nim udział 76 delegatów i pełnomocników. W sprawozdaniu podkreślono, że w czasie zakończonej kadencji powstały dwa nowe koła SPK w Chicago i w Portland, Or.; do kół terenowych zapisało się 450 nowych członków, Zarząd Główny pracuje bezinteresownie. Świadczenia finansowe Stowarzyszenia są znaczne. Tak np. wydano 7.500 dolarów na pomoc inwalidom wojennym; 1.500 dol. na konserwację cmentarzy wojennych; 8.000 dol. na amerykańską Częstochowę i in. Wybrano nowy zarząd w składzie: J. Krzyżanowski — prezes; S. Kruk, Z. Nowak, W. Stępień — wiceprezesi; ks. H. Leśniewski d'Anjou — kapelan; B. Wojewodka — skarbnik; W. Krusz, B. Rodowicz, R. Smyczek, J. Podoski, W. Rostafiński, K. Tomaszewski — członkowie.

■ Maria Zych bibliotekarka i lektorka języka polskiego na uniwersytecie stanowym w Albany N.Y. otrzymała *outstanding teacher award* za rok 1975 za doskonałą naukę języka. ■ 37 Sejm Związku Narodowego Polskiego zakończył swe obrady. Dokonano wyboru nowych władz w składzie: Alojzy A. Mazewski — prezes, Helena Szymanowicz i Józef H. Gajda — wiceprezesi, Władysława Kubiak — sekretarz. Sejm w dowód uznania zasług b. cenzora Fr. X. Świetlika wybrał go honorowym cenzorem ZNP, jak również uczcił b. wiceprezeskę Franciszkę Dymek Swierczyńską. Sejm podniósł znacznie pensje, a mianowicie: prezesa z 38.000 dol. na 50.000 dol., wiceprezesów — do 20.000 dol. oraz sekretarza i skarbnika — do 24.000 dol. W sprawozdaniach z Sejmu w prasie polonijnej nie ma żadnych wzmianek, by Sejm zajął się sprawą Kolegium Związkowego, które znajduje się w sytuacji więcej niż krytycznej. ■ Ks. Kardynał Jan Król objął honorowe przewodnictwo nad Narodowym Komitetem na rzecz Sanktuarium Częstochowy w Doylestown. Do Komitetu Narodowego zgłosili akces wszyscy biskupi amerykańscy polskiego pochodzenia. Sanktuarium znajduje się w ciężkiej sytuacji finansowej, mając blisko 8 milionów dolarów długów. Kardynał Król podał, że celem Komitetu Narodowego jest zebranie 5 milionów dolarów. Po zebraniu tej sumy Sanktuarium powinno spłacić pozostałe 3 miliony w ciągu najbliższych paru lat.

Z OSTATNIEJ CHWILI

Andrzej Sacharow otrzymał z Warszawy następującą depezę:
 „Z okazji pokojowej nagrody Nobla przekazujemy Panu wyrazy podziwu i solidarności. Pańska nieugięta walka o prawa człowieka jest dla nas zachętą i wzorem. Pański stosunek do Polski pozwala nam wierzyć w przyszłość naszych narodów.

Polscy przyjaciele:

Barbara Toruńczyk
 Seweryn Blumstein
 Jacek Kuroń
 Jan Lityński
 Adam Michnik”.

Listy do Redakcji

Toronto, 22 września 1975.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z odpowiedzi p. W. Sukiennickiego na mój list (*Kultura* Nr 7-8, 1975) a szczególnie z jego artykułu „Trzecia siła”, w nrze 5/332 widać, że autor mógł być wprowadzony w błąd „faktami” z *Bielaruskaha Hołasu*. Większość Białorusinów, z którymi gadałem o artykułach p. Sukiennickiego, byli zdumieni tym, że on uważa *Bielaruski Hołas* za poważny i miarodajny czynnik.

Gazeta owa jest brukową na białoruskim emigracyjnym rynku i nikt z poważnych myślicieli nie uważa ani *Bielaruskaha Hołasu*, ani jego wydawcę-redaktora i prawie wszystkich pisujących tam „dziennikarzy” w osobie jednego za poważne i miarodajne źródło.

Mniemac należy, że niektóre lapsusy p. Sukiennickiego powstały z braku ostrożności. Na przykład, na str. 101, nr 4/331 *Kultury* on pisze: „Metropolita Mikołaj Łapicki”. Ongiś powiadał mnie jakiś żartowniś, że o Łapicki, prawosławny proboszcz z South River, głośno protestuje, że p. Sukiennicki, bez poprzedniego zezwolenia jego, promował go aż na... metropolitę. Wiadomo, że od metrofornego protojereja do metropolity odległość co najmniej ta sama co od kaprała do generała. A więc lapsus nielada!

Przypuszczać należy, że takie „cnótki” w liście p. Sukiennickiego, jak „impostor” i „tajny agent Watykanu” (odnośnie Metropolity Andreja z Cleveland) narodziły się na łamach miarodajnego dla p. Sukiennickiego *Bielaruskaha Hołasu*, oczywiście tego samego, który z dawna reklamował znanego między nami amoralnego szermierza-szarlatana „arcybiskupa” Ryży-Ryckiego.

Nie jestem historykiem, ani nie staję mi czasu na analizę całości artykułów p. Sukiennickiego. Nie wątpię jednak że zajmie się tym któryś z naszych historyków.

Załączam wyrazy szacunku,

Kastus AKUŁA

SPRAWA POGRZEBU ŚP. POR. PIL. FR. GRUSZKI

Barcelona, 25 września 1975.

Szanowny Panie Redaktorze,

List niniejszy winien być skierowany raczej do pisma Stowarzyszenia Lotników Polskich na obczyźnie (SLP) i byłby tam przekazany gdyby były jakiegokolwiek szanse, że będzie opublikowany.

Prosząc o łaskawe zamieszczenie mego listu pragnę w pierwszym rzędzie dotrzeć do kolegów-lotników, którym sprawa pogrzebu śp. por. pil. Franciszka Gruszki jest znana. Czytelnikom innym, których pewne aspekty też mogą zainteresować, winien jestem kilka informacji wprowadzających.

W czasie Bitwy o Wielką Brytanię, dn. 18 sierpnia 1940 roku por pil. Fr. Gruszka nie powrócił z lotu bojowego. Ponieważ nie było formalnych dowodów, że istotnie poległ przez lat prawie 35 nazwisko jego figurowało na liście „zaginionych”. Ostatnio, dzięki odnalezieniu naocznego świadka katastrofy, wydobyto z ziemi szczątki zwłok poległego pilota i szczątki jego samolotu typu „Spitfire”. Po załatwieniu wszelkich formalności identyfikacyjnych i innych, władze brytyjskie przekazały w maju br. kilka odnalezionych kości wraz ze strzępami munduru do dyspozycji Stowarzyszenia Lotników Polskich z poleceniem zajęcia się pogrzebem. Ministry of Defense powiadomiło SLP iż ma to być pogrzeb typu wojennego i RAF miało wystawić pluton honorowy wraz z orkiestrą. Stowarzyszenie natomiast, jak przy innych uroczystościach tak i w tym wypadku, planowało współdziałać Sztandaru Lotnictwa Polskiego z poczetem honorowym w polskich mundurach czasu wojny. Ustalono również, iż w dniu 15 lipca odbędzie się wspólna angielsko-polska konferencja zainteresowanych, celem omówienia szczegółów pogrzebu, który planowano na połowę września, czyli zaraz po zakończeniu uroczystości pamiątkowych „Battle of Britain”.

Do konferencji też nigdy nie doszło, gdyż w międzyczasie SLP zostało powiadomione, iż Ministry of Defense otrzymało z Foreign Office zlecenie, że pogrzeb ma się odbyć jak najszybciej i nie później jak z końcem lipca, z udziałem przedstawiciela Ambasady PRL w Londynie. Z kopii nowego pisma Min. of Def. przesłanego do wiadomości SLP wynikało, iż program pogrzebu został definitywnie ustalony, oczywiście już bez delegatów SLP, oraz że na skutek tego, iż oficer ten zginął zanim przeniesiono go z eskadry brytyjskiej RAF do jednej z organizujących się eskadr polskich, jest on traktowany wyłącznie jako oficer RAF-VR (wolontariusz z rezerwy) i w związku z tym zostaną mu oddane honory jako takiemu, a trumna jego zostanie pokryta flagą brytyjską.

Ustalony program już nie przewidywał mszy św. za duszę Poległego, nie mniej poproszono, by ks. Kącki — kapelan SLP, przybył i szedł wraz z Komendantem Stacji RAF na czele orszaku pogrzebowego. Poproszono o tegoż księdza tylko dlatego — jak zaznaczono — iż nazwisko jego już w koncepcji początkowej zostało wpisane do odpowiedniego rejestru. W dalszym ciągu pismo podaje, że Ambasada PRL będzie powiadomiona o szczegółach pogrzebu, „a inni, którzy zechcą wziąć udział jako osoby prywatne, będą również poinformowani o zamierzonym przebiegu uroczystości”. Zapewniono także, iż wieńiec SLP może być złożony na grobie Poległego Kolegi obok wieńca RAF.

W odpowiedzi na to, SLP zdecydowało całkowicie wycofać swój udział w pogrzebie, stojąc na stanowisku, że „nie możemy mieć żadnego oficjalnego kontaktu z przedstawicielami PRL”. Oficjalny biuletyn kończy się oświadczeniem iż „nie ulega wątpliwości, że wszystkie komplikacje były wynikiem presji ze strony Foreign Office, w atmosferze przygotowań do misji handlowej ministra Calaghan udającego się do Polski”.

Według mego zdania, sprawa od strony polskiej (władze SLP) została rozwiązana źle, z krzywdą dla Poległego Kolegi i z krzywdą moralną dla nas wszystkich. Ustąpiono z pola walki zbyt łatwo i nie wykorzystano żadnego z wielu niezaprzeczalnych argumentów przeciw dopuszczeniu obecności na pogrzebie reprezentanta sowieckiej przemocy. W odpowiedzi na oświadczenie brytyjskie, iż w ich pojęciu Poległy „był wyłącznie oficerem RAF-VR” trzeba było zareagować jak najostrzej i przedstawić dowody, że jest ono nie tylko z prawdą niezgodne, ale również dla Poległego Polaka uwłaczające.

Oficer ten bowiem nie wstąpił do jednostki brytyjskiej na swą indywidualną prośbę porzucając lojalność do władz polskich, gdyż w takim wypadku byłby on tylko brytyjskim żołnierzem najemnym. Nie został on również nigdy zdemobilizowany z Polskich Sił Zbrojnych, celem umożliwienia mu zaciągnięcia się do sił zbrojnych obcego mocarstwa. Został on natomiast zaseregutowany do RAF w wyniku konkretnej umowy między rządami obu krajów, a Rząd Polski podporządkowując go przejściowo dowództwu brytyjskiemu, a nigdy nie zrezygnował ze swych praw dysponowania nim. Oficer ten, włożywszy mundur RAF ani na moment oficerem polskim być nie przestał i na dowód tego, na ramieniu tegoż munduru znajdowała się dystynkcja „Poland”, którą zresztą po 35-ciu latach z miejsca katastrofy wydobyto. Żatem — trumna Jego winna być pokryta nie tylko flagą brytyjską, ale również i flagą polską POLSKIMI RĘKOMA, POLSKICH TOWARZYSZY BRONI POŁOŻONĄ. Oczywiście, że przysługiwała Mu również i asysta Jego najbliższych, wraz z ich tradycyjną formą chowania zmarłych. Najbliższymi dla Poległego w tej sytuacji byliśmy my. I o to prawo — prawo oddania Poległemu Koledze pełnych honorów na jakie nas stać winniśmy byli upomnieć się mocniej, niż to zostało zrobione.

Według mego zdania, należało władze angielskie poinformować niedwuznacznie, iż wprowadzenie obecności przedstawiciela Ambasady PRL uważamy za zaskakujące novum. Należało im przypomnieć, iż tenże Żołnierz Polski, poległ w okresie gdy wszystkie siły zbrojne Rzpltej Polskiej znajdowały się w wojnie, nie tylko z hitlerowskimi Niemcami, lecz również z Sowiecką Rosją, która będąc w sojuszu wojskowym z Hitlerem, ojczyznę naszą wraz z nim najechała. Dalej, należało stwierdzić iż mimo to, że celem Układu Jałtańskiego nie była zmiana okupacji hitlerowskiej na niewolę opresji sowieckiej, to sytuacja tak się jednakże rozwinęła („Triumph and Tragedy” — sir Winston Churchill). Cały świat wolny, nie wyłączając oficjalnych czynników brytyjskich wie, rozumie i oficjalnie przyznaje, iż régime warszawski wprawdzie jest formalnie uznawany jako organ administracji krajem, to nie jest on rządem suwerennego państwa, a źródłem jego władzy nie jest wolno wyrażona wola Narodu Polskiego, lecz militarna przemoc Rosji Sowieckiej. W świetle tegoż, arbitralne narzucenie obecności na pogrzebie reprezentanta też przemocy, w walce z którą Żołnierz ten życie swoje oddał, uważamy za zniewagę dla Niego, a dla nas za bolesną krzywdę i głęboko odczuty zawód. Takie powinno być nasze stanowisko wyrażone w rozmowach, korespondencji, względnie opublikowane w prasie.

Oczywiście wszyscy wiemy z gorzkiego doświadczenia dni wojny, że Foreign Office miało zawsze skłonności przechodzenia ponad godnością ludzką nawet dla najbardziej blahych czy przejściowych korzyści, jeśli im się na to pozwoliło.

W zupełności doceniam trudności i techniczne i wszystkie inne w dotarciu do właściwych czynników brytyjskich, ale przecież SLP ma właśnie w tym celu imponującą listę osobistości brytyjskich jako Patronów i jako członków Komitetu Honorowego — ludzi o wielkich wpływach osobistych. Ich należało niezwłocznie zaalarmować i o interwencji napierać. Gdyby jednak negocjacje tych zespolonych wysiłków nie dały pozytywnego wyniku, to wówczas wyzwanie nam rzucone należało przyjmując.

Samą nieobecnością tylko można reagować w sytuacjach innych: jak bał, przyjęcie, akademia i temu podobne „ku czci...”. W tym wypadku jednakże dyskretna nieobecność, odejście w *splendid isolation*, było jak najbardziej niewłaściwą reakcją. Przecież tu nie chodziło o ochronę godności delegacji SLP — tę można było ochronić tylko i wyłącznie przez obronę godności Poległego Żołnierza. Był to zawód bolesny zrobiony i Jemu i nam w imieniu których decyzyję tę powzięto i całej walczącej emigracji. Trzeba było pójść, spotkać wysłannika sowieckiej przemocy i poprzez szerokość grobu powiedzieć

mu pociągną tam przyszedli i co ma swoim mocodawcom od Poległego, w imieniu którego przemawiamy i od nas wszystkich powiedzieć.

Oczywiście każdy z nas zdaje sobie sprawę z faktu, że takie spotkanie z przeciwnikiem wymaga innej odwagi i innych cech dojrzałości męskiej niż spotkanie w powietrzu. Są to dwie odwagi i inne, jedna od drugiej zupełnie niezależna i nie zawsze chadzają w parze...

Kiedy się idzie jako żołnierz z bronią w rękę do akcji, to ma się za sobą cały autorytet moźnych tego świata, oraz miłość i błogosławieństwo całego narodu, a co najważniejsze — jest się zawsze wygranym... Jest się wygranym gdy się wraca zwyciężcą i jest się wygranym gdy się legnie... W spotkaniu takim o którym tu jest mowa, staje się często samotnie i zawsze przeciw usankcjonowanej tyranii pod różnymi postaciami cnót, z całą jej aparaturą represji moralnej i fizycznej, a przegrana bywa gorsza od śmierci.

Mówiąc o tej drugiej kategorii odwagi, niekoniernie żołnierskiej — przeciwnie — cywilną często zwanej, przychodzi mi na myśl sylwetka prawdziwego rosyjskiego patrioty. Też zawodowy oficer i też generał, z autentycznej nominacji, z wyższym wykształceniem wojskowym i z dyplomem inżyniera — konstruktora: gen. mjr Piotr Grigorienko. Chronił swych żołnierzy przed brutalnością sowieckiego systemu, protestował przeciw zbrodniom dokonywanym na ludności cywilnej, a szczególnie na Tatarach krymskich. Najgłośniejszy z jego protestów był skierowany przeciw interwencji sowieckiej w Czechosłowacji. Pewnego dnia znalazł się w sytuacji w pewnym sensie podobnej do tej w jakiej byłaby delegacja SLP, bo też nad grobem zmarłego towarzysza. Generał Grigorienko uważał że on, żołnierz wysokiego stopnia i wysokich odznaczeń, winien w imieniu własnym i w imieniu zmarłego złożyć swą deklarację, oraz, że zrobić to musi z odwagą nie mniejszą niż ta za którą był dekorowany i jaką wykazywali w boju podlegli mu żołnierze. W przemówieniu tymże protestował między innymi przeciw sowieckiej dominacji państw ościennych, a zatem i Polski.

Na cmentarzu byli oczywiście agenci KGB i również oczywiście gen. Grigorienko został aresztowany. Spędził szereg lat w różnych więzieniach i ostatecznie umieszczono go w znanym więzieniu szpitalu dla rzekomo umysłowo chorych. Zwolniono go niedawno.

Zestawienie tych dwóch rozwiązań sytuacji podobnych, a jednocześnie bardzo innych, wzbudzi niezawodnie u jednych gniew, a u innych pesymizm. Nasz gniew, nie powinien być gniewem bezsilnych, lecz nie powinien również stać się przyczyną waśni czy rozłamów. Odpowiedzialność za ten błąd spada nie tylko na tych, którzy decyzję za nas wszystkich powzięli, ale w jakiś sposób i my wszyscy w tej decyzji i w tym błędzie wzięliśmy udział. Musimy o tym mówić otwarcie i musimy szukać dróg ponownego wejścia do akcji. Musimy znaleźć sposób efektywnego dołączenia do szeregów tych, którzy nigdy tej walki nie zaniechali, a których lista jest coraz dłuższa i których głosy są coraz bardziej słyszalne na wszystkich krańcach świata — nie tylko świata wolnego, ale również i świata ludów zniewolonych.

Proszę przyjąć Panie Redaktorze wyrazy mego szacunku,

Alexander BUJALSKI

OŚWIADCZENIE FUNDACJI LANCKOROŃSKICH
W ZWIĄZKU Z APELEM POLSKIEGO OŚRODKA
SPOŁECZNO-KULTURALNEGO DO SPOŁECZEŃSTWA

W ogłoszonym w październiku numerze *Kultury* apelu POSK'u znajduje

się ustęp, dotyczący księgozbioru Fundacji Lanckorońskich. Ustęp ten wymaga zasadniczego wyjaśnienia.

Zarząd Fundacji powziął decyzję nieprzenoszenia księgozbioru do nowego gmachu POSK'u na skutek nadmierne wysokich kosztów urzędzenia i utrzymania przeznaczonego na ten cel lokalu. O wysokości tych kosztów. Zarząd POSK'u poinformował Fundację w liście datowanym 19 lipca bież. roku.

Zarząd Fundacji wyraża zdziwienie, że POSK, który uznał za swój obowiązek „o powyższej decyzji powiadomić całe polskie wychodźcze społeczeństwo”, nie czuł się moralnie zobowiązany podać do wiadomości publicznej warunków finansowych, przedstawionych Fundacji.

ZARZĄD FUNDACJI LANCKOROŃSKICH

7 października 1975 r.

Paryż, 23 września 1975.

Drogi Panie Redaktorze,

W moim wstępie do „Historii” Gombrowicza wspomniałem o zagadkowej aluzji do „Arcyksięcia w Sarajewie”, zawartej w książce Dominique de Roux pt. „Gombrowicz”.

Dopiero teraz otrzymuję z Libreville, stolicy Gabonu, na papierze Okoumé Palace Inter-Continental, ozdobionym głową afrykańskiego bawoła, list od de Roux, który przekazuje niniejszym do wiadomości przyszłych pokoleń polonistów i ezoteryków:

„Witold, jak wiesz, był groźnie komiczny (drolatique) i nawet czasem sataniczny. Lubił napinać sytuację aż do groteski i doprowadzać do kresu swych rozmówców za pomocą paradoksów drobniogowo wykalkulowanych i przemyślanych, do tego stopnia że robił z nimi co chciał, aż do granic obsesji. Kiedy ich wreszcie zmiażdżył, przeprowadzał nad nimi egzorcyzm, dając im (po tym całym sabacie) słusne pojęcie o nich samych i o ich granicach. Był przesiąknięty ludzkością, jak Goya, stąd, u kresu życia, jego poczucie absurdu na skraju śmierci, jego sardoniczne upodobanie do wcieleń za maską. O „Historii” nie mówił mi nigdy. Ale Arcyksiążę będąc Polską, a Sarajewo Zachodem. Jego gra, w rozmowie — Arcyksiążę — Sarajewo! Odgrywał on tu swój własny rytuał jego wesołość w tych chwilach były fantasmagoryczne. Niepokoił, dziwnie zezwierzęcony przez jakiegoś Boscha, rykami (ośla) i figlami ptaków. Stawał się egzorcytą. Arcyksiążę — Sarajewo! Odgrywał on tu swój własny rytuał żałobny, rytuał świata, w którym się umiera i w którym on sam miał ręce i nos zamiast dzioba i skrzydeł. Ale Witold i jego dzieło i jego koniec pozostaną dla mnie zawsze największą tajemnicą. Jest on w moim życiu wcieleniem chrześcijańskiego średniowiecza zarazem królewskiego i kapłańskiego”.

Łączę wyrazy szacunku i najlepsze pozdrowienia,

K. A. JELEŃSKI

PANU LIEBERTOWI W ODPOWIEDZI:

Po pierwsze: proszę mi nie dziękować za rzekome pouczenie, co było przyczyną upadku caratu, nie moją sprawą jest pouczać, i nie o to w recenzji chodziło.

Po drugie: to że Pan chciał, aby styl Jego książki był infantylny wcale nie dodaje jej wartości. Ja nie mam pretensji o to, że Pan nie gwałcił małych dziewczynek i nigdzie nie napisałam, że to jest ulubiony przeze mnie

w literaturze temat. Ale infantylnosc jest infantylnoscia — zamierzona czy niezamierzona. Chodzi o to, ze Pan w „Wronach nad Moskwą” nie mówi, tylko szczebioce. I cóż to za sugestie, ze byłabym zadowolona, gdyby Pan się urodził na Bałutach czy na Woli w Warszawie? Mnie doprawdy nie nie obchodzi gdzie się Pan urodził.

Po trzecie: napisałam, i podtrzymuję ten zarzut, że napisał Pan książkę na własny użytek. Ale niech mnie Pan Bóg broni, żebym od Pana czy jakiegokolwiek innego pisarza żądała — jak Pan to sugeruje — żeby był Leninem. Wręcz przeciwnie. Każdy pisze na własny użytek, ale niektórym tak się udaje, że przy okazji piszą także na użytek innych. Panu się nie udało.

Po czwarte: przykro mi że Pan się tułał ponad ćwierć wieku, ja też się tułałam, ale nie mogę — nie pozwala mi na to wychowanie i... jakby to powiedzieć... zmysł moralno-praktyczny — traktować „autochtonów” jak „pluskowy” (obydwa wyrażenia Pańskie). Bo jak oni mnie wtedy będą traktować? Także zresztą i z innych powodów.

Po piąte: dlaczego życzy mi Pan „odrobiny bodaj poczucia humoru”? Mam. Odrobinę. Ale czytanie takich książek jak Pańska dobija tę odrobinę. I skąd tu w ogóle przylątała się sprawa humoru?

Janina KATZ-HEWETSON

P.S. Nie aspiruję do żadnej uczoności. Proszę mi jej nie wmawiać ani poważnie ani ironicznie. Bardzo mi przykro, że pomyliłam Remigiusza Kwiatkowskiego z Remigiuszem Napiórkowskim. Powinna była sprawdzić. Albo nie wspominać.

J. K.-H.

Szanowny Panie Redaktorze!

Zna Pan moją sympatię dla organizacji Amnesty International. Nie tylko przekonany jestem, że organizacja ta podjęła najpiękniejszy nurt tradycji humanistycznej, ale również, że propaguje ona wzór postawy, która nawet jeśli podejmowana jest tylko przez nielicznych, może być skuteczna w walce o ludzką godność i demokrację. Bodaj najwyższą zaletą tej postawy jest jej wewnętrzna spójność. Fakt, że obrona praw ludzkich nie może sięgać do terroru, gwałtu ani żadnej innej niemoralnej formy działania. Cel nie uświęca środków. Bronią w tej walce jest cywilna odwaga mówienia prawdy, włącznie z odwagą przyjmowania na siebie ryzyka za jej głoszenie. Inną zaletą tej postawy jest bezstronność, wrażliwość na wszelkie znęcanie się i poniżanie człowieka, gdziekolwiek miałyby ono miejsce i niezależnie od własnych sympatii czy antypatii. Te założenia skłaniają mnie do działania zarówno na rzecz jak i w ramach Amnesty International.

Niedawno z pewnym zdumieniem przeczytałem w publikacji Amnesty International pt.: Report on Torture następujące zdanie: „Amnesty International has received no allegation of torture from Hungary, Poland or Czechoslovakia in the past ten years”. Informacje o masakrowaniu ludzi na ulicach zarówno w Marcu jak i podczas wydarzeń na Wybrzeżu publikowane były na Zachodzie niejednokrotnie z drastycznymi zdjęciami. Były również informacje o biciu zatrzymanych i to zarówno znanych z imienia i nazwiska jak i o przypadkach anonimowych. Podobne informacje docierały z Czechosłowacji.

W żadnym razie nie chcę zarzucać kłamstwa Autorom „Raportu o torturach”, chciałbym jednak ustalić co oznacza w tym przypadku termin *allega-*

tion. Nie wykluczam możliwości, że nikt nie pomyślał i nie przesłał tego typu informacji dalej do Sekretariatu A.I. w Londynie. (Z pewnością jednak dotarły tam sygnały w postaci wycinków prasowych i twierdzą, że były możliwości ich sprawdzenia). Wiem, że Sekretariat A.I. potraktował poważnie memoriał Emila Morgiewicza o sytuacji więźniów w Polsce przesłany bezpośrednio z kraju. Ze względów zasadniczych chciałbym jednak ustalić czy Amnesty International była pośrednio (przez emigrantów) informowana o przypadkach stosowania fizycznych i psychicznych tortur w PRL?

W rozdziale pt.: „World Survey of Torture, The nature of evidence” Autorzy raportu stwierdzają: „... it is undeniable that there are a number of countries which are believed to practise torture on a large scale as an administrative policy but from which no satisfactory corroborative information can be obtained”. Wydaje się, że kryteria wystarczającej i wiarogodnej informacji powinny stać się w tym przypadku przedmiotem publicznej dyskusji. Pomijając inne sprawy, wydaje mi się, że brak wzmianki na temat interwencji w Pradze czy na temat wydarzeń na Wybrzeżu, a równocześnie obszerne omówienia zamachu stanu w Chile czy rozruchów studenckich w Kairze, wskazuje na pewną tendencyjność grzeszącą przeciw jednej z podstawowych zasad statutowych Amnesty International — bezstronności.

Z poważaniem,

Andrzej KORASZEWSKI

Rzym, 20 września 1975.

Szanowny Panie Reaktorze,

Bardzo rzadko wypowiadam się publicznie na tematy polityki międzynarodowej a jeszcze rzadziej czynię to w formie „listu do Redakcji”.

Sprzeniewierzam się jednak tej zasadzie po przeczytaniu krótkiego ale dobitnego oświadczenia „Pieczęć” w wrześniowym numerze *Kultury*. Jest to właściwie deklaracja ideowo-polityczna, którą, wydaje się, kierować się będzie Zespół *Kultury* w przyszłości i dlatego jest bardzo ważna.

Oczywiście zgadzam się z pełnym potępieniem „Helsinki”, które miały przyklasnąć i nadać formy prawne sowieckiej grabieży. Potrafiłbym nawet przełknąć dość ubliżający epitet „Ford (z parasolem czy bez)” i uwagę o głupocie, tym bardziej, że nie jest jasne do kogo się stosuje.

Zaskakujące jest jednak zakończenie „Pieczęci”. Przypomnijmy jej ostatnie zdanie: „W pracy zmierzającej do złamania tej pieczęci wschodni Europejczycy, wolni Rosjanie, mieszkańcy republik sowieckich mają odłąd dodatkowego, zdeklarowanego na piśmie przeciwnika: tzw. 'wolny świat' z Ameryką na czele”.

Wieloletnia linia działania *Kultury* była i jest słuszna, może jest „wątką i długodystansowa”, ale mimo to budzi żywe nadzieje w każdym obserwatorze rzeczywistości sowieckiej. W szczególności chciałbym z uznaniem podkreślić głębokie zrozumienie *Kultury* dla niepodległościowych zmagani narodu ukraińskiego.

Czy jednak ta linia działania winna być „jedyna”? Wydaje mi się, że autorzy deklaracji, pisząc ją pod wpływem słusznego oburzenia i rozdrażnienia, zbyt pochopnie przekreślili rolę „tzw. wolnego świata”. Nie wydaje mi się, że zasługują on całkowicie i bez reszty na cudzyków i omówienie w postaci „tzw.” Szczególnie w oczach tych, którzy wiedzą jak wygląda świat niewolny.

Przypomnijmy sobie wypadki „po-helsinki”. Układ na Bliskim Wschodzie z perspektywą dwustu amerykańskich techników na półwyspie synajskim. Zainteresowanie Ameryki sytuacją w Portugalii (może lepiej szczegółów

nie omawiać). Oświadczenie Ambasadora Volpe, że Stany Zjednoczone uważają roszczenia komunistów do współzrządów we Włoszech za szkodliwe dla jedności państw europejskich i pokoju. Charakterystyczna była po prostu wściekłość lewicowej prasy włoskiej na to oświadczenie. Niemniej jednak amerykański Departament Stanu całkowicie podtrzymał stanowisko swego ambasadora.

„Pieczęć” tylko częściowo tłumaczy cel wizyty Prezydenta Forda w Polsce. Szło także o choćby ostrożne „rozwiniecie skrzydeł”, którego jednak tam nie widać i to nie z winy Stanów Zjednoczonych. Poza tym Ford wyjaśniał udział amerykański w Konferencji Bezpieczeństwa nie dlatego, że uląkł się opinii publicznej w sprawie nieprzyjęcia Solżenicyna (jest to własna interpretacja *Kultury*), ale ponieważ widział i zdawał sobie sprawę z wszystkich trudności z tym udziałem związanych. Dobrze jednak, że *Kultura* znalazła w tym chociaż „cień nadziei” na przyszłość.

Pomyślmy i wyobraźmy sobie przez chwilę, jakby ten nasz cały świat wyglądał gdyby Ameryki nie było. Na myśl taką po prostu skóra cierpnie. Nie, nie wydaje mi się, że Ameryka jest „zdeklarowanym przeciwnikiem” ludzi walczących o wolność. Przeciwnie — była i jest jeszcze ciągle ich sojusznikiem.

Będę się cieszył, jeżeli Pan Redaktor uzna te uwagi za godne opublikowania.

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku i najlepsze pozdrowienia,

◆
Józef LICHTEN

Londyn, 13 października 1975.

Szanowny Panie Redaktorze!

Apel POSK'u w sprawie bibliotek polskich w Londynie ogłoszony w *Kulturze* z października 1975 roku wymaga sprostowania czy też wyjaśnienia. Brak współpracy między organizacjami polskimi istotnie zniechęcił rząd brytyjski do pójścia nam na rękę w tej sprawie. Winy za to nie ponosi jednak Instytut Polski.

A oto jak się rzecz miała. Lord Barnby, prezes rady Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego zaapelował w czerwcu 1962 roku do premiera Harolda Macmillana o subwencję rządu brytyjskiego dla tej instytucji. W kwietniu następnego roku otrzymał on odpowiedź od Macmillana z wyrażeniem zgody na udzielenie pomocy pod warunkiem, że Instytut Historyczny im. gen. Sikorskiego połączy się z Polskim Ośrodkiem Naukowym i przejmie bibliotekę Polish University College (PUC) — Bibliotekę Polską, której utrzymanie obciążało w tym czasie skarb brytyjski.

Tę samą propozycję przesłał mi, jako prezesowi zarządu Polskiego Ośrodka Naukowego, minister Oświaty Sir Edward Boyle. Postawiony wstępny warunek odpowiadający zresztą naszym zamierzeniom, przyjeśliśmy i Ośrodek, odpowiedzialny za cenny księgozbiór zebrany przez rząd polski w czasie wojny i Instytut Historyczny im. gen. Sikorskiego połączyły się ustanawiając Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego i przystąpiły do rokowań z rządem brytyjskim w sprawie subwencji.

Zaciążył nad nimi od pierwszej chwili niechętny stosunek PUCAL'u (Polish University College Association Ltd.), spółki powołanej do życia i zaopatrzonej przez rząd polski (później przeorganizowany na POSK), która aż do tej chwili zapewniała Bibliotece Polskiej bezpłatnie pomieszczenie. Rozmowy przeciągały się. Rząd brytyjski zaczął tracić serce do własnego projektu. Kiedy zaś upadł rząd konserwatywny, a miejsce jego zajął rząd partii pracy — postawił nam warunki jeszcze mniej korzystne. Byliśmy

pomimo to gotowi je przyjąć, ale tylko przy współpracy instytucji na czele której stał już wtedy prof. Roman Wajda. Usilnie go o to prosiłem. Spotkałem się jednak z odmową.

Tyle o przeszłości.

Jeśli chodzi o chwilę obecną to umieszczenie obu bibliotek pod jednym dachem nie dało się załatwić z powodu trudności finansowych. Natomiast koordynacja obu bibliotek w interesie polskiego czytelnika jest nadal możliwa i pożądana.

Edward RACZYŃSKI
Prezes Zarządu Instytutu Polskiego
i
Muzeum im. gen. Sikorskiego

◆
21 września 1975.

Szanowny Panie Redaktorze!

P. Jan P. Kott imputuje mi nieścisłości w liście do redakcji. Innym pozostawiam odpowiedź wyczerpującą ale na przykładzie jednego ustępu zilustruję „prawdę” p. Kotta. Pisze on: „Koło otrzymało małą donację rządową (1.000 dolarów — przyp. F.S.), donację z Funduszu Millenium (500 dolarów — przyp. F.S.), parę ofiar prywatnych (ok. 600 dolarów — przyp. F.S.). Resztę zaczerpnęło z własnych funduszy”. Jaką resztę, jeżeli rozchody wyniosły 2.187 dolarów, dary wyżej wymienione — 2.100 dolarów a bilety wstępu przyniosły 1.748 dolarów. Dochód z tej imprezy kulturalnej wyniósł więc 1.822 dolary oprócz dochodu z zabawy festiwalowej przezornie nie umieszczonej w zestawieniu z 25 czerwca 1972 roku podpisanym przez skarbnika.

W reszcie swoich wywodów p. Kott jest równie daleki od prawdy.

Cóż mogę odpowiedzieć p. Iwaniukowi? Że się stał pod koniec poetą surrealistycznym? Bo jeżeli on wierzy w ten stek inwektyw i insynuacji, to zdolny jest uwierzyć w wszystko. Nawet w prawdę p. Kotta.

Pan Iwaniuk drapując się na herosa szuka koligacji z Wandą, Rejtanem i Mickiewiczem. Może wytłumaczenie niektórych postaw jest mniej skomplikowane. Poznałem p. Iwaniuka przed laty w Anglii. Przyleciał do Londynu w drodze do Polski. I nie dostał wizy. Życzę sobie, abym gdy mi odmówią wizy, nie zachowywał się tak, jak p. Iwaniuk.

Dla ścisłości dodam, że nie wysłałem żadnej wypowiedzi do Dyskusji Klubu Kultury w Londynie i że została ona zredagowana na podstawie prywatnego listu bez mojej wiedzy.

Florian SMIEJA

◆
Chicago, Ill., 4 października 1975.

Drogi Panie Redaktorze,

W nr. 9/336 *Kultury* z września br., w dziale „Nowości wydawnicze” (str. 137) nastąpiła dość zabawna kontaminacja dwu moich prac angielskich, mieszająca lirykę Wierzyńskiego i kategorie nietscheańskie z dramatem polskim i surrealizmem. Pozwalam sobie rozplątać ten przypadkowy węzeł i podać zapisy bibliograficzne obu prac w poprawnym brzmieniu:

1) *Polish Historical Antecedents of Surrealism in Drama* (Nadbitka z „Zagadnień Rodzajów Literackich — Problèmes des Genres Litté-

raires" XVI, 2; Wrocław 1973, str. 35-51; streszczenie w języku polskim).

- 2) *The Dionysian and Apollinian Antinomy in Kazimierz Wierzyński's Early Poetry* (Nadbitka z „For Wiktor Weintraub — Essays in Polish Literature, Language and History presented on the Occasion of his 65th Birthday”, Mouton, The Hague-Paris 1975, str. 515-538; bez streszczenia polskiego).

Łączę przyjazne słowa,

Tymon TERLECKI

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 234 — MARIA HIRSZOWICZ

KOMUNISTYCZNY LEWIATAN

Wnikliwa analiza biurokracji komunistycznej opracowana przez
znanego socjologa

Str. 132.

Cena F. 15 (dol. 4,25).

TOM 254 — MAREK TARNIEWSKI

EWOLUCJA CZY REWOLUCJA

Wnikliwa analiza istniejącego w Polsce ustroju przeprowadzona przez
autora krajowego. Poszczególne części tej pracy noszą tytuły:
WSTĘP. — POCHODZENIE SYSTEMU. — WŁASNOŚĆ, PAŃSTWO I PARTIA. — ORGANIZACJA SPOŁECZEŃSTWA, ELITA WŁADZY. — RZĄDZĄCY I RZĄDZENI. — ŚWIADOMOŚĆ SPOŁECZNA. — DZIEDZINY I KIERUNKI PRZEMIAN. — CZYNNIKI PRZEMIAN. — ZAKOŃCZENIE.

Str. 288.

Cena F. 40 (dol. 10,50).

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Londyński korespondent „Kultury” Bohdan BRODZIŃSKI,
87, Park Hill, London, S.W.4. 9NX. — Tel.: 622 17 14.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 - Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Dépôt Légal : 4^e Trimestre 1975.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffite : Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Przenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002	R. 2,00	R. 10,00	R. 18,50
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 2,00	\$ A. 11,00	\$ A. 20,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tél. 52-40-762	Sch. A. 55,00	Sch. A 325,00	Sch.A. 575,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20 Tel. 218-69-23	F.B. 110,00	F.B. 650,00	F.B. 1200,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, Al Barao de Limeira 1022, apt 74 Celis., 01202 Sao Paulo (SP) tel. 221-1724	\$ US 2,50	\$ US 13,00	\$ US 24,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 11,00	F. 60,00	F. 110,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Fl. h. 8,00	Fl. h. 45,00	Fl. h. 80,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que, H4A 1Z1 Tel 486-2839; B. Krasuk, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, Tel. 545-2115; Henryk Slowikowski, 14 Southern Drive, Ottawa, Ont. K1S 0P4; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiastkowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 2,50 DM. 7,00 F. 11,00	\$ Can. 13,00 DM. 40,00 F. 65,00	\$ Can. 24,00 DM. 75,00 F. 120,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 — NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss — SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 9,50	F.S. 50,00	F.S. 85,00
SZWECJA : Norbet Zaba, Kallskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6. U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetyński, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868; M.E. Dobrowolska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203; Ada Dziewanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172. T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 8714847; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715; M. Kosciuch, 12331 French Road, Summerdale Ave. Mich 48234; Polish Book Store, 7970 Summerdale Ave. Philadelphia, Pa, 19111; The Polish Book Importing Co, 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, 410 Matchaponix Av., Chicago, Ill. 60618. R.J. Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 10472 Barnwell Street, Belflower Cal. 90706 Tél. 867-1857; Jan Wojcik 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211	\$ US 2,50 £ 0,95 F. 11,00	\$ US 13,00 £ 5,80 F. 65,00	\$ US 24,00 £ 10,50 F. 120,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210.	£ 0,95	£ 5,80	£ 10,50
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna - F. 120, półroczna - F. 65.
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 1,80.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le-Mesnil-le-Roi,
par 78600 - MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

TOM 257 — MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1958-1973)
„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1962-1973)
DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1959-1973)

Dawno zapowiadana *Bibliografia* zawartości treści
„KULTURY” i „ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH” oraz
DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA DO ROKU 1973 włącznie.

Str. 432.

Cena F. 75.

Przypominamy Czytelnikom, że Bibliografia za okres 1947-1957
opracowana przez Jana KOWALIKA ukazała się w roku 1959.
Posiadamy ją jeszcze na składzie. Cena egz. F.15.



TOM 258 — ALEKSANDER SOŁŻENICYN

ARCHIPELAG GUŁag

Tom II (Część III i IV)

PRZEKŁAD MICHAŁA KANIOWSKIEGO

Str. 608.

Cena F. 65 (z przesyłką F. 72,50)